

Isaac B. Singer

# Szumowiny

Tytuł oryginału  
SCUMS

Z angielskiego przełożył  
Łukasz Nicpan

*(jil4)*

*Ciało ( zepsucie stanowiły jedno od samego początku i pozostaną na zawsze szumowinami stworzenia, przeciwieństwem bożej mądrości, miłosierdzia i chwały... Człowiekowi będzie dane pęłzać tam i sam po powierzchni ziemi, póki Bóg nie wypowie mu przymierza i imię człowiecze nie zostanie po wsze czasy wytarte z księgi żywota.*

*(Śmierć Matuzalema)*

Gazeta żydowska, którą Maks Barabander kupił tego rana w Warszawie, przynosiła te same wiadomości, jakie wyczytał z dzienników w Nowym Jorku i Londynie: Półwysep Bałkański był beczką prochu; osławiony pogromiciel Puryszkiewicz oraz inni czarnosecińcy pracowicie tępił rosyjskich Żydów; żydowskie kolonie w Palestynie cierpiały suszę; w Argentynie biurokraci z Żydowskiej Agencji Osiedleńczej znowu piętrzyli trudności przed koloniami barona de Hirscha; cesarz Wilhelm wzbudził świeżą gorycz kół dyplomatycznych swoimi wojowniczymi pogroźkami; syjoniści przygotowywali się do nowego kongresu. W rubryce zaś nowinek, zatytułowanej „Z czterech stron świata”, zamieszczono notatkę o egipskiej wieśniaczce, która powiła martwe sześcioraczki.

Maks Barabander przeglądał gazetę, pogryzając sernik i popijając kawę. „Szóstka za jednym zamachem!” — mruknął do siebie. Ciekawe, czy wykopią sześć oddzielnych mogiłek, czy pochowają dzieciaki we wspólnym grobie? I czy to były dziewczynki, czy chłopcy, czy i to, i to?

Ani na statku, płynącym z Argentyny do Anglii, ani później, we Francji i w Niemczech, nie udało mu się dostać żydowskiej gazety. W Berlinie kupił niemiecki dziennik, lecz doniesieniom w tym języku brakowało pieprzu. W jidysz każda lokalna nowinka miała swój smaczek: pewien szewc nabył na loterii los, na który byłby wygrał siedemdziesiąt pięć tysięcy rubli, gdyby nie zużył go w charakterze papieru toaletowego; do Australii zawinął okręt wiozący z Anglii trzysta narzeczonych, wybranych przez oblubieńców na podstawie fotografii. Maks pociągnął łyk kawy. „Trzy setki dziewczynek! Niech diabli porwą ich zdrożne pępuszki — zachwycił się w duchu — to by mi się podobało, statek z żywym towarem”. Bawił się tą myślą. „Pomiędzy «tak» i «nie» zgarnąłbym tysiąc rubelków”.

Poklepał się po kieszeni na piersi; nosił tam pieniądze, argentyński paszport, bilet powrotny i nabity nazwiskami notes. Sam był złodziejem i bał się śmiertelnie, że zostanie obrabowany. By się uspokoić, dotknął rewolweru w kieszeni marynarki.

Maks Barabander miał czterdzieści siedem lat, lecz nie wyglądał na tyle; dawano mu zwykle trzydzieści pięć, najwyżej trzydzieści osiem. Był wysokim, barczystym blondynem o niebieskich oczach, kwadratowej szczęce, krótkiej szyi i prostym nosie. Jako chłopak słynął z siły. Gdy rąbnął pięścią w stół, stołowi rozjeżdżały się nogi jak szlachtowanemu bydłociu. Założył się któregoś razu, że zje trzy tuziny jajek i wypije dwanaście flaszek piwa, i wygrał zakład. W to, co wyczyniał z kobietami, nie uwierzyłby nikt prócz nich samych. A teraz dobiegał pięćdziesiątki i zbliżająca się starość wprawiała go w popłoch; zaczęły mu rzednąć włosy, tak że ledwie był w stanie zaczesać łysinę.

Odkąd umarł mu syn, Arturo, nieustannie rozmyślał o śmierci. Jeśli siedemnastoletni

wyrostek skarży się na ból głowy, a w dziesięć minut później wydaje ostatnie tchnienie, to znaczy, że życie ludzkie złamanego grosza nie jest warte. Maks zdołał się jakoś pozbierać po tym nieszczęściu, lecz jego żonie, Ruchełe, coś się pomieszało w głowie. To przez nią w gruncie rzeczy wybrał się w tę podróż. W domu nie mógł już dłużej ścierpieć jej graniczących z obłędem napadów. Zmusiła go, by odmówił kadysz nad ich synem, stale paliła świece za duszę Artura i często składała datki na cele dobroczynne. Dostała tak ostrych ataków kamicy żółciowej, że musiała się poddać operacji. Maks chciał ją zabrać do Polski, kiedy lekarze powiedzieli mu, że taka wycieczka może ją uratować, lecz Ruchełe uparła się: „Muszę zostać tutaj z Arturem”.

Jest prawdą, że Maks Barabander wycofał się ostatnio niemal z wszystkich swoich ciemnych interesów. Został nawet współwłaścicielem teatru w Buenos Aires. We właściwym czasie skupował tuzinami domy i parcele, które obecnie przynosiły mu krociowe zyski. Nowo przybyli do Argentyny Żydzi, występujący przeciw „odszczępięcom”, nie wpuszczali ich do synagogi ani nie dawali im kupować miejsc na kirkucie. Maks pozostawał jednakże w dobrych stosunkach z przywódcami gminy, piastował nawet stanowisko wiceprezesa ochronki. Przez lata wiódł życie szanowanego obywatela i w małżeństwie z Ruchełe znajdował satysfakcję. Aż do tragicznej śmierci Artura była z niej żwawa kobieta, która go tak osiodłała, że stracił apetyt na inne spódniczki. Lecz śmierć Artura zmieniła wszystko: Ruchełe stała się zimna, nie dopuszczała go do siebie; chciała umrzeć, wciąż plotła o śmierci i zleciła kamieniarzowi, by wrył jej nagrobek. Pierwszy raz, odkąd się poznali, wysyłała go do innych kobiet. W tę podróż wybrał się dla rozrywki, nie dla interesów. Być może teraz, gdy znalazł się w Polsce, odmłodnieje.

Na statku nasłuchiwał się najrozmaitszych opowieści o południowoamerykańskich alfonsach, którzy porywają dziewczęta, uprowadzają je w powozach, sprzedają przyzwoite kobiety do burdeli i zmuszają do życia w pohańbieniu. Maks śmiał się z tych wyssanych z palca historyjek. Może i robili tak sześćdziesiąt lat temu, ale w dzisiejszych czasach to nie wchodziło w rachubę. Zresztą zawsze można było znaleźć dziewczęta chętne do takiej eskapady. Maks zdawał sobie sprawę, że w gruncie rzeczy przyjechał do Polski w poszukiwaniu przyjaciółki Wiedział i to, że Ruchełe już nigdy nie będzie taka jak dawniej. Jeśli miał pozostać mężczyzną, musi pożądać kobiety równie mocno, jak niegdyś pożądał Ruchełe.

Miał w Polsce do załatwienia i kilka innych spraw. Przed laty zostawił w Raszkowie ojca i matkę, nie napisał do nich nigdy ani linijki, aż pomarli, nie wiedząc, co się z nim dzieje. Żyli gdzieś w Polsce jego brat, Zełman, i siostra, Sure-Neche, żeby już nie wspominać o wujach, ciotkach i kuzynach. Nadal miał w Polsce przyjaciół. Ale jakże ma stanąć przed krewniakami i przyjaciółmi po dwudziestu trzech latach milczenia? I czy mu wolno odwiedzić grób rodziców na kirkucie, skoro to jego należało pewnie winić o ich śmierć?

Pociągnął ostatni łyk kawy i przełknął ostatni kęs sernika. Ledwie przed godziną przyjechał

ekspresem z Berlina i zostawił bagaż w przechowalni Dworca Wiedeńskiego. Idąc ulicami Warszawy dotarł aż na Grzybowo. Miasto znał doskonale, przeżył tu dobre i złe dni. Przesiedział nawet trzy miesiące na Pawiaku, lecz to było dwadzieścia lat temu.

W tamtych czasach dopiero zaczynały kursować po Warszawie konne tramwaje; teraz, w 1906, mieli już tramwaje elektryczne, a i automobil czasem przejechał. Maks zauważył, że w sklepach przy Marszałkowskiej handluje się przyzwoitym towarem, a kobiety ubierają się równie modnie jak elegantki Paryża i Berlina. Ulice były szersze, domy wyższe. Choć w dzielnicy żydowskiej zaszły mniejsze zmiany, czuło się i tu powiew nowych czasów, dwudziestego wieku. Wielu młodych mężczyzn miało ogolone brody, nosiło kapelusze i garnitury; młode Żydówki paradowały w sukienkach z krótkimi rękawami, tak wyciętych, że widać było gołe szyje. Za Maksa czasów wszystkie żydowskie dziewczęta nosiły szale, kapelusze należały do rzadkości, a torebki były nieznane.

Teraz gazeta zamieszczała anonse o przedstawieniach w jidysz, o recytacjach poezji w Hazomir, o wieczorku pieśni w wykonaniu chóru Szejera, o zebraniu studentów w ognisku. Doktorzy polecali nawet swe usługi w leczeniu chorób wenerycznych i „męskich kłopotów”.

„No cóż, świat poszedł nieco z postępem” — mruknął do siebie Maks.

Dziwne! Wśród kawiarnianych gości było kilka dziewcząt. Jadły śniadanie przy małych stolikach i przeglądały gazety. „Ciekawe: co to za dziewczyny?” — zainteresował się. W Argentynie nie widywało się porządnych dziewcząt siedzących samotnie, szczególnie w restauracjach. Te zaś *fräuleinki* sprawiały wrażenie przyzwoitych; po ubiorach sądząc, mogły być robotnicami fabrycznymi lub pannami sklepowymi.

Mieszkając za granicą, Maks czytał o rewolucji 1905 roku w Rosji i o wojnie między światkiem przestępczym a robotnikami — czy raczej strajkującymi. Emigranci zwozili najprzeróżniejsze wieści o krwawej niedzieli, o bombie, którą Boruch Szulman rzucił w policjantów, o demonstracjach, strajkach, masowych aresztowaniach, wreszcie o tym, jak to car na koniec ustąpił, zezwalając Rosji na Dumę, czyli zgromadzenie narodowe. Jeden z felietonistów utrzymywał wszelako, że wszystko pozostało po dawnemu: władza była nadal w rękach czarnosecińców, a stary Rasputin zahipnotyzował cara, carycę i damy dworu.

„Dokąd by tu teraz pójść?” — zapytał sam siebie Maks Barabander. Wyjął notes, przekartkował go i natrafił na nazwę hotelu „Bristol”, którą pamiętał z przeszłości. Ludzie mówili, że stają tam generałowie i kupcy pierwszej gildii, a gdy ktoś w więzieniu narzekał na twardą pryczę, kumple żartowali: „Jutro cię przeniosą do «Bristolu»”. No więc teraz zatrzyma się tam Maks Barabander.

Wyszedł z kawiarni, przywołał dorożkę i kazał się zawieźć na Dworzec Wiedeński. Odebrał z przechowalni dwie skórzane walizki, które tragarz zaniósł do czekającej dryndy. Maks dał mu

dziesięć kopiejek i tragarz zgiął się w ukłonie.

„Tak, kto ma gotówkę, ten jest pan — zawyrokował w duchu Maks. — Kto płaci, ten wymaga”.

Oparł głowę o ściankę pojazdu i wciągnął głęboko powietrze. Każde miasto ma swoją własną woń. Jego nos zapamiętał zapach Warszawy z minionych lat jako mieszaninę bzów, rynsztoków, smoły, zawiewających od lasów na Pradze wiatrów i czegoś jeszcze, nieokreślonego. Co się tyczy hałasu, inaczej dzwoniły tramwaje i koła powozów inaczej turkotały po kocich łbach. Od targowiska wciąż niosła się wrzawa i dźwięczały głosy chłopców z chederu, odczytujących głośno wersety Pięcioksięgu. Dorożka zatrzymała się przed „Bristolem” i portier wniósł walizki Maksa po marmurowych schodach.

— Pokój jak to pokój — ocenił na głos Maks, ręką znawcy ugniatając materac. — Niezgorszy. Brakuje tylko kobiety.

Siadł w fotelu i zapalił papierosa. Znów wyjął notes z adresami. Od czegoś trzeba zacząć. Jeden znajomek zaprowadzi do następnego.

„Ciekawe — pomyślał — co teraz w Argentynie porabia Ruchełe”. Tu, w Polsce, jest lato, ale tam panuje zima. Kiedy tu jest wieczór, tam naturalnie o cztery godziny wcześniej. Morza, rzeki i kraje oddzielały go od Ruchełe, a co go z nią nadal wiązało? Myśli jedynie i wspomnienia.

Maks Barabander był na swój sposób filozofem, który rozważa rozmaite sprawy. W *Pięcioksiąg* nie wierzył, czuł jednak, że Bóg jest obecny w *Talmudzie*. Każdemu jego los pisany. I po co? Na co światu potrzebny cesarz Wilhelm, Puryszkiewicz albo Ślepy Mejer? Przyjaciel, który mu podsunął myśl, żeby odwiedził Ślepego Mejera, nie znał wprawdzie adresu, ale radził zajrzeć do knajpy na Krochmalnej.

Ślepy Mejer był hersztem miejscowych oprychów, kimś w rodzaju rabina dla twardzieli. Maks naprawdę nie miał zamiaru wdawać się w konszachty ze światkiem przestępczym Warszawy. Po co ze zdrową głową włączyć do łóżka chorego? Lecz rozejrzeć się nie zawadzi. Przemieszkował kiedyś na Krochmalnej i świetnie pamiętał tę knajpę.

Jego złoty zegarek wskazywał siódmą, a widno było wciąż jak w południe. Letnie dni są w Warszawie dłuższe niż w Buenos Aires czy Nowym Jorku; ściemnia się dopiero niewiele przed dziesiątą. Tym razem nie wziął dorożki — poszedł pieszo. Najpierw zaszedł na Gnojną i porozglądał się. Ten sam zapach nafty, mydła i śledzi. Stróż z cynkową blachą na czapce zmiatał końskie łajno. W sklepiku stali Żydzi w długich gabardynowych chałatach i grubych buciskach. „Nie gorąco to im?” — zdziwił się Maks, sam tylko w letnim garniturze i słomkowym kapeluszu.

Skręcił w Krochmalną. Po jednej stronie ciągnął się wysoki parkan, po drugiej jakiś budynek

bez okien. Co to takiego — fabryka, zbrojownia? Zapуścił się w głąb ulicy i wyszedł wkrótce na placyk, sławne miejsce spotkań złodziei, oszustów, sutenerów i kurew. Wszystko to pozostało po staremu. Młodzieńcy w nasuniętych na oczy czapkach stali w grupkach, rozmawiali i szeptali. Gromada sruli grała w loterię; wyciągali numery z woreczka, kręcili drewnianym kogutem i wygrywali pierniki, ciasto smażone w oleju i polewane czekoladą. W bramach wystawały prostytutki. Maks obrzucił je okiem znawcy. Nie używały rózu, ich twarze wyglądały tak, jakby je natarły czerwonym papierem; miały na sobie powiewne, jedwabne sukienki, czerwone pończochy i żółte sandaiki. Jedna była mała i pękata niczym balia, druga ospowata, z zapadniętymi policzkami i czołem w krostach. „Trzeba być splukanym do nitki, żeby się skusić na taką” — zawyrokował. W powietrzu wisiał swąd dymu i pieczonych potraw. Zaleciał go jakiś z dawna zapomniany fetor.

Przyuważyli go dwaj młodzi chuligani, mrugnęli do siebie, podeszli i jeden zapytał:

— Skąd jesteś, wujciu?

— Nie jestem dla ciebie żaden wujcio, zmywaj się — odburknął Maks.

— Wazniacha, he?

— Żebyś wiedział! Szuraj, bo w ryło zasunę.

— Twardziel, co nie?

Maks nie bał się tego rodzaju hołoty, uznał jednak, że lepiej nie wdawać się w bójkę. Precisnął się między nimi i poszedł dalej.

„Nic się tu nie zmieniło” — pomyślał. Ten sam smród, brud i ubóstwo. Handlary sprzedawały na targowisku nadgniłe owoce, obrane z łupin cebule, jajka z rysami, na które mówiły „małe zmarszczeczki”, i cerowały pończochy. Staruchy w czepcach i watowanych ubraniach, jakby wciąż trzymała zima, darły się:

— Gorący groszek! Bób! Placki kartoflane!

„Rozejrzę się tylko i więcej tu nie wrócę” — zdecydował. Stanąwszy pod szóstym, pchnął drzwi szynku i zajrzał do środka. Młodzi mężczyźni grali przy stolikach w domino, inni rozdawali talie wybrudzonych kart; kilku stało przy szynkwasiu, gawędząc z niską, obsypaną piegami dziewczyną o pełnych wargach. Po leżących na ladzie ciastkach i pasztecikach łaziły muchy. „Czy to możliwe, żeby Ślepy Mejer przesiadywał w takiej spelunie?” — zdumiał się Maks.

Ktoś krzyknął:

— Hej tam, wolnomularzu, drzwi zamykaj!

— Puść klamkę i chwyć się za kieszeń — zażartowała jakaś dziewczyna.

Maks cofnął się, zamknął drzwi i ruszył dalej. Nie miał ochoty ugrzęznąć w takim zaduchu w upalny dzień. Skierował się pod siedemnasty i rozpoznawszy knajpę, otworzył drzwi. Tu było

znacznie porządniej. Na kontuarze stały tace z pieczoną gęsina, półmiski z siekanymi śledziami, cielęce nóżki w galarecie, koszyczki ze słonymi bułeczkami i talerze z placuszkami jajecznymi. Przysadzisty jegomość napełniał kufle piwem z kranika. Przy stołach siedzieli mężczyźni i kobiety, popijając, gwarząc, pogryzając przekąski. Maks znalazł wolny stolik, usiadł i poprosił kelnera o piwo.

— Bawarskie czy owsiane? — zapytał kelner.

Nazwy te brzmiały znajomo, Maks zapomniał jednak, co oznaczają. Uśmiechnął się.

— Byle zimne.

— Coś do tego — siekany śledzik? siekana wątróbka? zraziki na zimno?

Zastanowił się.

— Niech będzie siekany śledzik z żytnim chlebem.

Rozejrzał się. Urodzony i wychowany w biedzie, nie cierpiał plugastwa. Ruchełe, która od życia wzięła niezłe cięgi, szybko nawykła do luksusu, kochała piękne stroje, kosztowne meble i najwytworniejszą biżuterię. Lubiła uprawiać hazard w kasynach i towarzyszyła mu w wypadach do Rio de Janeiro i Nowego Jorku. Choć Maks nie nauczył się nigdy mówić poprawnie po hiszpańsku, ona mówiła tym językiem płynnie, Arturo zaś jak rodowity Argentyńczyk. Syna swojego posyłali do szkół, jakie zadowolilyby wymagania najzamożniejszych rodziców. Ruchełe objawiła ponadto zmysł do interesów i Maks nie zawierał nigdy żadnej transakcji nie poradziwszy się jej wprzód.

Lecz siedem lat tłustych minęło. Ruchełe była teraz kobietą złamaną, Maks zaś, wielki babiarz, impotentem. W Paryżu skorzystał z usług pewnej pięknej dziewczyny. Pojechał z nią na wycieczkę do Deauville, zatrzymali się w najlepszym hotelu. Ledwie go jednak objęła, poczuł smutek i wstręt i zebrało mu się nagle na wymioty. Na nic się nie zdały ani szampan, ani jej uwodzicielskie zabiegi. To samo przytrafiło mu się w Berlinie, a nawet na statku. Zasięgał porady lekarzy w Ameryce i Europie, i wszyscy mówili to samo: nerwy. Zalecali hydroterapię, gorące kąpiele i przepisywali lekarstwa, które okazywały się równie skuteczne jak bańki dla nieboszczyka. Dawali mu wszyscy tę samą radę: Proszę się wybrać w długą podróż, zapomnieć o niepowodzeniach, znaleźć sobie nowe towarzystwo i nowe zainteresowania.

Kelner przyniósł mu kufel piwa, chleb z siekanym śledziem, kiszony ogórek i, na rachunek firmy, salaterkę groszku z pieprzem. Maks poczekał, aż piana osiadzie, po czym jednym haustem opróżnił pół kufła i zabrał się do siekanego śledzia. Rozkosze stołu były jedynymi, jakie mu pozostały. Upijał się rzadko i unikał towarzystwa innych pijaków z ich pustą gadaniną, przechwałkami i biadoleniem. Często myślał sobie, że mimo swoich czterdziestu siedmiu lat w gruncie rzeczy pozostał młody, ożywiony młodzieńczymi fantazjami. Choć był bogaty, w marzeniach wciąż zbijał miliony, znajdował ukryte skarby, uwodził śpiewaczki operowe, wielkie

damy i księżniczki, które się w nim zadurzały. Nie dość, że stał się bogaty jak Rothschild, to jeszcze udzielał pożyczek rosyjskiemu carowi i wykupił od sultana Palestynę.

Czytał kiedyś o dr. Teodorze Herzlu, który zmarł na atak serca, gdyż nie udało mu się zdobyć Palestyny dla żydowskiego narodu. Maks każdego roku przeznaczał szekiel na wsparcie sprawy syjonizmu. Planował nawet odwiedzić Palestynę w powrotnej drodze: zobaczyć Jerozolimę, grób Racheli, Ścianę Płaczu i osady, gdzie młodzi ludzie, wolnomyśliciele i eks-studenci, orali ziemię, sadzili winnice i rozmawiali po hebrajsku.

Tak, mieszkał tu kiedyś, pod siedemnastym na poddaszu, i codziennie przechodził koło tego szynku. Nigdy nie wstępował, bo w owych czasach nie stać go było na szklaneczkę piwa. Któregoś razu wpadł w poważne tarapaty z powodu kradzieży i weszła za nim policja. W końcu go aresztowali i odsiedział swoje na Pawiaku. A teraz jest obywatelem Republiki Argentyńskiej i ma rosyjską wizę przybitą w paszporcie. Guzik mu mogą zrobić.

Siedzieć samemu w knajpie to wątpliwa przyjemność. Żeby choć była z nim Rucheła! Żeby tak znaleźć sobie jakąś inną kobietę, z którą mógłby wejść w zażyłość! Rozejrzał się. Przy stolikach siedziało kilka kobiet w średnim wieku, rozłożystych i nalanych, wyglądających na straganiarki z bazaru Janasza. Terkotały ochryplymi głosami, a jedna była przepasana fartuchem z przepastnymi jak u domokrażcy kieszeniami. Nie, to nie to, czego szukał. Wyjął notes i kartkując go po raz kolejny, natrafił na czyjeś nazwisko i adres; lecz nie mógł sobie przypomnieć, od kogo je dostał. Podróże nadszarpaneły mu pamięć: wciąż gubił okulary, posiewał wieczne pióra, które kupił w Nowym Jorku, kiedy zaś zmieniał garnitur, zapominał o wyjęciu pieniędzy, dokumentów i chusteczki.

Do szynku wchodzili kolejni bywalcy, lecz nikt nie zwracał na niego uwagi. Wyglądało na to, że wszyscy się tu znają, zsuwali stoliki, rozmawiali głośno, śmiali się i wznosili toasty za długie życie. Rej wodził wśród nich mężczyzna o wielkim brzuchu, byczym karku i obwisłej twarzy, którego kamizelkę zdobił łańcuch ze złotych pięciorubłówek. Nazywano go Szmulem, schlebiano mu i śmiano się z jego żartów. Charcząc i świszcząc jak astmatyk, mówił głosem charakterystycznym dla ludzi o powiększonym sercu. Z wyglądu sądząc, był kiedyś olbrzymem, dla Maksa nie ulegało jednak wątpliwości, że kogoś takiego w każdej chwili może trafić szlag. Grubas wychylał kufel za kuflem, przegryzając flaczkami i gniecionymi kartoflami.

Opowiadał o tym, jak to uratował od paki pomocnika rabiego. Dobry ten człowiek udzielił ślubu wbrew prawu, jako że pomocnicy rabina nie mają oficjalnego rządowego zezwolenia na żenienie kogokolwiek. Mógł zafasować od trzech miesięcy do roku kryminału, ale on, Szmul, pofatygował się do sędziego śledczego i rzecz załatwił. Jakaś opasła kobieta o ciastowatych, sflaczałych ramionach, z gigantycznym balkonem biustu i cebrowatą głową, odezwała się zgrzytliwym głosem:

— Dał się posmarować, he?

— Kto nie smaruje, ten nie jedzie.

— Poczciwina zjawia się u mnie i błaga: „Panie Szmul, ratuj pan”. Cały się trzęsie. Zląkłem się, że mnie w domu kojfnie. Trzy dni w pierdlu, i taki jak on jest skończony.

— Zbieramy się na niego co tydzień.

— Człowiek ma czwórkę dzieci.

— Żona rabiego bierze u mnie rybę na szabas — powiedziała opasła kobieta. — Trzy ćwierci funta. Nic tam nie mówcie, ale zawsze jej coś nadważę — niech będzie mój dobry uczynek.

— Raz zamówiła u mnie jedwabną perukę — oznajmiła inna.

— A cóż to takiego?

— To nie wiesz? Jedwab zamiast włosów.

— Rabinowej nie wolno nosić cudzych włosów.

— Dlaczego nie?

— Bo na widok kłaków chłopu staje.

Rozległ się gromki śmiech i tupot. Opasła kobieta wysmarkała się w fartuch, a Szmul huknął pięścią w stół.

— Nie śmieście się. Pasiemy się ich cnotami. Maks Barabander nie mógł się dłużej powstrzymać. Wstał, podszedł do ich stolika i powiedział:

— Słyszę, że rozmawiacie w ojczystym języku. Czy mogę się przysiąc? Jestem nietutejszy, właśnie przyjechałem z za morza.

— Amerykanin, he?

— Argentyna to także Ameryka.

Umilkli, po czym odezwał się Szmul:

— Ano, przysuń pan sobie krzesło. Skąd pan jesteś, z Buenos Aires?

— Z Buenos Aires, z Nowego Jorku, z Paryża — z całego świata.

— Nu, i co tam słyhać w tym wielkim świecie? — spytał Szmul.

— Ten wielki świat składa się z wielu małych światów — odrzekł Maks, sam nie wiedząc, co za chwilę powie. — Jak się chce powiedzieć w Buenos Aires, że się zarabia na życie, mówi się: „robię Amerykę”. W Nowym Jorku zarabia się forszę. Gdy spytasz Żyda w Londynie, jak mu się wiedzie, odpowie, że mogłoby się powodzić o niebo lepiej, a w Paryżu Żydzi zapomnieli z kretesem, że są Żydami. Przesiadują po kawiarniach od rana do wieczora za dziesięć centymów. Odezdziesz się do nich, odpowiedzą: „O la la” i poproszą, żebyś im zafundował aperitif. To jest szklanek wina. Człowiek może wypić dziesięć takich szklanek i nie upije się.

— Nie piją nic mocniejszego? — zainteresował się Szmul.

— Francuzi wolą wino, co dobre jest do błogosławieństw, nie do rozgrzania serca — rzekł

Maks. — Czy mógłbym postawić wam sznapsa?

— Co pan rozumiesz przez „postawić”?

— Zamówić dla wszystkich.

— Myśmy nie żebracy, każdy może sobie sam zamówić swojego sznapsa, ale jeśli pan życzy sobie wypić za przyjaźń, że tak powiem, proszę najuprzejmiej. Jak zwykł mawiać mój dziadek: „Nigdy nie odmawiaj kieliszeczka wódki i niuszka tabaczki”.

— Co byście do tego zjedli?

— A w której to świętej księdze napisano, że trzeba coś do tego zjeść?

— Wzięłabym jeszcze porcyjkę flaczków! — wykrzyknęła opasła handlara.

— Cóż to, Rejcele, małoś to jeszcze tłusta? — zakpił Szmul.

— Mój mężuś taką mnie lubi.

— Ta lalunia umie się zachwalić — skomentował Szmul. — Jak pan mówiłeś, że się nazywasz, hę?

— Maks Barabander.

— Szmul Wachler, ale wołają mnie Szmul Śmietana. Tak mnie przezwali i przylgnęło.

— Dlaczego Śmietana? Lubi pan śmietanę?

— Lubię wszystko, czym inni nie gardzą. To przez to mi tak brzuch urosło. To prawda, że porywają dziewczyny na ulicy i wywożą do Argentyny?

— One same tam jadą.

— Jest kelner...

Jedni zamówili wódkę, inni koniak, Maks poprosił o whisky. Kelner wrzucił ramionami, bo nie wiedział, co to takiego. Maks użył tego słowa, by podkreślić, że jest cudzoziemcem i znane mu są trunki, o jakich oni w ogóle nie słyszeli.

Poza Szmulem Śmietaną i Rejcele jeszcze trzy kobiety i dwaj mężczyźni przysiedli się do stolika. Jeden z nich, o kwadratowej twarzy, niski, barczysty i niemal pozbawiony szyi, zsunął czapkę ze swoich blond włosów. Nazywali go Zelig, a Szmul Śmietana powiedział, że na ulicy znany jest jako Zelig Kiszke albo Zelig Fischer. Jego żona, Machle, pulchniutka kobietka z zakrzywionym nosem i bardzo blisko siebie osadzonymi, żółtymi oczami, śmiała się i zahaczała wzrokiem to Szmula Śmietanę, to Maksa. Raz i drugi zdawało mu się nawet, że puszcza do niego oko. „Co jej odbiło? Czyżby sądziła, że wciąż jest łakomym kąskiem?” — zdziwił się.

Jego uwagę przyciągnął chudy mężczyzna, skóra i kości, którego czaszki nie porastał ani jeden włos. Ubrany był jak arystokrata — prążkowany garnitur, sztywny kołnierzyk, gors i krawat ze szpilką. W jego klapie tkwił papierowy kwiat, taki, jakie sprzedają na wentach dobroczynnych. Wątlym głosem schorowanego człowieka zamówił dziewięćdziesięcioprocentowy spirytus i gorącą kielbasę.

— Co znaczy ten kwiat?

— To z Towarzystwa Zdrowotnego.

— A cóż to takiego?

— Wysyłają gruźlików do Otwocka.

— I co dalej?

— To ich ostatnia stacja. Pakuje się ich potem w podrózne kufry.

— Wstydzilibyś się tak mówić, Fulie! — wykrzyknęła mała kobietka.

— Kiedy to prawda!

— Za prawdę biją — stwierdził Szmul Śmietana.

— Lechaim!

Maks przełknął wódkę i zakąsił galaretką z cielecych nówek gotowanych z cebulką i czosnkiem. Ogarnęła go radość, jakiej dawno już nie odczuwał.

Ani w Paryżu, ani w Berlinie nie znajdzie się tak zacnej kompanii. Używają tam francuskich bądź niemieckich wyrażonek albo gadają litwackim dialektem. Poza tym niemal wszyscy, z którymi stykał się za granicą, byli od niego młodsi i traktowali go jak starca. Nigdy nie wiadomo, gdzie człowiek może spotkać przyjazną duszę. Nie minęło jeszcze pół godziny, odkąd wszedł do tej knajpy, a już dla tych ludzi był Maksem. Jeden ze stałych bywalców, starszy mężczyzna nazwiskiem Chaim Kawiarnik, oznajmił, że ma kawiarnię niedaleko stąd, pod ósmym.

— Jeśli lubisz sernik, zajdź do mnie. Nigdzie na świecie nie dostaniesz lepszego sernika.

— Co się jada w Argentynie? — zapytała milcząca dotąd kobieta.

Mogła mieć czterdziestkę lub nieco ponad, drobna, ciemna, z obciętymi jak u chłopca włosami, przyprószonymi już siwizną. Pod jej ciemnymi jak czarne wiśnie oczami rysowały się zmarszczki. Miała krótki nos, mały podbródek i zrośnięte brwi. Sprawiała wrażenie subtelniejszej od reszty, a choć niemłoda, zachowała dziewczęcy wygląd. Kiedy się śmiała, rozbłykiwały bielą jej drobne, szeroko rozstawione zęby, a w lewym policzku ukazywał się dołeczek. Maks zerkał na nią kilka razy, lecz ona zdawała się unikać jego wzroku. Miała na sobie szary żakiet, na którym wisiało coś w rodzaju sakiewki, w jakiej sklepikarze noszą zwykle pieniądze.

— Już myślałem, że jesteś niemową — ucieszył się Maks.

Szmul prychnął świszczącym śmiechem.

— Zadrzyj z nią tylko, a usłyszysz taką wiązkę, że ci uszy spuchną.

— Czemu miałbym z nią zadzierać? W Argentynie jadamy befsztyki, dwa razy dziennie. Wysyłamy wołowinę na cały świat. Rośnie u nas gatunek trawy zwany alfalfa, na którym bydlę pięknie się tuczy. W Argentynie możesz jechać setki mil i nie widzisz nic, tylko pampę — pastwiska i trzody.

— Wysyła się z Argentyny mięso bydlęce, a sprowadza ludzkie — zażartował Szmul.

— To prawda, ale już niedługo nie będą sobie musieli zawracać głowy importem. Hiszpanki wcale nie są takie cnotliwe. Kłopot tylko z tym, że ledwie na taką spojrzysz, już zachodzi w ciążę.

— Od samego spojrzenia? — zapytała kobieta o czarnych oczach.

— Tak mówią. Goje w Argentynie — mężczyźni znaczy — wcale nie są pobożni. Nawet w niedzielę nie chodzą do kościoła. Pobożność to sprawa señoras. One biegają do kościoła, spowiadają się przed księdzem i tak dalej. Ale gdy męża takiej damulki nie ma w domu, możesz się do niej uśmiechnąć. Tyle że prędko się starzeją — stuknie takiej trzydziestka, i szlus. To sprawa klimatu. Zresztą tam prawie każdy mężczyzna ma kochankę.

— Cudowny kraj.

— U nich krew nie woda. Ludzie wygadują na Argentynę brzydkie rzeczy, ale gdybyście tam pojechali, zrozumielibyście. Przypili cię i musisz się wyładować.

— Jak to się stało, że porzuciłeś tak cudowną krainę i machnąłeś się taki szmat drogi aż na Krochmalną? — zapytała drobna kobietka.

— Wszystko ma swoją przyczynę. Jesteś sklepikarką?

— Mój mąż jest piekarzem, a ja sprzedaję chleb, bułki i bajgele. Mamy piekarnię na Krochmalnej, pod piętnastym.

— Jak ci na imię?

— Estera.

— Handel pieczywem to dobry interes. Ludzie zawsze będą jeść chleb i bułki.

— Mój mąż ma dwunastu czeladników. Długo zostajesz w Warszawie?

— Nie wiem.

— Wpadnij jutro wieczorem. Kolację jemy około dziesiątej. Poznam cię z moją siostrą. Jest ode mnie około dziesięciu lat młodsza.

— I tyś jeszcze nie taka stara.

— Ani stara, ani młoda — już babka. Mam dwuletniego wnuka. Gdzieś się zatrzymał w Warszawie?

— W „Bristolu”.

Na chwilę zaległa cisza.

— Nie należysz ty więc do kapcanów — zawyrokował Szmul Śmietana.

— Biedacy nie przyjeżdżają do Polski, żeby odwiedzać groby rodziców — powiedział Maks, zaskoczony własnymi słowami.

— Nu, więc jesteś jednym z nas — rzekł Szmul. — Tu w Warszawie człek się nie wzbogaci. Nie masz bogatego tatusia, nie wyjdiesz na puryca. W innych krajach, w takiej Ameryce, człowiek może się wybić. Czym się trudnisz, hę?

— Kamienice i parcele.

— I faktycznie przyjechałeś na groby rodziców?

— Moi rodzice są pochowani w Raszkowie.

— Gdzie to jest? Myślałem, że jesteś z Warszawy.

— Mieszkałem tu kiedyś, właśnie pod siedemnastym.

— Zjeżdżają te Amerykany, a człowiek ledwo rozumie ich mowę. Przyjedzie taki, sześćdziesiątka na karku, a wygląda na czterdziestaka. Gania za sziksami, aż się nie rozchoruje i musi iść do szpitala. Jedyne, co mają, to dolary. Za jednego dolara dostajesz dwa ruble. A w Argentynie jakich używają pieniędzy?

— Peso.

— Przyjeżdżają tu i mówią, że czują się jak w domu. Raz zjawił się tu taki jeden gość z Londynu i zabrał się z nami do Falenicy. W Londynie, powiada, nie ma czystego powietrza — wszędzie dym i słońce nie świeci. Dzień w dzień mgła i furt leje. Gelt ważą na funty czy czort wie na co. Ale jedna rzecz jest wszędzie taka sama — wciąż musisz smarować łapę. Jak masz sklep i każą ci go zamykać o siódmej wieczór, to jak ty masz jego zamknąć o siódmej wieczór, kiedy o tej porze ludzie wracają z roboty i robią sprawunki? Więc musisz posmarować łapę policmajstrowi albo stójkowemu. Bo jak nie, zrobi na ciebie doniesienie i marny twój widok. Tym się zajmują. Trzeba wiedzieć, komu posmarować i jak. Nie możesz tak po prostu wyciągnąć trzech rubelków i wręczyć ich komisarzowi. Z punktu by cię zaarrestował za dawanie łapówek, a za to można trafić do pudła.

Z niektórymi musisz zagrać w karty, w oczko albo w sześćdziesiąt sześć — ciągnął Szmul — i przegrywać. Inaczej ci kubana nie wezmą. Jak Szmul Śmietana telefonuje, że chciałby uciąć partyjkę, oberpolicmajster już wie, że jest wygrany, choćby nic nie miał na ręku. Któregoś dnia dostałem dwie dziewiątki, mówimy na nie „szrages”, blojdy nic warte, i parę waletów. Z taką kartą trzeba się migiem zwijać. Ale jażem nie przyszedł grać w karty. Orientowałem się, że podkomisarz ma karetę z asów, otworzyłem za pięć rubli, a kiedy podbił do dwudziestu pięciu, przegrałem. Zwykle, jak wygrywają, nie fatygują się, żeby cię sprawdzić; ale ten wyciąga łapsko i kikuje. „Ty czort, ty nastraszyć mnie chciał, a?” A ja: „Tak jest, wasza ekscelencjo”. Tak to u nas jest. Możesz się do kart ze Stołypinem albo i z samym carem, jeżeliś gotów przegrać dostatecznie dużą sumkę. Ester — zwrócił się do piekarskiej — twój mąż jest piekarzem, nie żadnym szmuglerem, a i on daje kubany. Ich żonuscie przyłożą i biorą pieczywo za frajer. Prawda czy nie?

— Amerykę odkryłeś?

— A czym to zgrzeszył piekarz? — zaciekawiał się Maks.

Estera roześmiała się.

— Dla tej rosyjskiej świni wszystko jest grzechem. Nasyłają rewizorów sanitarnych, a ci stwierdzają, że w piekarni masz nie dość czysto. U siebie w koszarach ugniatają ciasto kulasami, ale u nas nie dość im czysto. Zajdź do nas jutro wieczór. Mąż wszystko ci opowie.

Odwróciła oczy.

— Twój mąż do jedenastej w nocy piecze bajgele — powiedział Szmul.

— Przed dziesiątą jest już w domu.

— Nie wygłupiaj się, Ester. Po co kręcisz? Zaproś człowieka do siebie. Zajdź do niej, Maks, Gotuje jak dla króla. Ma przystojną siostrę i piękną córę, sama też nie ugryzie.

Gruchnął śmiech, a Estera zarumieniła się jak młoda panienka.

— Pleciesz, co ci ślina na język przyniesie, Szelme. Toż ja już bube.

Po odejściu wszystkich Maks został jeszcze, żeby uregulować rachunek, po czym i on wyszedł. W letnie wieczory robi się zwykle chłodniej. Lecz nie tutaj. Od ceglanych murów, bruków i blaszanych dachów bił żar. Na ulicy aż roiło się od dzieci obojga płci. Bawiły się na środku jezdni, a gdy nadjeżdżała dorożka, w ostatniej dopiero chwili uskakiwały na bok.

Poszedł w stronę Gnojnej. Ze wszystkich bram nawoływały mężczyzn prostytutki. Choć wypił trochę i był na lekkim rauszu, odczuwał przygnębienie. Po czorta odbył tak długą podróż — żeby pogadać ze Szmulem Śmietaną? Zostać zaproszonym do domu piekarskiej, która jest babką? Choć swego czasu miał w Warszawie całą furę przyjaciółek, nie pamiętał już, gdzie one mieszkały.

„Czemu po prostu nie pojedę do Raszkowa? — zastanawiał się. — Mógłbym uczynić coś pożytecznego. Człowiek nie żyje wiecznie”.

Przez chwilę próbował wyobrazić sobie, co by się stało, gdyby tu nagle padł trupem. Ruchełe najprawdopodobniej nie dowiedziałyby się nigdy, gdzie spoczęły jego kości. Jak to zwykła powtarzać matka (niech odpoczywa w pokoju)? „Życie jest tańcem na grobach”. Co powinien zrobić? Zamówić u kopisty zwój Tory? Dać pieniądze na towarzystwo dobroczynne, które sprzedaje papierowe kwiaty?

Przypomniał mu się naraz dobry człowiek, ten rabi, którego Szmul Śmietana ocalił od więzienia. Można by zająć do niego i ofiarować mu parę rubli. Nie było jeszcze tak późno, nikt się nie kładzie spać o tej porze. Maks Barabander zdawał sobie sprawę, że jego zachcianka zatrać szaleństwem. Czyżby stał się nagle filantropem? Nie był chory — uchowaj Boże — popychała go jednak jakaś siła.

Zaczepił starą kobietę w czepcu.

— Czego pan sobie życzy? — zapytała.

— Gdzie tu mieszka rabi? Zapomniałem nazwiska. Ten dobry człowiek. Ludzie idą do niego, żeby się pobrać.

— Chodzi panu o pomocnika rabiego? Pod dziesiątym, na pierwszym piętrze. Widzi pan ten balkon, tam gdzie się świeci?

— Stokrotne dzięki.

— Z bramy na lewo.

Przeciął ulicę i wszedł do bramy, oświetlonej pełgającym płomykiem naftowej lampki. Przystanąwszy na chwilę, objął spojrzeniem podwórko. W padającym z okien świetle zobaczył kubeł na śmieci, ślepy mur i komórkę. Robiło się już późno, a ludzie wciąż zajęci byli pracą. O jego uszy uderzył hurkot maszyn do szycia, stukot szewskich młotków, terkot i szum, jakby się znalazł w fabryce.

Zdążył już zapomnieć o istnieniu mieszkań w suterrenach. W lewej oficynie ujrzał klitkę z krzywym sufitem i sięgającym ziemi okienkiem. Na sznurach suszyło się pranie. Jakaś kobieta słała łóżko na szerokiej lawie. W kuchni dziewczynka gotowała garnek kartofli. Naszła go myśl, żeby im dać kilka rubli, ale trzeba by schodzić po tych mrocznych schodach.

Stwierdził, że schody prowadzące do mieszkania rabiego również były nie oświetlone.

— Och, żyją tu jak przed wiekami — mruknął do siebie, wdrapując się po stopniach.

Właśnie namyślał się, do których by tu drzwi zapukać, gdy jedno z nich otworzyły się same i ujrzał kuchnię o pomalowanych na różowo ścianach. Na murowanym z cegieł piecu stały garnki, pod sufitem wisiała naftowa lampa z cynkowym kloszem. Przy stole siedziała jakaś kobieta i coś pisała.

— Gdzie tu mieszka dobry człowiek? — zapytał Maks Barabander. — Chodzi mi o...

Kobieta podniosła głowę w peruce. Miała szczupłą twarz, zapadnięte policzki i mały nos. Obrzuciła go pytającym spojrzeniem szarych oczu, w których lekki przestach sąsiadował z powściągliwym uśmiechem.

— Chce się pan widzieć z pomocnikiem rabiego?

— Tak, z pomocnikiem rabiego.

— To mój mąż, ale w tej chwili nie ma go w domu. Czy chce go pan o coś zapytać?

— Mm, nie chodzi o zapytanie.

— Mąż jest w bożnicy. Bożnica Neustadter, tak ją nazywają.

— To znaczy, że pani jest rabinową?

— Tak, rabinową.

— Zechce pan wejść i zamknąć drzwi — odezwała się siedząca na łóżku dziewczyna.

W tonie jej głosu pobrzmiwały zniecierpliwienie i drwina. Wyglądała na osiemnaście-dziewiętnaście lat, ubrana była w perkalikową sukienkę z wysokim kołnierzykiem i długimi

rękawami, ciemne włosy miała upięte w kok. Jej twarz świeciła jasno, mimo że dziewczynę spowijał cień. Było w niej coś, co wprawiło Maksa w zmieszanie. Wydawała się zarazem prowincjonalna i światowa, omal jak te kobiety, które widywał w Paryżu i Berlinie. Jej uroda jaśniała tym wyraźniej, że druga dziewczyna — jej siostra? — siedząca na skrzyni, miała ciemną karnację, szeroki nos i grube męskie brwi. Zamknął za sobą drzwi i stał przez chwilę, nie wiedząc, co powiedzieć — po czym, jak zwykle, zdał się na swoją elokwencję.

— Przyjechałem z dalekich krajów. Zaszedłem do szynku pod siedemnastym i niejaki Szmul Śmietana opowiedział mi o pani mężu. Pani jest zapewne córka? — zwrócił się do ładniejszej z dziewcząt. — Czy też może jesteście siostrami? Ten człowiek powiedział mi, że rabi wpadł w — jak by tu rzec? — tarapaty z powodu jakiegoś ślubu. Nie bójcie się, nie jestem szpiclem. Dowiedziałem się, że dobry człowiek cierpi, i przyszło mi na myśl, że musi mu być bardzo ciężko wiązać koniec z końcem. Miałem tu kiedyś rodziców, ale pomarli. Nie w Warszawie, tylko w Raszkowie. To takie miasteczko w lubelskiej guberni. Może wiecie, gdzie to jest. Przyjechałem odwiedzić groby rodziców. Ja również pochodzę z Warszawy. Mieszkałem tu przeszło dwadzieścia lat temu.

Przyglądały mu się ze zdziwieniem. Rabinowa mierzyła go przenikliwym wzrokiem. W oczach jasnej dziewczyny wzbierał śmieszek, a ciemna, przyciężkawa, gapiała się na niego z rozdziawionymi gamoniowato ustami. Rabinowa odłożyła pióro.

— Zechce pan chwilę zaczekać. Mąż niedługo wróci. Cirełe, przynieś krzesło dla naszego gościa.

Cirełe, ta ładniejsza, podniosła się z ociąganiem. Otworzyła drzwi do nie oświetlonego pokoju i przyniosła stamtąd krzesło. Postawiła je na środku izby.

— Dziękuję, nie będę siadał — powiedział Maks. — Jak zwykła mawiać moja matka: „Człowiekowi starczy dobrze stanąć”. Nasiedziałem się w pociągu, półtora dnia. Chociaż jechałem drugą klasą, było to meczące. Zatrzymałem się w hotelu „Bristol”.

— W „Bristolu”?! — wykrzyknęła Cirełe. — To musi kosztować majątek!

— Nie taki znów majątek, cztery ruble za dzień.

— To dwadzieścia osiem rubli tygodniowo!

— Wielkie mi mecyje! W Berlinie płaciłem za dzień dwanaście marek, to jest sześć rubli.

— Pan musi być milionerem!

— Cirełe, nie pleć głupstw — skarciła ją rabinowa. — Jeśli Bóg pomoże...

— Sześć rubli dziennie to czterdzieści dwa ruble tygodniowo. Gdzie pan doszedł do takiej forsy? Gdzie pan mieszka — w Ameryce?

— Tak, w Ameryce Południowej.

— A my tu siedzimy i marzymy o najęciu nauczyciela — westchnęła Cirełe. —

Chciałybyśmy się uczyć rosyjskiego i polskiego. Zaglądał tu wczoraj jeden, co bierze dwadzieścia kopiejek za lekcję. Trzy lekcje w tygodniu to sześćdziesiąt kopiejek, cztery guldeny. Uczyłby nas obie za taką zapłatę. Ale skąd wziąć tyle pieniędzy? To moja przyjaciółka, Lejele — dodała, wskazując drugą dziewczynę.

— Lejele, naprawdę? Miałem kuzynkę Leę. Umarła na ospę trzydzieści lat temu, oby się to pani nie przydarzyło!

— Nie szczepiono wtedy na ospę? — spytała rabinowa.

— Nie w Raszkowie. Pani też mieszka na tej ulicy? — zwrócił się z pytaniem do Lei. Zdawało się, że już-już udzieli odpowiedzi, ale słowa nie od razu wydostały się z jej ust. Gdy się wreszcie rozległy, to wśród wysiłków jękaniny.

— My mieszkamy przy biedniejszej ulicy. Przyjechaliśmy z Wyszkowa. Najpierw przyjechał mój tatu, potem mamę z bratem Joelem, siostrą Nemi i moją najmłodszą siostrzyczką.

— Czym się trudni pani ojciec? Czy też jest pomocnikiem rabiego?

Na twarz Lei wypłynął uśmiech.

— Nie, tatu jest swatem, a na boku handluje po domach zegarkami. Starszy brat jest urzędnikiem w biurze.

— Ojciec swat, więc czemu pani nie wyswata?

Rabinowa zmarszczyła brwi.

— To jeszcze dziecko. Jak przyjdzie czas, na pewno trafi na sobie przeznaczonego.

— Przyjechałem tu i wszystko zdaje mi się czemuś dziwne. Dwadzieścia z górą lat obijałem się po szerokim świecie i oto znowu tu wróciłem. Byłem w knajpie i Szmul Śmietana wszystko mi opowiedział. Co to przeszkadza tej rosyjskiej świni, jeśli dobry człowiek udzieli ślubnej ceremonii? Później wszyscy się porozchodzili. A hotel, choćby nie wiem jak wspaniały, to nie dom. Jak to mówią, samotność doskwiera. Więc przyszło mi do głowy, żeby zająć i zobaczyć się z dobrym człowiekiem.

— Ma pan rodzinę w Ameryce? — zapytała rabinowa.

— Miałem.

— Cóż się stało?

— Miałem syna, Arturo, tak mu było na imię. Żona dała mu tak po swoim ojcu, Arje-Lejb. W Argentynie Arje to Arturo. Kochany dzieciak, zdolny, ładny. Wrócił ze spaceru i poskarżył się, że boli go głowa. Żona kazała mu się położyć. Położył się i westchnął sobie. Żona poszła, żeby mu przynieść szklanekę wody, a jak wróciła, było już po wszystkim.

Rabinowa wzdrygnęła się.

— Niech Bóg nas zachowa i strzeże!

— Nie mogłem sobie odtąd miejsca w domu znaleźć — dodał Maks.

— A pańska żona?

— Zabrała się wnet po nim. — Ze zdumieniem przysłuchiwał się własnym słowom.

— Strzeż nas Boże! Cóż się stało, rozchorowała się?

— Zażyla truciznę.

Rabinowa załamała szczupłe dłonie. Przechyliła głowę, jakby chciała splunąć, nie uczyniła jednak tego.

— Niech Bóg nas zachowa od podobnego nieszczęścia. Pewnie z bólu pomieszało się jej w głowie. Niechaj jej wybaczy Pan na wysokościach!

— Jednego dnia mam dom, drugiego zostaję bez rodziny.

Na chwilę zaległa cisza, słychać było, jak knot pije naftę w lampie.

— Czym się pan zajmuje?

— Handluję domami i parcelami.

— Nu, wszystkim rządzi przeznaczenie. Nic się nie dzieje bez przyczyny — zawyrokowała surowo rabinowa.

Wydało mu się naraz, że ona nosi taką właśnie perukę, o jakiej w szynku opowiadała fryzjerka, perukę z naturalnego jedwabiu. Już miał o to zapytać, lecz zmiarkował w porę, że to nie najodpowiedniejszy moment. Dopuścił się bezczelnego kłamstwa! I po co?

Cirele przechyliła głowę. Przyglądała mu się ze współczuciem i uwagą, ale i z zaciekawieniem. Nagle powiedziała;

— To znaczy, że wybrał się pan w podróż, aby zapomnieć o *verzweiflung*.

Dawno już nie słyszał tego z niemczyzny wziętego żargonowego słowa, oznaczającego rozpacz, jednego z tych słów, jakie spotyka się w gazetach. Zrozumiał jednak jego znaczenie i poczuł skurcz w żołądku. Ta sziksa, córka rabiego, wyraziła jednym słowem jego zgryzotę oraz przyczynę, dla której wyruszył w tę podróż. Dreszcz przebiegł mu po plecach.

Musiał zmienić temat.

— Tak, właśnie dlatego. Co pani pisze, rabinowo? — zapytał.

— Kwitki z życzeniami.

— Na co to? Do bożnicy?

— Mój mąż nie należy do rabinatu i nie dostaje żadnych pieniędzy od gminy. Mieszkańcy tej ulicy co tydzień składają dla niego datki. Poborca obchodzi wszystkich, zbiera datki i każdemu daje kwitek.

— I z tego dobry człowiek żyje?

— Czasem trafi się ślub, rozwód, jakiś proces.

Maks zamyślił się na chwilę.

— Pobożny człowiek powinien mieć dostateczne środki na utrzymanie, by mógł studiować

Torę i nie musiał się martwić o pieniądze.

Cirele roześmiała się i oczy się jej zaiskrzyły.

— Niejedno być powinno. Na naszej ulicy mieszkają tragarze, którzy dźwigają na plecach tak straszne ciężary, że aż dziw bierze, iż nie padają pod nimi. Większość z nich to starzy Żydzi. Widziałam kiedyś takiego, który dźwigał szafę. Nigdy nie zrozumiałem, jak to się stało, że nie zwałił się pod tym ciężarem. A w jakich mieszkają warunkach? W ciemnych piwnicach, tak wilgotnych, że na pewno skończą na suchoty. Chodzą w strzępach i łachmanach. Niedawno jeden umarł i ludzie składali się na całun.

— Cirele, nie mieszaj w to tragarzy, kiedy rozmawiamy o twoim ojcu — zaprotestowała rabinowa. — Oczywiście, ci Żydzi zasługują na współczucie. Ale jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

— Owszem, mam, ma. W sprawiedliwym świecie nikt nie będzie cierpiał niedostatku, a w niesprawiedliwym cierpią go wszyscy, z wyjątkiem paru wyzyskiwaczy i krwiopijców.

— Strajkujący wybili twojemu ojcu okna.

— Paru głupich smarkaczy. Rozeźliło ich to, że ojciec występuje przeciwko nim w bożnicy. Dlaczego jeden biedak miałby występować przeciwko drugiemu biedakowi? Oni nie walczyli z ojcem, ale z carem.

Rabinowa wzdrygnęła się i odłożyła pióro.

— Co też ty mówisz, córko? Ta twoja gadanina zaprowadzi nas na szubienicę.

— Nie bój się, mam. Ten człowiek nie jest donosicielem.

— Boże uchronaj! Ale ściany mają uszy. Car nie może każdego uczynić bogatym. Choćby podzielił cały swój majątek, wypadłoby wszystkiego po trzy ruble na głowę.

— Nikt go nie prosi, żeby się dzielił swoim majątkiem. Niech da ludowi wolność, prawdziwą wolność, a nie jakąś tam Dumę, gdzie boją się słówkiem pisnąć, bo ochrana trzyma na wszystkim łapę poprzez swoich szpicli...

— Córko, zamilkiesz ty wreszcie czy nie?! — Rabinowa podniosła głos. — Przychodzi człowiek, a ta zaraz wyskakuje ze swoimi uwagami. Nie możemy się troszczyć o cały świat. Biedacy zawsze byli i będą, chyba że przyjdzie Mesjasz. Powiedziano w *Torze*: „Nigdy nie przestaną istnieć biedni na tej ziemi”.

— Wiem, mam, wiem. Jakże mógł nasz nauczyciel Mojżesz przewidzieć, co się zdarzy za trzy tysiące lat? U nas nie musi być biedaków. W Rosji jest dość ziarna, żeby każdy mógł najeść się do syta. Rosja eksportuje nawet zboże do innych krajów. Możemy wybudować fabryki, które by produkowały wszystko, co potrzebne człowiekowi — ubrania, buty, wszystko. Tymczasem chłopci chodzą nadzy i bosi, kawałek chleba jest luksusem dla tych, co uprawiają ziemię i zbierają ziarno na chleb, którym objadają się inni. Nie zapewniają swoim dzieciom

najmarniejszego choćby wykształcenia. A jeśli już je czegoś uczą, to całowania krzyża.

— Chcesz więc troszczyć się o chłopów, choć to antysemita i urządzają pogromy Żydów?

— Urządzają pogromy, bo Czarna Sotnia ich podburza. Co tacy chłopci mogą mieć przeciwko żydowskim robotnikom z Berdyczowa czy Kiszyniowa? Puryszkiewicz ich podszczuwa, a oni leżą jak barany. Ktoś musi przyjść i powiedzieć im prawdę.

— Więc leć i powiedz im ją!

— Gdybym tylko znała rosyjski!

Maks przysłuchiwał się temu ze zdumieniem. Jeszcze nigdy nie słyszał, żeby dziewczyna przemawiała w taki sposób. Lea, przyjaciółka Cireły, siedziała z rozdziawionymi ustami, jej szczeka przypominała mu zuchwę krowy.

— Proszę się na nią nie gniewać, rabinowo — powiedział. — Dziewczyna ma głowę nie od parady. To dlatego, że jej ojciec jest rabim, a — jak to mówią? — niedaleko pada jabłko od jabłoni. On rozmyśla nad Torą, a jego córka pragnie, aby *Tora* zaowocowała. W Ameryce też są socjaliści i nikt im nie broni demonstrować. Pierwszego maja wychodzą z czerwonymi sztandarami i czym tam jeszcze. Walczą o krótszy dzień pracy i wyższe płace.

— Nie mają cara, a jednak są tam biedacy — stwierdziła rabinowa. — Kto czyści kominy, Rockefeller?

— Skąd pani wie o Rockefellerze, rabinowo?

— Wiemy. Moja córka codziennie kupuje gazetę i czyta ją od deski do deski. Nie możemy się troszczyć o cały świat! — Ton jej głosu zmienił się. — Wszechmocny stworzył świat i On sprawuje nad nim pieczę. Lepiej idź i pozmywaj statki.

— Nie teraz, mamo, nie teraz.

— Proszę się na mnie nie gniewać, rabinowo — zaczął Maks, nie wiedząc, co dalej powiedzieć. — Siedziałem w szynku i usłyszałem, co ludzie mówią o rabim, i chciałbym, że się tak wyrażę, jakoś się przyczynić. Nie należę do biedaków. Ale co mi po pieniądzach? Jeśli można, zejść na dół i coś kupić. To będzie mój dobry uczynek. Sklepy są jeszcze otwarte i wszystko można dostać — kiełbasę, świeże bułki, bajgele, sardynki. Może miałyby pani ochotę na szklaneczkę wina lub wódeczki? To pobudza apetyt. Dobry człowiek wróci niedługo z bożnicy i też miałby ochotę coś przekąsić.

Rabinowa zmarszczyła brwi.

— Nie jesteśmy bogaci, ale jeść, chwalić Boga, mamy co. Dziękuję za dobre serce, lecz to niepotrzebne.

— Czy mógłbym w takim razie złożyć datek na jakąś religijną księgę bądź inny święty przedmiot?

— Mąż niedługo wróci i...

Gdy to mówiła, na schodach rozległy się kroki. Cirele udało się jednocześnie roześmiać i zrobić oko. Kroki były ciężkie i spieszne. Drzwi otworzyły się i Maks ujrzał niskiego, nieco przysadzistego mężczyznę, ubranego w gabardynowy, sięgający do kostek chałat, ciężkie buty i znoszony, wystrzępiony kapelusz. Rabi miał rudą brodę, ciemne, kręcone pejsy, bladą twarz, krótki nos i jasne oczy.

„Podobny do córki jak dwie krople wody” — ocenił w duchu Maks. Jakieś niezwykle ciepło promieniowało od tego człowieka. Maks miał uczucie, że już go kiedyś spotkał.

Rabi chciał najwyraźniej coś zakomunikować. Wpadł jak człowiek, którego gna pragnienie podzielenia się jakąś nowiną. Na widok gościa zmieszał się i wyglądał na nieomal przestraszonego. Lecz w tej samej prawie chwili odzyskał dobry humor.

— Dobry wieczór — powiedział. — Żyd? Witam. Pan czeka na mnie, hm?

— Zapal lampę w tamtym pokoju — poleciła córce rabinowa.

— Tak, mame.

Dziewczyna wstała i wyszła do sąsiedniej izby. Maks szybko zlustrował jej figurę. Niewysoka, ale szczupła, wąska w talii. Objął jednym spojrzeniem dziewczęce ramiona, małe buciki, płaską pierś, białą szyję — delikatną jak u dziecka. Ładna cipcia.

— Przyjechałem z dalekich krajów, rabi, i usłyszałem o tobie — zaczął. — Pragnąłbym złożyć datek na jakiś godziwy cel.

— Naprawdę? Rad jestem! Znajdą się w Warszawie jesziwot, gminy, a i prosty lud, co potrzebuje pomocy. Proszę wejść. Po co siedzieć w kuchni? Zapraszam.

Wyciągnął drobną dłoń. Maks trzymał ją przez chwilę w swoim łapsku. Górował nad rabim wzrostem i spoglądał na niego z wysoka, jakby tamten był chłopcem z chederu.

Przeszli obaj do drugiego pokoju. Cirele zdążyła już zapalić lampę. Maks zobaczył ściany pełne ksiązek i Świętą Arkę, zasłoniętą parochetem. U szczytu dwa lwy podtrzymywały tablice z Dziesięciorgiem Przykazań, na ich grzywach uwypuklały się złote blaszki. Miały czerwone języki, zadarte ogony, a ich szklane ślepia gorzały jakimś świętym szałem. Na pulpicie pod oknem piętrzył się stos religijnych ksiązek i zapisanych kartek papieru. Na środku stał stół, krzesło i dwie ławki.

„Co to jest? Bet-hamidrasz, synagoga?” — zdziwił się Maks. Nie spodziewał się, że z tej kuchni może być wejście do świętego przybytku. Zdjął go niepokój na myśl o kłamstwie, jakiego się przed chwilą dopuścił — że jest wdowcem.

Cirele uśmiechnęła się.

— Oto nasz salon. W Ameryce ludzie pewnie inaczej urządzają sobie mieszkania.

— I u nas są synagogi — rzekł Maks — lecz rabi mieszka oddzielnie.

— To nie jest synagoga. W soboty modli się tu zgromadzenie — wyjaśnił rabi, jak gdyby się

usprawiedliwia! — Arka należy do nich, ale książki religijne są moje.

— Czyysz tu macie wysoki? — zapytał Maks.

— Dwadzieścia cztery ruble na miesiąc. Mamy jeszcze drugi pokój i balkon. Jak na Warszawę to nie za drogo. Na innych ulicach komorne jest wyższe.

— Rabi, pragnąłbym złożyć pewną sumę z przeznaczeniem na twój czynsz. Pięćdziesiąt rubli.

Rabi popatrzył na córkę.

— Po co? Nie trzeba nam tego. Oczywiście, ciężko nam przychodzi regulowanie czynszu. Ale jakoś sobie radzimy, dzięki Bogu.

— Czy pańska córka jest zaręczona? — spytał Maks, zaskoczony własnymi słowami.

Rabi zastanawiał się przez chwilę, jakby sam już nie pamiętał, czy jego córka jest zaręczona, czy nie. W oczach Cirele pojawiła się mieszanina śmiechu i żalu. Zarumieniła się, ale rumieniec oblał jedynie połowę jej twarzy.

— Proszę siadać — zachęcał go rabi. — Rzecz przedstawia się następująco: zaręczona nie jest, ale ludzie przysyłali swatów. Jak każe zwyczaj, dziewczyna wnosi wiano swojemu mężowi. Ale pomocnik rabiego nie może sobie pozwolić na posag. Nu, każdy ma sobie przeznaczonego małżonka. Skąd pan jest? Czym się pan zajmuje?

Cirele podeszła do drzwi, lecz zatrzymała się w progu. Może ojciec poprosi, żeby przyniosła herbatę lub coś do zjedzenia. Rzuciła na Maksa spojrzenia karcące zarazem i z lekka prowokujące.

„Z tą dziewczyną potrafię dojść do porozumienia — ocenił Maks. — Tylko patrzeć, jak umówię się z nią na randkę”.

Rabi ostrożnie przysiadł na krześle, na którym leżała poduszka obleczone w czarną ceratę.

— Co do miejsca mego zamieszkania, to mieszkam w Argentynie — powiedział Maks — lecz teraz jadę ze świata: Londyn, Nowy Jork, Paryż, Berlin. Zajmuję się sprzedażą domów i parceli.

— Ach tak? I co tam słysząc na świecie? Żydzi są Żydami, hę?

— Tak, rabi, Żydzi są Żydami. Ale nie tak jak tutaj. W Whitechapel są synagogi, mykwy i wszystko inne, ale młode pokolenie mówi po angielsku. Rozmawiasz z takim i naraz słyszysz: „Jestem Żydem”. A nie powiedziałby tego, tobyś i nie wiedział. W Paryżu rozmawiają po francusku. A w Argentynie młodzi zaczęli mówić po hiszpańsku.

— Na Żydach z Hiszpanii ciąży klątwa — rzekł rabi, na pół do siebie, na pół do gościa.

— Argentyna to nie Hiszpania. Hiszpanie przybyli tam i podbili kraj. Przepędzili Indian i wymordowali ich.

— Czym sobie na to zasłużyli?

— A czemu Żydzi wytępilli narody, które zamieszkiwały niegdyś ziemię Izraela? — odezwała się nagle Cirele od drzwi. — Wśród nich także były matki i ojcowie dzieciom. Czym sobie zasłużyli na zagładę?

Rabi drgnął. Najwidoczniej nie zdawał sobie sprawy, że jego córka wciąż tam jest. Pociągnął się za brodę i natychmiast ją puścił. Zdjął już kapelusz, na głowie miał tylko jarmułkę. Jego wysokie czoło przecięła zmarszczka.

— Tak postanowił Wszechmogący. Ludzie ci, siedem narodów, nurzali się w grzechu. „Nie ma końca występkom na tym świecie”. Gdy garnek gliniany staje się trefny, musi zostać stłuczony. Podobnie jest z miastami i narodami. Gdy całe miasto oddaje się bałwochwalstwu, staje się miastem przeklętym. Przychodzi czas, kiedy człowiek tak głęboko pograża się w grzechu, że niemożliwa staje się pokuta.

— A czym zawiniły małe dzieci? — zapytała Cirele. — Małe dzieci nie popełniały grzechów. Rabi skrzywił się, a jego głos stał się chrapliwy.

— Małe dzieci cierpieć muszą za grzechy swych ojców. Gdy ojcowie i matki powstają przeciw Stwórcy, oddają się czarnoksięstwu i wszelkim sprośnościom, wówczas nikt nie może być chroniony.

— To nie jest w porządku, tato.

— Co też ty mówisz? Co się z tobą dzieje? Nikt nie jest w stanie odczuwać głębszego współczucia niż Stwórca. Napisano: „A dusze, które stworzyłem...” Przyniosłabyś lepiej herbatę. A może zjadłby pan coś do herbaty? — zwrócił się do Maksa.

— Rabi, chciałbym prosić twą córkę, żeby wyszła i coś nam przyniosła. Dam jej pieniądze. Chwileczkę!

Podszedł do drzwi i wcisnął Cirele dwa dziesięćorublowe banknoty.

— Proszę nam coś przynieść, *Fräulein*, jakieś ciastka lub owoce. Ja też będę jadł, by uczcić dobrego człowieka.

— Dwadzieścia rubli na ciastka?

— Resztę proszę zatrzymać dla siebie. Na naukę rosyjskiego.

Cirele obejrzała się przez ramię, jak gdyby podejrzewała, że matka podsłuchuje.

— Nadzwyczajny człowiek! — mruknęła do siebie.

Spał kilka godzin. Obudziwszy się sprawdził czas na zegarku i okazało się, że nie ma nawet jeszcze trzeciej. Okna zabarwiały już szarością świt. Maks wstał z łóżka i zaczął się gimnastykować, podnosząc ręce, nogi, robiąc skłony, w prawo, w lewo, w przód i do tyłu.

We śnie dotrzymywały mu towarzystwa nie tylko Ruchełe, ale i jego dawne przyjaciółki. Przysniła mu się również Cirełe, płynęli razem okrętem. Wiózł z sobą inne kobiety, stłoczone jak kurczaki w kojcach. Przyniósłszy im pożywienie, powiedział: „Czy kapitan nie wie, co tu się wyczynia, czy tylko tak udaje?” Zerwała się wichura i zagnała okręt ni mniej, ni więcej, tylko na Syberię. „Czy i na Syberii jest ocean — zdumiał się Maks — czy też okręt ten frunie w powietrzu?” Jakie to dziwne! Kobiety, do których przemawiał, były na wpół ludźmi, na wpół kurami. Gdakały wszystkie, a jedna zaczęła pisać niczym kogut. Cirełe powiedziała nagle: „Będziemy musieli ją zarznąć”. I w tym momencie Maks zerwał się ze snu, przepełniony żądzą. Zaprzagnął się wykąpać i zadzwonił po pokojówkę. Lecz o tak wczesnej porze nikt się nie zjawił. W berlińskim hotelu, w którym się zatrzymał, łazienka była w pokoju, ale tu wannę i gorącą wodę trzeba było zamawiać. Umył się w umywalce, nacierając skórę ręcznikiem maczanym w słonej wodzie — lekarstwo na nerwy. Stał w takim miejscu, aby móc wyglądać przez okno. W dole ciągnęła się opustoszała ulica, Jak okiem sięgnąć ani dorożki, tramwaju czy przechodnia. Na drzewach osiadła rosa, świergotały ptaki. Wrócił do łóżka.

Znów zaczął śnić. Tym razem znalazł się w jakimś mieście, które było jednocześnie Buenos Aires i Nowym Jorkiem. Okręt, oparłszy się sztormowi, przybił do portu i pasażerów przewożono na Ellis Island. Ruchełe przebrała się za mężczyznę, ale spod marynarki wystawały jej damskie majtasy. I ślepy by odkrył maskaradę. Maks krzyknął do niej, żeby schowała koronki, lecz ona go nie słuchała. Poczęstował ją pięścią i obudził się, zlany potem, z łomoczącym sercem. „Te sny wpędzą mnie w obłąd!” — rzekł do siebie. Czuł się teraz zupełnie osłabły, mimo że we śnie przepełniał go dawny wigor.

Musiał się znowu ochłapać zimną wodą, żeby ostudzić żądzę. Zdawało mu się, że przespał tylko kilka minut, ale zegarek wskazywał za dziesięć szóstą. Z ulicy niosły się dzwonki tramwajów, a stróże zamiatali miotłami chodniki i polewali je wodą ze szlauchów.

Zanim się ubrał, zrobiła się siódma. Minął kilka przecznic, nim trafił na kawiarnię, i już miał wejść do środka, by zamówić śniadanie, kiedy przypomniał sobie o Chaimie Kawiarniku, który przechwalał się, że ma najlepsze serniki na świecie.

„Pójdę tam” — zdecydował i szybko znalazł dorożkę. Kiedy dryndziarz usłyszał, że ma jechać na Krochmalną, nabzdyczył się. Machnął jednak batem. „Wiśta!”

Maks oparł się o ścianę pojazdu. Kto wie? Może uda mu się zobaczyć Cirełe. Rabi

wspominał coś o jakimś balkonie. Czy ona wyszłaby na balkon? Zamknął oczy. „To szaleństwo” — pomyślał. Zabrnę tak daleko, że siedem par wołów nie zdoła mnie wyciągnąć.

No cóż, nazbyt wielu już doznał porażek, musi przełamać zły urok. „Coś się musi zdarzyć” — rzekł sobie w duchu. Ruchełe może się poważnie rozchorować; może się nawet zgodzić na rozwód, jeśli odda jej połowę majątku. Główna rzecz to nie pozostawać biernym.

Dorożka przemierzała liczne ulice o nie znanych mu nazwach. Wkrótce wjechali w obręb dzielnicy żydowskiej i Maks rozpoznał fasadę Wielopola. W dole, między kolumnami gmachu, straganiarze handlowali obrusami, ręcznikami, bielizną, nićmi, guzikami, starzyzną. Powietrze pachniało czereśniami, truskawkami, porzeczkami oraz innymi woniami lata. Maks odetchnął głęboko, wdychając przy tym smród końskiego łajna. Nawet Krochmalna wyglądała bardziej świeżo niż wczoraj. Na rynku nie było aż takiego ścisku.

Drynda zatrzymała się pod ósmym i Maks dał dorożkarzowi czterdzieści groszy. Zobaczył kawiarnię, wszedł do środka i poznał Chaima Kawiarnika. Miał on teraz na sobie długi fartuch, a na głowie białą czapkę kucharską. Na widok gościa zakrzyknął:

— Amerykanin, jak żyję i oddycham!

Klasnąwszy w dłonie, wskazał mu krzesło.

— Siadaj, proszę. Nie wyjdiesz ode mnie głodny.

— Zapach twoich bułeczek czuje się aż na ulicy.

— Na moje bułeczki ściągają aż z Muranowa. Obyśmy tak obaj żyli i dobrze się mieli!

— Nie dostałbym u ciebie żydowskiej gazety?

Chaim otworzył drzwi, krzyknął na gazeciarza i już po chwili jakaś dziewczuszka przyniosła żydowski dziennik. Maks nigdy jeszcze nie był tak spragniony żydowskich słów. Polityczne wiadomości z pierwszej strony wydały mu się te same co wczoraj, za to lokalne obfitowały w katastrofy — powódź w Lublinie, strajk kolejarzy w Rosji, pożar w Warszawie z licznymi ofiarami śmiertelnymi. Pod nagłówkiem CZŁOWIEK BESTIA przeczytał: „Wczoraj późnym wieczorem stróż ze Smoczej 12, Jan Łopata, wrócił do domu pijany i rzucił się na swoją córkę, Mariannę, lat jedenaście. Jej matka usiłowała przeszkodzić zwierzęcej napaści pijaka, ale ten ugodził ją nożem. Następnie Jan Łopata zgwałcił swe własne dziecko. Krzyki sąsiadów ściągnęły policję, która aresztowała zwyrodniałego ojca i zabrała go, skutego kajdanami. Żona stróża przebywa w szpitalu Świętego Ducha w stanie krytycznym”.

Maks jadł sernik, starając się wniknąć w sens tego, co przeczytał. „Tak jak słodki jest smak tego sernika, tak gorzkie potrafi być życie” — pomyślał. Kto zgadnie, jakie szalone myśli mogą zalegnąć się w głowie ojca? On sam, Maks, wprawdzie nie miał córki, ale czyż podobnych czynów nie dopuszczali się i starożytni? Czyż Jakub nie ożenił się z dwoma siostrami? W Argentynie, Peru, Boliwii, Chile, a i gdzie indziej też, ojcowie gwałcą własne córki, bracia parzą

się z siostrami, matka gzi się z rodzonym synem. Winni tych zbrodni nie zawsze trafiają do aresztu; idą do księdza, żeby się wyspowiadać, a on udziela im rozgrzeszenia wodą zgryzoty. Indianie żyli w zgodzie z tysiącletnimi zwyczajami... Ale Jan Łopata bez dwóch zdań odsiaduje swoje na drewnianej pryczy Pawiaka.

— Jeszcze szklaneczkę kawy? — Chaim Kawiarnik osobiście przyniósł gorący napar i siadł na krześle naprzeciwko Maksa. — I co tam piszą w gazecie?

— Same katastrofy.

— Ty myślisz, że oni piszą rzetelne słowo? Te pismaki czasami łąą. Jak mieszkałeś za granicą, to czy tam ludzie wiedzieli, co tu się wyprawia?

— Są i tam gazety.

— O japońskiej wojnie słyszeliście?

— Tak, wszyściuteńko.

— Tu u nas wybuchły straszne bunty, aż musiałem zamykać kawiarnię. Strajkujący ogłosili, że wszyscy mają być równi i ma nie być cara. Ja się ich pytam, czy to ja mam obalić cara, a oni mnie na to: „Tyś także burżuj, krew naszą pijesz”. Tak do mnie. Ktoś im musiał czytać — jak to się nazywa? — proklamację. Sami czytać nie umieją. Jak przy kim znajdą takie buntownicze papiery, zsyłają takiego na Sybir. Kiedy się rozeszło, że car ustępuje, pomaszerowali na magistrat, a tam przywitały ich kule. Padali jak muchy. Przycwałowali kozacy na koniach i nakarbowali szablami łbów. W to wszystko wdały się kurwy, złodzieje, paserzy, alfonsy i rozpętała się prawdziwa bitwa. No to znów wpadli strajkujący i pobili dziwki — pewna *madame* została dotkliwie poturbowana. Taki jeden tutaj, nazywany Ślepym Mejerem, dostał pięć razy nożem.

— Ślepy Mejer? Gdzie on się kręci?

— Ty jego znasz?

— Obiło mi się o uszy to nazwisko.

— Był tu hersztem żulii. Rabi go nazywali. Okradli go, szedł do Ślepego Mejera i płacił jemu okup, a jak już Ślepy Mejer kazał ganewowi oddać gelt, wszystko było zwrócone do ostatniego grosza. Dzisiaj on już nie szycha. Zaślepl na jedno oko, na drugie też niedowidzi. Nowe pokolenie wyrosło; jak napisano w *Pięcioksięgu*: „I nie poznał Józefa”. Rozumiesz, co to znaczy, hę?

— Uczyłem się trochę w chederze.

— Zapomina się te rzeczy, ale coś tam zawsze zostaje. Budzę się w środku nocy i przypomina mi się jakiś werset z *Pisma*, a potem go znów zapominam. Słyszałem, że byłeś wczoraj u rabiego i dałeś mu parę rubli.

Maks Barabander odsunął szklanę.

— Kto ci powiedział?

— Tu ludzie wszystko wiedzą. Rabi jest dobry człowiek, golec do entej potęgi. Miał syna, który się zrobił modnym Żydem i odszedł z domu. Wdział kapelusz i pelerynę, a ojciec siadł i jego opłakiwał. Widziałeś Cirele, e?

— Tak, była w domu.

— Dobra dziewczyna, ale ojciec nie ma z niej pociechy. Zanadto postępową. Namawiali ją, żeby poszła za syna mełameda, reb Zajnwele, ale jej nie w smak były te swaty. A gdy matka nalegała, próbowała się rzucić z balkonu. Akurat byłem tam i słyszałem, jak krzyczy. Wyleciała w samej koszuli i próbowała przeskoczyć przez poręcz. Samobójstwo, tak to się nazywa. Sam rabi wyskoczył za nią, bez chałata, w samym tylko tałas-kutn, mycka spadła mu z głowy. Swaty lichy wzięło. Ona zachodzi tu co rano po gazetę. Ty jesteś wdowiec, co?

— Tak, wdowiec.

— Co tam znów za harmider? Wyjrzę zobaczyć.

Chaim wyszedł, Maks pociągnął łyk kawy. Opłaciło się tu zająć. Nie tylko zjadł smaczne śniadanie, ale i dowiedział się czegoś o Cirele. Jeśli ta sziksa zdolna jest do takiej złości, trzeba z nią uważać. Z drugiej strony musi mieć krew gorącą. Chyba nietrudno ją będzie zbałamucić.

Wrócił Chaim.

— Szklarz wypadł z okna na trzecim piętrze.

— Zabił się?

— Nogę złamał.

„Ma więcej szczęścia ode mnie” — pomyślał Maks. Zawiozą go do szpitala i złożą mu kulasa. Przywołał kelnera, zapłacił i skinął na pożegnanie Chaimowi.

Wyszedszy z kawiarni, zerknął na balkon rabiego. Stał na nim chłopczyk z rudymi pejsami, w rozpiętym chałaciku, spod którego wystawał mały tałas z cyces. Balkon zawieszony był tak nisko, że Maks mógłby go niemal dosięgnąć. Zawołał:

— Hej, jak ci na imię?

— Mnie? Iczele.

— Rabi jest twoim tatą?

— Tak.

— Jest w domu?

— Nie.

— A mama?

— Nie ma.

— A kto jest w domu?

— Siostra.

Maks poczuł skurcz w żołądku. „Wejść tam. Co się może zdarzyć? Jeżeli mnie wyrzuci,

świat się od tego nie zawali”. Wszedł do bramy. Czyżbym się w niej zakochał? — zapytał sam siebie. Nie, to nie miłość, lecz upór, chęć rozbicia muru. Przyjechał do Polski, żeby popełnić coś, nie wiedział tylko, co. Jeśli nie zdoła wygrzebać się z dołka, nie ma po co wracać do domu. Był jak gracz w ruletkę, który całą fortunę stawia na wirujące koło.

Zapukał do drzwi, nie było odpowiedzi. Nacisnął klamkę, drzwi otworzyły się i zobaczył Cirełę. Siedziała na żelaznym łóżku i czytała żydowską gazetę. W blasku słońca mógł w pełni ocenić jej urodę. Należała do tego gatunku brunetek, których włosy wpadają w odcień złotoblond. Jej twarz i szyja były olśniewająco białe. Na policzkach płonęły dwa ceglaste rumieńce, jakie widuje się u suchotników oraz u młodych dziewcząt, ledwo co wyrosłych z lat dzieciennych. Wyglądała młodziej niż poprzedniego wieczora. Na widok Maksa jej niebieskie oczy rozbliły na moment uśmiechem promiennej radości właściwym istotom jej płci. Spoważniała jednak szybko i cofnęła się z wahaniem o krok. Na sukience miała czarny taftowy fartuszek, jak uczennica.

— Niech się pani nie boi, Cirele — uspokoił ją. — Nie zrobię pani krzywdy. Zaszedłem do kawiarni tu pod ósmym, do — jakże mu tam? — Chaima Kawiarnika — i zobaczyłem pani brata na balkonie. Podobni jesteście do siebie jak dwie krople wody.

Cirele odłożyła gazetę.

— Nie poszedł dziś do chederu z powodu galówki.

— Cóż to takiego?

— Urodziny stryja cara. Iczele chodzi do rządowego chederu, oni tam obchodzą wszystkie chrześcijańskie święta.

Nie wszystko z tego, co powiedziała, dotarło do Maksa, ale jej głos wprowadził go w oszołomienie. Brzmiała w nim ta sama chropowatość co w głosie dobrego człowieka, jej ojca, a przy tym dźwięczał niczym dzwonek. Jej wargi rozchyliły się, ukazując mlecznobiałe zęby. „Ona jest czarująca” — osądził w duchu. Chwycił go chęć, by skoczyć do niej, porwać w ramiona, przycisnąć z całej siły i unieść gdzieś, gdzie mógłby z nią być sam na sam, by się upoić jej ciałem. Nie zapominał jednak, że musi nad sobą panować. To córka rabiego, a jej brat jest w domu.

— Chciałbym porozmawiać z panią o czymś, co ma na celu jedynie pani dobro — powiedział.

— Tak? Mamy nie ma w domu. Muszę zaraz przygotować obiad.

— A może zjadłaby pani obiad ze mną? Zabiorę panią do... jak to mówicie...? do restauracji. Chciałbym z panią porozmawiać.

— O czym chciałby pan ze mną porozmawiać? Tego by mi tylko brakowało — pokazać się z panem na ulicy. Tu jest jak w małej mieścinie, a nawet gorzej. Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi. Mama... — urwała. Popatrzyła na niego z ukosa, zaciekawiona, na wpół przestraszona.

Powiedziała: — Mam jeszcze resztę z tych pieniędzy, które mi pan wczoraj dał.

Zrobiła ruch, jakby chciała wyciągnąć pieniądze z pończochy.

Przyglądał się jej ze zdziwieniem.

— Nie chcę pani pieniędzy. Przeciwnie, zamierzam dać ich pani więcej. Spotkalibyśmy się może gdzieś poza domem. Jak się nazywa ten ogród, do którego nie wpuszczają Żydów?

— Ogród Saski? Wpuszczają, ale tylko tych, którzy nie noszą chałatów, a kobieta musi mieć na głowie kapelusz.

— Kupię pani kapelusz.

Obrzuciła go zdumionym i podejrzliwym spojrzeniem.

— Co by ludzie powiedzieli? Córka rabiego! Przegnaliby ojca z Warszawy.

Zrobił krok w jej stronę.

— Nie w całej Warszawie znają pani ojca. Może tylko na tej ulicy. Proszę wyjść na Marszałkowską, a nikt nie będzie wiedział, kto pani jest. Zajdziemy do jakiegoś sklepu i kupimy pani najładniejszy kapelusz w Warszawie. Potem weźmiemy dorożkę i pojedziemy...

— Pojedziemy? Dokąd? — zapytała ze skwapliwością dziecka, któremu obiecują „dorosłe” rozrywki.

— Och, do ogrodu albo dalej, na Nowy Świat. Nie pamiętam, jak się nazywają te aleje.

— Aleje Jerozolimskie. Nie mogę nigdzie jechać, muszę szykować obiad. Mama poszła pod dwunasty — zobaczyć się z przyjaciółką. Obiad jemy o drugiej; mój braciszek Mojsze wraca z chederu i...

— Spotkajmy się po obiedzie.

— Gdzie? Kiedy się dokądś wybieram, muszę powiedzieć, dokąd. Mama jest nerwowa. Zaraz zaczyna się martwić i dostaje palpacji. Muszę się opowiadać z każdego kroku, kiedy wyjdę gdzieś na godzinę.

— W tak piękny dzień wszyscy wychodzą na spacer, nawet córki rabinów. Niech pani przyjdzie do „Bristolu”, będę na panią czekał. Weźmiemy dorożkę i nikt nas nie pozna. Pani mogłaby być moją córką. Kupię pani kapelusz, buty, co tylko pani potrzeba. Spędzimy z sobą troszkę czasu, a potem wróci pani dorożką. Może ma pani ochotę pójść do teatru albo do opery. Kupię bilety w pierwszym rzędzie.

Cirele oblizwała górną wargę.

— Z teatru nie wraca się przed północą. Pomyśleliby, że mnie porwano albo co. Matka umarłaby ze strachu. Tatusz...

— Nie musimy iść do teatru. Możemy pójść do kawiarni, przejechać się po praskim moście. Słyszałem, co pani wczoraj mówiła, i zaraz zmiarkowałem, że z pani niegłupia dziewczyna. Pani rozumie, o co w życiu chodzi, tyle że pani rodzice — to fanatycy. Wydadzą panią za jakiegoś

ciemieję i ogolą pani głowę. Nałożą pani perukę z jedwabnych włosów i będzie pani miała dom pełen brudnych bachorów.

Spoważniała.

— Tak, to prawda, ale...

— Po co „ale”? Proszę przyjść po obiedzie do „Bristolu”. Jeśli boi się pani wchodzić na górę, zaczekam na panią przed hotelem. Nie jestem biedny, mam pieniądze. Żona mi umarła i, jak to mówią, zostałem na świecie sam jak palec. Chciałbym być dobrym człowiekiem, ale potrzebuję kogoś, dla kogo mógłbym być dobry — zakończył, zachwycony własnymi słowami.

Sam już nie wiedział, czy stara się zbałamucić tę dziewczynę, córkę rabiego, czy zamierza dzielić z nią życie. Pewien znakomity doktor z Berlina, psychiatra, znający jidysz, powiedział mu, że najskuteczniejszym lekarstwem na jego dolegliwości byłoby zakochanie się. „Przy Cirele stałbym się znowu mężczyzną” — pomyślał, nie mając pewności, czy naprawdę jest o tym przekonany, czy tylko próbuje to sobie wmówić.

Cirele z wahaniem odłożyła gazetę na łóżko.

— Boję się, że ktoś mógłby nas poznać.

— Nikt pani nie zobaczy.

— Co zrobię z kapeluszem, gdy wrócę do domu? Będą mnie pytali, skąd go mam.

— Tak? Porozmawiam z pani rodzicami. Powiem im, że chcę panią poślubić.

Jakby dybuk przez niego przemawiał.

Rzuciła szybkie spojrzenie w stronę drzwi.

— Och, co też pan mówi!

— Jestem od ciebie o blisko trzydzieści lat starszy — ni stąd, ni zowąd zaczął jej mówić „ty” — ale jeszcze nie jestem stary. Moglibyśmy pojechać razem w podróż dokoła świata. Nająłbym ci nauczyciela, nie żadnego zgrzybiałego belfra, co to liczy sobie dwadzieścia kopiejek za lekcję, ale profesora, który uczyłby cię rosyjskiego, niemieckiego, francuskiego i czego byś tylko chciała. Ja również pragnę się uczyć. Jak to mówią? „Lepiej późno niż wcale”. Pieniądzy mam dość, dziękować Bogu. Pojedziemy do Paryża, do Londynu, do Nowego Jorku. Ty nie jesteś byle wsiową Salcią. Wystarczyło mi na ciebie spojrzeć, żeby się zorientować, jaka z ciebie fajna dziewczyna.

Kolory na twarzy Cirele zmieniały się z zadziwiającą szybkością. W jej oczach odbił się przestrah, a zarazem zmieszanie kogoś, kto pragnąłby pilnie wyrzucić coś z siebie, ale się hamuje. Zaczęła rozplatać warkocz, najpierw prawą, potem lewą ręką. Dłonie miała drobne i białe jak jej ojciec.

— Błagam, ktoś mógłby wejść i nas usłyszeć! — wybuchnęła.

— O której przyjdiesz? — zapytał, przekonany, że przyjdzie.

W jej oczach odbił się skupiony namysł.

— O czwartej?

— Dobrze, o czwartej.

— W „Bristolu”?

— W „Bristolu”.

— Może lepiej po drugiej stronie ulicy?

— Niech będzie po drugiej stronie ulicy.

— Przyjdę, ale... do domu będę musiała wrócić piechotą. Dorożką nie będę mogła. Ludzie już gadają za moimi plecami — pan sobie nawet nie wyobraża... Usiłowali mnie zmusić.... wbrew mojej woli.... Lepiej już umrzeć... po prostu....

— Tak, wiem.

— Ktoś już panu powiedział?

— Tak, kiedy jadłem śniadanie u Chaima Kawiarnika.

— Och, tylko proszę nikomu nie mówić. Gdyby się ktoś dowiedział, dopiero byłoby gadanie.

— Komu miałbym powiedzieć? Nikogo tu nie znam. Jeśli chcesz, pomówię z twoimi rodzicami.

— Oni by nigdy...

Urwała.

— Nigdy nie wiadomo. Nie mają na posag dla ciebie. A taki chłopak z jesziwy musi dostać od rodziny narzeczonej dach nad głową, wikt i opierunek. Pogrom tu był?

— Nie, ale strzelali do ludzi... Na naszym podwórku mieszkał jeden chłopak, Wowa miał na imię, jego matka była wdową. Poszedł na demonstrację i więcej go nikt żywego nie widział.

— Kochałaś się w nim?

— Nie, tylko...

— No, pójdę już. Pamiętaj: o czwartej naprzeciw „Bristolu”.

— Dobrze, o czwartej.

Miał się już pożegnać, gdy naraz otworzyły się drzwi do bożniczki i wbiegł chłopczyk o rudych pejsach. Ujrzawszy Maksa cofnął się.

— O, to pan rozmawiał ze mną, jak stałem na balkonie! — oświadczył, wskazując go palcem.

Maks przyjrzał mu się uważnie. Tyle lat mieszkając poza krajem, zapomniał już, jak się w Polsce ubiera żydowskie dzieci. Chłopiec miał na głowie wymiętą, wystrzępioną aksamitną czapkę z daszkiem przesuniętym na bok. Jego twarz, równie jak u siostry biała, była cała umorusana. U chałacika dyndał jeden guzik. Z łatanych butów wyglądały palce. Mały tałes wisiał na nim krzywo, jeden frędzel wyżej od drugiego. Maks objął malca doświadczonego spojrzeniem.

Chłopiec zmieszał się i w pośpiechu utykał koszulę za spodnie. Cirele zerwała się z miejsca i zrugła go.

— Ty popatrz tylko na siebie... Zakładamy mu świeżą koszulę, a ta zaraz czarna jak święta ziemia — wyjaśniła Maksowi. — W błocie by się tylko tarzał.

— Nu, nie szkodzi. Dziecko jak to dziecko — wstawił się za nim Maks. — Jak mówiłeś, że ci na imię?

— Iczele.

— Chodzisz do chederu?

— Dziś nie byłem.

— Czego się uczysz, *Pięcioksięgu*?

— *Pięcioksięgu, Komentarzy, Talmudu*.

— Jaki na dziś ustęp?

— *Szlach*.

Maks umilkł. Studiował kiedyś Pismo, lecz wszystko zapomniał. Wyraz „szlach” coś w nim poruszył. „Powiniennem jechać do Raszkowa” — przypomniał sobie.

— Masz tu czterdzieści groszy — zwrócił się do Iczele, a ten wyciągnął rękę.

Cirele zmarszczyła brwi.

— Niech mu ich pan nie daje! Na co mu pieniądze? Nakupi tylko cukierków i dostanie w brzuchu robaków.

— A właśnie że nie dostanę.

— Na, bierz — powiedział Maks. — Kup sobie, co tam chcesz, tylko mamie nie mów. Nie powiesz, co?

— Nie.

— Nie mów jej, że ktoś tutaj był. Leć i kup sobie, na co masz ochotę. Na imię mi Maks.

— Maks? To nie żydowskie imię.

— Moje prawdziwe imię to Mordche, ale w Ameryce Mordche to Maks.

— Ty mieszkasz w Ameryce?

— Co znowu za „ty”? — skarciła go Cirele. — Do starszych trzeba się zwracać przez „pan”.

— Zapomniałem.

— Nic nie szkodzi. Może mi mówić „ty”. Ty także, Cirele. Ledwo wszedłem wczoraj do waszego domu, poczułem się od razu jak u siebie, jak gdybym wrócił do swoich rodziców (niech odpoczywają w raju). Chodziłem do chederu i tak dalej. Miałem rabiego, który nazywał się Szepsł Benek, takie miał przynajmniej przezwisko. W Raszkowie wszyscy mieli jakieś przezdzwiska: Berele Koziół, Fajwele Podrap Mnie, Herszele Kugliłeb. Jednego przezywali Zajnwele Kiszkojad. Co sobie kupisz za te pieniądze, ha? — zapytał chłopca.

— Wcale że sobie nie kupię cukierków.

— Nie? A co?

— *Talmud*. Czytamy z tego samego *Talmudu* z jeszcze jednym chłopakiem. Ale on przeciąga go na swoją stronę i nie daje mi patrzeć. A potem, jak trzeba odpowiadać, ja nie wiem, który ustęp, i rabi zaczyna się wydzierać.

— To *Talmud* kosztuje tylko dwadzieścia kopiejek?

— Mały *Talmud*.

— Masz tu jeszcze czterdzieści groszy i kup sobie jakichś łakoci. Kupisz sobie mały *Talmud* i jeszcze ci coś zostanie na rozrywki. Tylko nie mów nikomu, że tu byłem. Przyrzekasz?

— Dobrze, nie powiem.

— Teraz muszę już iść!

Maks wyszedł z mieszkania i zderzył się z jakąś kobietą. Nie była to rabinowa, lecz jakaś jejmość niosąca kurczaka; wyglądała na straganiarkę.

„Znowu mam po co żyć” — stwierdził w duchu. Nie czuł już pustki dręczącej go od tragicznej śmierci Artura. Z bramy skręcił w lewo. „Co też z tego wszystkiego wyniknie? Ruchełe żyje. Nie jestem wdowcem...” — Ruszył wolno w kierunku Gnojnjej.

— Tonący brzytwy się chwyta — powiedział do siebie na głos.

Wieczorem padało i dorożkarz musiał postawić budę. Maks objął Cirełe i pocałował ją. Poczuł, jak zadrżała niczym mała ptaszyna. Odepchnęła go, dławiąc się śmiechem. Jej twarz oblał jakiś dziwny rumieniec. Od tak dawna już nie pożądał żadnej kobiety tą nieposkromioną i szaloną żądzą, jaką płonął, kiedy był młody.

— Kocham cię, kocham! — bełkotał. — Pobierzemy się. Będziesz matką moich dzieci...!

Jej serce tłukło się tak gwałtownie, że aż się przestraszył. „Rozwiędę się z Ruchełe — postanowił. — Zabiorę Cirełe do Afryki, gdzieś na koniec świata!”

Dorożka wjechała w Gnojnją i Maks kazał dryndziarzowi stanąć, Cirełe nie chciała bowiem zajeżdżać pod dom dorożką. Obiecał, że ją odstawi o dziewiątej, a tu była już za kwadrans dziesiątą. Deszcz ustał i most połyskiwał wilgocią, na kamieniach lśniły odbicia gazowych latarni. Zimny wiatr zawiewał od rzeki.

Maks pocałował Cirełe na pożegnanie, zapłacił dorożkarzowi i pomógł jej wysiąść.

— Zajrzę do was jutro z rana — powiedział. — Porozmawiam z twoimi rodzicami otwarcie.

— Och, tak się boję! Co ja im powiem? Pewnie już mnie szukają.

— Powiedz im co chcesz. Możesz im nawet powiedzieć, żeś była ze mną. Tak czy owak pobierzemy się.

— Mogą się nawet na to nie zgodzić — ty nie nosisz brody.

— Lepszy Żyd bez brody niż broda bez Żyda — zażartował, cytując kuplet z żydowskiego teatru. — Jeżeli się nie zgodzą, uciekniemy.

Odprowadził ją wzrokiem, póki nie skręciła w Krochmalną. Obejrzała się jeszcze, posyłając mu spojrzenie pełne lęku i miłości. Nie, nie na darmo wybrał się w tę podróż. Był znowu mężczyzną. Pokochała go młoda dziewczyna i była gotowa zostać jego żoną — czysta dziewczyna, córka rabiego. Zza chmur wybłysnęło srebro księżyca. Maks odetchnął głęboko. Więc kryzys minął. Czy to znaczy, że istnieje Bóg, który czuwa nad nami wszystkimi i nad każdym z osobna?

Przez chwilę miał zamiar wracać do hotelu. Nie, za wcześniej jeszcze, żeby się kłaść do łóżka. Przypomniał sobie piekarniczkę Esterę i jej zaproszenie. Najlepsza pora. Wydłużył krok, myśląc: „Odtąd wszystko pójdzie po mojej myśli”.

Zaszedłszy pod piętnasty, zerknął w okno rabiego na pierwszym piętrze. Świeciło się w nim. Cierle była już na pewno w domu. Przytknął do ust dwa palce, posyłając jej w myślach pocałunek. „Jest w sam raz taka, jakiej mi trzeba: młoda, ładna, nie za cwana, nie fanatyczka. Rabi się zgodzi: kiedy córka próbuje ci skakać z balkonu, nie masz się co dla niej spodziewać znakomitej partii”.

W bramie owiały go zapachy piekarni: kminek i mak, świeże bajgele, ciasto z zakwasem. W piwnicy, kilka stopni niżej, piekarz wsuwał do pieca chleb na szufli. Na środku izby stała kadź z wrzątkiem, do której mężczyzna w samej bieliźnie, bosy, w stożkowatej papierowej czapce na głowie, wrzucał surowe bajgele. Półnaczy młodzieńcy, śmiejąc się i pokrzykując do siebie, miesili ciasto w olbrzymim, ciągnącym się od ściany do ściany korycie. Przypomniało to Maksowi opowieści, jakich nasłuchał się za młodu, o piekle, gdzie ludzie rozniecali ogień, w których mieli sami gorzeć za swe grzechy.

Jakiś ubielony mąką człowiek niósł na desce bochenki surowego ciasta.

— Gdzie tu mieszka piekarz? — zagadnął go Maks.

— A o tam, na drugim piętrze.

Maks wspiał się po ciemnych schodach, oświetlonych wątlym naftowym płomykiem, osłoniętym poczeriałym, okopconym szkłem. Nie potrzebował pukać, drzwi były otwarte. Doszedł go gwar rozmowy, śmiechy, podzwanianie naczyń. Za stołem przy późnej kolacji siedziały trzy kobiety, tak pochłonięte sobą, że nie usłyszały jego kroków. Stał chwilę w progu i przyglądał się. Nie tylko że poznał Esterę, ale i domyślił się, która z kobiet jest jej siostrą, a która córką. Gdy cicho zakasłał, podniosły wzrok. Estera odstawiła szklankę na spodek.

— Mamelech, on przyszedł! — wykrzyknęła, zrywając się z miejsca. — Machnęłam już na ciebie ręką!

Klasnęła w dłonie.

Po chwili siedział już przy stole. Rozmawiały o nim właśnie. Cała ulica wiedziała o jego

wizycie u rabiego. Cirele miała rację: Krochmalna była jak małe miasteczko. Jadł już kolację, lecz teraz znowu poczuł głód i Estera wyszła do kuchni.

Jej siostra była do niej podobna, tyle że jaśniejsza, miała wyższe piersi i szersze ramiona. Włosy nosiła zaczesane do góry i splecione w warkocz podobny do chały w Rosz-haszana. Szmul Śmietana nazwał tę młodszą siostrę pięknnością, ale Maks wołał starszą.

Córka wdała się najwyraźniej w ojca — wysoka, ciężka blondyna, typ, jaki Krochmalna określała mianem „wielkiej dupy”. Śmiała się hałaśliwie i dźwięcznie. Żuła z wypchanymi policzkami. Tylko patrzeć, jak dorobi się drugiego podbródka, a za parę lat spęcznieje niczym rosnące ciasto.

Estera wniosła na tacy butelkę wódki i kilka małych kieliszków.

— Nie jesteśmy pijaczkami — usprawiedliwiała się — ale na cześć naszego gościa łykniemy sobie po kieliszeczku.

Gdy rozmowa zesła na rabiego i Szmula Śmietanę, powiedziała:

— Szelme jest zdolny do najgorszego świństwa, ale lubi wyświadczać przysługi. Gdy zwącha gelt, każe sobie słono bulić, ale kapcanem zaopiekuje się i za frajer. Rabi o włos a wylądowałby w kryminale.

— Czy Szmul ma żonę i dzieci?

— I żonkę, i bachory, ale tylko od szabasu — pisnęła Celia, siostra Estery. — Przez resztę tygodnia nie oglądają oni jego w domu.

— Lata za innymi babami?

— Za jedną, i to dobrą.

— Obyśmy tak wszyscy tyle zarabiali na dzień, ile on tygodniowo przepuszcza w karty — wtrąciła Estera. — Rzną w te karciochy w stróżówce pod jedenastym. Niejeden durny chasyd zostawił tam swój posag.

— W co grają?

— W oczko, w banczek, w sześćdziesiąt sześć, w tysiącza, w co tylko chcesz. Raz jeden taki grał znaczonymi kartami, wszystkich oskubał i odwieźli go z połamanymi gnatami ambulansem.

— Policja nie wściubia nosa.

— Mają dolę od każdej stawki...

Maks wypił kieliszek wódki i poczuł się w siódmym niebie. Zagryzł bułką z cebulą; miała taki smak, jaki nosił w pamięci. Celia zaczęła poziewać. Córka Estery, Dasza, oznajmiła, że czeka na nią mąż.

Wstał.

— No, i na mnie pora.

— A dokąd ci tak spieszno? — zapytała Estera. — Chyba że ktoś czeka na ciebie w „Bristolu”.

— Któż by — królowa Saby?

— No to zostań. Nie kładę się nigdy przed drugą. Po odejściu tamtych twarz Estery postarzała się i sposepniała.

— Gdzie twój mąż? — zapytał.

— W barze u Lazara.

— Kto pilnuje piekarni?

— Nikt. To by mogła być żyła złota. A tak cud, że nam starcza na życie.

Bawiła się widelcem, jej czoło sfałdowały zmarszczki.

— Pejsach był najlepszym piekarzem w Warszawie. Jak zostałam jego narzeczoną, wszyscy przepowiadali, że będę siedziała na złocie. Mógł wysiudać wszystkich piekarzy z sąsiedztwa. Ale parę lat po ślubie zaczął pić. Czeladnicy robią, co im się podoba. On się o nic nie troszczy; ani o córkę, ani o piekarnię, ani o dom. Jak nie chleje, to leży na workach i chrapie. Wstyd mi przynosi przed ludźmi, nie przestrzega świąt ani szabat. A ty masz żonę i dzieci? — zapytała.

— Miałem.

— Co się stało?

— Zabrał ich Anioł Śmierci.

— Jesteś jeszcze młody.

— Kłopoty i lata ludziom włosy bielą.

Miał ochotę porozmawiać o Cirele, ale się pohamował. Zapalił papierosa i wypuszczał kółka dymu.

— Co za pożytek z pieniędzy, kiedy ich człowiek nie ma z kim podzielić? Nawet Rothschild zjada tylko jeden obiad dziennie. Riviera jest bardzo piękna, ale kiedy siedzisz w wagonie sam jak kółek, prędko ci się sprzykrzy na nią patrzeć.

— Nie możesz sobie znaleźć kobiety, która by cię brała?

— Młode są zbyt młode, a te w moim wieku — zamężne.

— Bodajbym tak miała tysiąc rubelków za każdą wdówkę w Warszawie!

— Kto bierze wdowę, sypia z jej mężem — powiedział, niepewny, czy sam to wymyślił, czy przeczytał gdzieś.

Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Estera również podniosła się z za stołu. Zdawał sobie sprawę, że jeśli kocha Cirele, nie powinien wdawać się z piekarzyczą, babką wnukom. Ale jak to w tym powiedzonku, jeszcze nie w gospodzie, a już byś się napił. Podszedł do Estery, objął ją w tali i przygarnął. Nie wrywała się. Oparła się kolanami o jego kolana, a on pocałował ją w usta.

— Tak rach-ciach? — zapytała.

— W naszym wieku nie ma co długo odkładać.

— Czekaj, zarygluję tylko drzwi.

Ledwie wymówiła te słowa, poczuł, jak jego pożądanie więdnie. Przytrafiało mu się to już wiele razy przedtem, wystarczyło, że kobieta wyraziła zgodę, a coś w nim zaczynało stygnąć, kurczyć się, ogarniały go wstyd i niepokój. Zostało jeszcze odrobinę wódki, wychylił ją szybko. Alkohol uderzył mu do głowy, lecz lęk nie ustąpił.

Estery nie było dłużej, niż tego wymaga zaryglowanie drzwi. Pewnie myła się, przebierała. Spojrzał w okno, jakby zamierzał przez nie wyskoczyć. „Tylko wtedy ich pożadam, gdy się opierają” — pomyślał.

Minęło pięć minut; Estera wsunęła nagle głowę w drzwi. Rozebrała się i nałożyła szlafrok. Skinęła na niego, zapraszając do sypialni. Gestem ręki odpowiedział, że wnet przyjdzie. Na palcach podkradł się do drzwi wejściowych, poszamotał się z zamkiem i wymknął z mieszkania.

Biegł w stronę Ciepłej. Wieczorne zwycięstwo skończyło się sromotną klęską. Boże na niebie! To już koniec!

Maks Barabander rozebrał się i położył na łóżku, wiedząc z góry, że nawet oka nie zmruży. Okna były otwarte, lecz nie wpadał przez nie najłżejszy choćby powiew. Leżał bez ruchu. Swędziały go nogi, ramiona i szyja, nie podrapał się jednak. Kiedy mężczyzna w jego wieku nie może dłużej zaznawać przyjemności z kobietą, wówczas wszystko — podróże dookoła świata, jedzenie, picie, ubieranie się — wszystko staje się ciężarem.

„Zostaje tylko jedno wyjście — zdecydował. — Samobójstwo. Ale jak się do tego zabrać? Zastrzelić się, wyskoczyć przez okno, utopić się w Wiśle, zażyć truciznę, powiesić się?” Spostrzegł hak u sufitu, uświadomił sobie jednak, że nie chce mu się szukać sznura, wiązać pętli i podstawiać stołka. Jego szaleństwo mogłoby się skończyć w taki sam sposób, jak się i zaczęło. Umrzeć zawsze pora. Lecz co, jeśli istnieje Bóg? Demony? Raj? Piekło? Być może nazajutrz po śmierci przyszedłoby mu stanąć przed bożym tronem...

Wyciągnięty na łóżku, niezdolny się poruszyć, Maks robił obrachunek swego życia. Jego ojciec był człowiekiem bogobojnym, furmanem, który wysupłał ostatni grosz, żeby on, Maks — Motł, jak go nazywano — mógł chodzić do chederu. Ale jego nigdy nie ciągnęło do nauki. Modlitwy odmawiał po łebkach, grał w guziki w szabat i czepiał się wozów. Wcześniej zaczął się zadawać z dziewczętami i wdawać w bójki z chłopakami, gojami i Żydami. Zyskał sobie w Raszkowie sławę dowcipnisią, kawalarza i ladaco. W wieku piętnastu lat uciekł z młodą gojką, Wandą, folwarczną dziewczką. Okradał Żydów i chłopów. Ojciec oddał go krawcowi do terminu, ale Maks nie miał cierpliwości do krawiectwa. Przy pierwszej nadarzającej się okazji czmychnął

do Warszawy.

Nie pozostał jednak kompletnym ignorantem. Wykształcenie zdobywał czytając brukowe broszurki, żydowskie gazety, a nawet książki. Czytał Szomera, Ajzyka Meira Dicka, wszelkiego typu kalendarze, a nawet takich pisarzy jak Linetzki, Mendele Mejcher Sforim, Szolem Alejchem, Hermalin i Seifert. Nosił w pamięci niezliczone kawały i anegdoty, jakie zasłyszał był od komiwojażerów, złodziei, paserów i subiektów. Stał się mistrzem w uwodzeniu kobiet i dzierlatek. Nie potrafił napisać listu i nie narobić błędów, ale wysławiał się gładko w jidysz, po polsku i po rosyjsku. Ubóstwiał operę, teatr, cyrk i balet.

Boże na niebie! Dokonał podbojów, jakimi nie mógłby się nawet chełpić, bo ludzie wzięliby go za kłamcę. Kochankami jego były chórzystki, tancerki kabaretowe, a nawet pewna aktorka, która grywała główne role w teatrze na Muranowie. W Argentynie zbliżył się na jakiś czas z właścicielami domów publicznych. W tamtych to właśnie kręgach spotkał Ruchełę. Nie po to jednak wyjeżdżał, by dalej tkwić w bagnie.

Uciuławszy nieco grosza, puścił się w handlowe podróże po całej Ameryce Południowej, Północnej i po Kanadzie. Pomiarkował, czego chcą syjoniści i socjaliści. Poznajomił się z anarchistami, wegetarianami, z tymi, którzy głosili, że Żydzi powinni się osiedlać w koloniach barona de Hirscha, a nawet z tołstojanami, którzy uprawiali ziemię i żyli wedle zasad Tołstoja. Prenumerował żydowską gazetę i czasopismo z Nowego Jorku, z czasem zaś pozawierał przyjaźnie wśród nowojorskich aktorów i aktorek, zjeżdżających na występy do Buenos Aires.

Nigdy jednak nie wyzbył się swojej mentalności kryminalisty. Snuł fantazje o wielkich skokach, fałszerskich szajkach, układał plany szybkiego zbiccia majątku. Zerwawszy związki ze swoimi podejrzanymi przyjaciółmi i zostawszy członkiem Bractwa Pogrzebowego, do którego przyjmowano najszacowniejszych jedynie obywateli, nie mógł jakoś przestać roić o ciemnych interesach. Nie potrafił też pozbyć się chętki bałamucenia uczciwych kobiet, uwodzenia cudzych żon, odbijania narzeczonych oblubieńcom. W wyobraźni wciąż uprowadzał na okrętach dziewczyny do Buenos Aires oraz innych południowoamerykańskich krajów. Kiedy Ruchełę zaszła w ciążę, trzął się ze strachu, że może urodzić dziewczynkę.

Aczkolwiek nie był intelektualistą, wyznawał swoją prywatną filozofię. Pod jakimż to względem są tak zwani przyzwoici ludzie lepsi od prostytutek, złodziei i alfonsów? Kupcy robią szwindle, żony zdradzają mężów. Mało to książek i sztuk o prostytutkach i mordercach? Przestępczy światek choć nie udaje, że święty. Biorąc rzeczy na własny rozum, Maks miał swoje pretensje do Boga. Świat sam się nie stworzył, ktoś musi zawiadywać tą małą planetą, lecz kto taki? Czego chce? Nikogo przy tym nie było, kiedy Bóg dawał Mojżeszowi Dziesięcioro Przykazań. Należy chwycić, co się da. Lecz co on ma chwycić?

O świcie zapadł w twardy sen i przespał półtorej godziny. O ósmej zadzwonił na pokojówkę,

żeby przygotowała mu kąpiel. W łazience zdjął szlafrok i przyjrzał się w lustrze swemu ciału. Przytył trochę, ale mięśnie miał nadal jędrne, soki żywotne nie przestały w nim krążyć, a dawna moc czekała w pogotowiu. Tylko krok dzielił go od dawnej siły. Jakiś cierni tkwił w jego duszy. Smutek, żal i wstyd owładnęły nim niczym dybuk. Przyszło mu na myśl, że może powinien, tak, powinien pójść do jakiegoś rabina, może do tego dobrego człowieka, ojca Cirele. No nie, jemu nie mogę się zwierzać z podobnych spraw.

Przy śniadaniu zabrał się do przeglądania gazety i już po chwili przebiegał wzrokiem ogłoszenia drobne. Jedno z nich przyciągnęło jego uwagę: „Sławny jasnowidz Bernard Szkolnikow przepowie ci przyszłość, czytając z ręki i czoła, zlokalizuje zaginione osoby oraz przedmioty, odsłoni kradzieże, ukaze ci w lustrze tych, których kochasz. Przystępne ceny. Interesanci przyjmowani są między dziesiątą rano a ósmą wieczór”. Dalej był adres i numer telefonu. Maks przestał na chwilę żuć. Może ten człowiek potrafiłby mu pomóc. Może to owa wyższa moc, która sprawuje pieczę nad światem, nie pozwoliła mu cisnąć tej gazety do kosza. „Zajdę dziś do tego jasnowidza” — postanowił.

Kto wie? Istnieją ukryte tajemnice, których człowiek nie potrafi zgłębić. Cyganka przepowiedziała mu kiedyś zdarzenia, które sprawdziły się co do joty. A jak? Za pomocą talii wyświechtanych kart. Czary istnieją; tak, bez wątplenia. Być może ktoś rzucił na niego przekleństwo lub zauroczył go złym okiem. Sama Ruchele była poniekąd wiedźmą... Maks zabierał się do jedzenia bez szczególnej chęci, lecz to ogłoszenie zaostriło jego apetyt. Wyciął je starannie i wsunął do kieszeni kamizelki.

Miał już wychodzić z pokoju, gdy zapukano do drzwi i pikolak w czerwonym uniformie ze złożonymi guzikami i okrągłej czapce zapytał:

— Pan Barabander? Jest pan proszony do telefonu.

— Do telefonu?

Zawsze to samo. Ledwie błysnie człowiekowi promyk nadziei, zaraz coś wyskakuje. Ale kto by też mógł do niego telefonować? Kto wiedział, że zatrzymał się w „Bristolu”? Aparat był na korytarzu. Zdjął słuchawkę.

— Kto mówi?

— Czy pan Maks Barabander? — zapytał jakiś mężczyzna o przymilnym głosie, który brzmiał tak, jakby nie wydobywał się z jego piersi, lecz wyszarpywał z bebeczków.

— Tak, to ja — odpowiedział Maks.

— Mówi Szmul Śmietana. Poznaliśmy się przedwczoraj w knajpie pod siedemnastym. Pamiętasz?

— Co za pytanie? Oczywiście, że pamiętam.

— Git! To mi się podoba. Nie cierpię nabzdyczonych facetów. Tylko na ciebie spojrzałem,

już wiedziałem, żeś swój chłop. Wczoraj wieczorem znowuż zesliśmy się w knajpie i wszyscy o ciebie pytali. Estera, ta piekarczowa spod piętnastki, też. Masz glik do kobiet.

— Kiedyś miałem.

— Jest takie stare polskie przysłowie: „Woda bierze, woda daje”. Może byś tak znowu zaszedł? Idzie o to, że chciałbym coś z tobą obgadać, ale nie w knajpie. Mam przyjaciółkę, fajna kobitka. Żyjemy ze sobą jak w rodzinie. Nie mam przed nią żadnych sekretów. Mieszka pod dwudziestym trzecim, a gotuje jak dla króla. Może byś wpadł, zjedlibyśmy razem kolację, tylko we troje.

— Jak się nazywa? I jaki ma numer mieszkania?

— Hej? Na imię jej Rejcl. Rejcl Korek. Tak ją wołają w sąsiedztwie. Mieszkanie numer 12. Wejście z bramy, na drugim piętrze. Zaraz za siedemnastym masz dwudziesty pierwszy, a następnym jest dwudziesty trzeci.

— O której mam przyjść?

— Około piątej. Rejcl chciałaby wiedzieć, co lubisz. Ja uwielbiam jej klopsiki, robi je z kaszą jęczmienną, a na deser suszone śliwki i morele.

— Czy może być coś lepszego od klopsików z kaszą jęczmienną?

— Jeśli weźmiesz dorożkę, powiedz sałacie, żeby jechał Ciepłą. Po co cała ulica ma wiedzieć, dokąd się wybierasz? Należę do tych, którzy wyznają zasadę szyto-kryto.

— *Bueno*, zobaczymy się o piątej.

Dopiero po odwieszeniu słuchawki uświadomił sobie, że „bueno” to nie w jidysz. W Polsce tak ludzie nie mówią.

Jasnowidz Bernard Szkolnikow mieszkał przy Długiej. Dorożka przejechała Krakowskie Przedmieście, minęła Kozią, skręciła w Miodową, a z Miodowej w Długą. Jasnowidz mieszkał niedaleko placu Krasińskich. Maks Barabander dojrzał w oddali Zamek. Pamiętał te rejony, zwykł tam zabierać na spacer dziewczęta. Wszedł do starej kamienicy z ciasnym wejściem i krzywymi stopniami, jakich wiele na Starym Mieście.

Na trzecim piętrze było ciemno choć oko wykol. Zaświecił zapałkę i przeczytał na drzwiach: BERNARD SZKOLNIKOW. Zapukał, długo jednak przyszło mu czekać, nim ktoś otworzył. Wreszcie pojawił się jakiś człowieczek z czarną bródką i wąsikami, którego czaszkę pokrywało coś, co przypominało perukę. Ubrany był w gabardynową marynarkę, która nie wyglądała na żydowską, prążkowane spodnie i pantofle. Wydał się Maksowi człowiekiem chorym, zmartwionym i wystraszone.

— To ja telefonowałem do pana wcześniej — Maks Barabander.

— Wiem, proszę wejść — powiedział tamten, głosem zarazem przeszywającym i ochrypłym.

Maks minął wąski korytarz o ścianach wyklejonych ciemnymi tapetami. Z sufitu zwieszała się metalowa latarnia. Wkrótce wszedł do pokoju, którego okna zasłonięte były ciężkimi kotarami. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające potwory, węże i szkielety. Krzesła obite były czarną materią. „Wszystko po to, żeby wzbudzić lęk” — pomyślał Maks. W pokoju wiało piwnicznym chłodem.

Szkolnikow wskazał mu krzesło, a sam usiadł naprzeciwko, za małym stolikiem.

— Pan mówiłeś, że skąd przybywasz?

— Z Argentyny, ale mieszkałem już i w półtuzinie innych krajów.

— Co pana tu sprowadza?

Maks zaczął opowiadać. Opowiedział temu człowiekowi o śmierci Artura. O rozpaczycy Ruchełe, o tym, że i on wpadł w końcu w depresję. Szkolnikow nie przerywał mu. Krzywił się, jakby miał boleści. Bębnił po stole cienkimi palcami o długich, spiczastych jak u kobiety paznokciach.

Maks stracił orientację, jak długo mówił. Szkolnikow od czasu do czasu zamykał oczy, jakby zapadał w drzemkę. Potem znowu je otwierał. Miał czarne, nawisłe brwi i przenikliwe spojrzenie.

— Krótko i węzłowato: nie wychodzi mi z kobietami — wypalił Maks i umilkł.

Szkolnikow spojrzał w okno, jakby podejrzewał, że ktoś mógłby podglądać. „Czy on tu mieszka sam — zastanowił się Maks — czy może ma rodzinę?”

Jasnowidz podrapał się w perukę.

— Co mówią lekarze?

— Nerwy.

— Nerwy — powtórzył tamten takim tonem, jakby już samo to słowo napełniało go odrazą. Wzdrygnął się, przymknął jedno oko i zdawał się pogrążyć w rozmyślaniach zbyt zawitych, by dały się wyrazić. — Dokąd pana wysyłali? Do Karlsbadu czy do Marienbadu?

— Wszędzie już byłem.

— I nic nie pomogło?

— Nic.

— Pan nie kąpeli potrzebujesz — stwierdził Szkolnikow, wpatrując się w kąt pokoju. — Pożądanie, jakie budzi w mężczyźnie kobieta, pochodzi z ducha, nie z ciała. Pożądanie to nazywane jest potencją, rodzajem magnetyzmu. Tak jak magnes przyciąga żelazo, tak kobieta pociąga mężczyznę. Nie wszystkie kobiety mają tę magnetyczną siłę. Jedna może być piękna, a pozostawi pana zimnym. Inna będzie brzydka, a spojrzysz pan na nią i obudzi w panu tę magnetyczną moc... Kiedy mężczyzna jest młody, ta magnetyczna siła jest tak potężna, że podnieca go każda kobieta. Jakiś czas temu gazety pisały o chrześcijańskim chłopcu, który

zgwalcil siedemdziesięciodwuletnią staruszkę. Ale gdy się pan starzeje, musi pan kochać kobietę, a ona pana — to grunt. Pańska żona przestała pana kochać, lecz mimo to nie chce ustąpić pana innej. Jeśli ma dość siły, może pana zahipnotyzować na odległość. Może trzymać pana pod kontrolą dzięki telepatycznym przekazom, a pan nawet nie będzie wiedział, że jest pan kontrolowany. Tak jak człowiek silniejszy fizycznie potrafi pokonać słabszego, podobnie ktoś o większej mocy ducha może robić, co chce, z osobą od siebie słabszą. Pan jesteś słabszy, to wszystko.

— Skoro tak, nic się nie da zrobić.

— Owszem, da się, da. Dysponuje pan może fotografią małżonki?

— Co? Owszem.

— Proszę mi ją pokazać. Fakt, że znajduje się pan tutaj, o tysiące mil od niej, pozbawiony jest znaczenia. Dla ducha odległości nie istnieją. Może się pan zaszyć na końcu świata, a jej magnetyzm wszędzie pana dosięgnie. Proszę mi ją pokazać!

Maks podał mu fotografię. Bernard Szkolnikow spojrział na nią, skrzywił się, zagryzł wargi. Obracał zdjęcie na wszystkie strony. Pokiwał głową jak nad prawdą oczywistą.

— Dawnymi czasy nazywano to czarami — powiedział. — Teraz nazywa się to hipnotyzmem. To wszystko kwestia woli. Jakimże sposobem zdołał Napoleon posłać na wojnę miliony żołnierzy? Bo wolę miał od nich silniejszą. Przegrał wojnę nie dlatego, że angielskie i pruskie armaty były celniej, lecz dlatego, że wola mu osłabła. Widząc bitwę o jakieś wzgórze czy basztę, może pan sądzić, że to walczą ciała, ale w istocie to zmagania duchów. Czy pan mnie rozumie?

— Doskonale.

— Pańska małżonka najzwyczajniej w świecie prowadzi z panem wojnę. Pragnie sobie pana całkowicie podporządkować lub po prostu zmusić do kapitulacji. Pan musi się jej przeciwstawić.

— Jak?

— Tego właśnie pana nauczę. Będzie pan musiał wysyłać do niej sygnały. Istnieją sposoby wzmocnienia pańskiego magnetyzmu. Im pan silniejszy, tym ona siłą rzeczy będzie stawała się słabsza. Dokładnie to właśnie zdarzyło się w wypadku Jakuba i Ezawa. Pan chodził do chederu? „Jeden został wyniesiony, a drugi poniżony”. Ale to nie wszystko. Dusze zmarłych również są częścią naszego życia. Miał pan rodziców, przyjaciół, bliskich, którzy odeszli z tego świata. Może się panu wydawać, że odeszli na zawsze. Jednakże oni tu są, gotowi panu pomóc. Musi pan tylko wiedzieć, jak nawiązać z nimi kontakt. Wieczorami urządza tu seanse, podczas których wywołujemy duchy naszych drogich zmarłych. Nie trzeba się bać. Duchy nie mogą uczynić panu krzywdy. Pańscy rodzice nie kochają pana obecnie ani odrobinę mniej niż wówczas, kiedy był pan dzieckiem.

Maksa Barabandera dławiono wzruszenie. Z trudem hamował łzy.

— Nigdy do nich nie napisałem. Nie wystawiłem im nawet nagrobka.

— Oni to panu wybaczyli. Tak jak nam do oddychania potrzeba powietrza, tak im potrzeba miłości. Nie potrafię niczego z góry przewidzieć, sam się pan przekona. Urządzamy seanse wieczorami, byłoby dobrze, gdyby mógł pan bywać na nich przynajmniej dwa razy w tygodniu. Główna rzecz to nie wątpić i okazać cierpliwość. Ja sam nie jestem medium, trzeba się nim urodzić. Tacy ludzie znajdują łatwym nawiązywanie kontaktu z bezcielesnymi duchami, które nas otaczają, pragnąc się z nami zbliżyć ponad barierami ciała i krwi. Medium posiada tę władzę i dzięki niej nawiązuje kontakty. Czy może pan przyjść dziś wieczór?

— Dziś wieczór muszę być gdzie indziej.

— Więc może jutro?

— Jutro mogę przyjść.

— Świetnie! Proszę przyjść jutro wieczorem w nastroju ufności, nie zwątpienia. Wiara jest potencją, niewiara impotencją. Czy pan to rozumie?

— Tak, trochę.

— Tymczasem proszę nadać swojej żonie pierwsze przesłanie. Niech pan zamknie oczy i powtarza za mną, słowo w słowo: „Ruchełe, poczynając od dnia dzisiejszego twoja władza nade mną zacznie słabnąć. Ponieważ już mnie nie kochasz, mam prawo poszukać miłości gdzie indziej. Postanowiłem, że będę wolny, niezależny, i nikt mnie nie zdoła ograbić z mojej wolności. Wszystkie twoje wysiłki, by mnie zatrzymać przy sobie, zawiodą. Nasz syn jest po mojej stronie — znalazłem w nim przyjaciela i sojusznika”.

Przy wymawianiu tych ostatnich słów coś ścisnęło Maksa za gardło. Każdy wypowiedziany wyraz musiał przedzierać się przez gułę, jaka utkwiała mu w krtani. Musiał zebrać wszystkie siły, żeby nie zacząć wyć.

— Może pan już otworzyć oczy — powiedział Bernard Szkolnikow. — Proszę się tu zjawić jutro o ósmej wieczorem.

— Ile jestem panu winien? — zapytał z wahaniem Maks.

— Pięć rubli. Uczestnictwo w seansie kosztuje trzy ruble.

Maks wsunął rękę do kieszeni spodni i wyjął banknot. Bernard Szkolnikow wstał, Maks podniósł się również.

— W jaki sposób nauczył się pan tego wszystkiego? — zapytał. — Czy może gdzieś pan studiował?

— O, to długa historia. Jeszcze w dzieciństwie odkryłem w sobie siły, które...

Maks Barabander pożegnał się i Szkolnikow odprowadził go do drzwi. Maks spojrzął na zegarek. Wskazówki powiedziały mu, że wizyta trwała tylko pięćdziesiąt minut. Zszedł po

krzywych stopniach.

„Kim on jest? Złodziejem, szaleńcem, czarownikiem?” — pytał sam siebie. Gabinety specjalistów chorób nerwowych opuszczał zawsze z uczuciem rozpacz. Ten zaś mistrz czarnej magii, który ozdabiał ściany potworami i dziwotagami, obudził w nim uczucie nadziei. Maks czuł, że wzbiera w nim jednocześnie śmiech i płacz. Czyż to możliwe? Czyżby jego rodzice i Arturo żyli i byli gotowi mu pomóc?

Jak dobrze wyjść na świeże powietrze, poczuć ciepło słońca! Nie wziął dorożki, poszedł pieszo, aż zaszedł do Ogrodu Krasińskich. Pachniała trawa i róże. Świergotały ptaki. „Gdzie przebywają te wszystkie duchy?” — zadawał sobie pytanie. Czemuż to tylko siostra Szkolnikowa potrafi je wywoływać? Bo to wiadomo, jakie tajemnice kryje ten świat?

Bernard Szkolnikow nie mylił się co do jednego: Ruchełe prowadzi przeciwko niemu tajną wojnę. Nieraz czuł, że go śledzi, obserwuje, drażni się z nim. Jak to nazwał ten jasnowidz? „Magnetyzm”.

Zszedł nad staw. Pływały po nim łabędzie, a dzieci karmiły je okruchami.

„Jeśli ludzie nie umierają po śmierci, to co ze zwierzętami? — pomyślał. — Każdego dnia zarzyna się miliony wołów, cieląt, owiec, kurczaków. Czemu ich dusze nie wracają, żeby zadusić rzeźnika? A co z żołnierzami zabitymi w walce i Żydami zabitymi w pogromach?” — pytał siebie.

Nie wierzył w cuda, ale dzisiejszy telefon Szmula Śmietany zakrawał na cud. Podobnie niezwykle było i to, że przeglądając gazetę natknął się na owo ogłoszenie drobnym maczkiem. Zwykle nie czytywał ogłoszeń. Cóż go mogły obchodzić interesy w obcych krajach?

Do piątej pozostawało jeszcze mnóstwo czasu, ale gdy człowiek ma świadomość, że wieczorem jest z kimś umówiony, może się odprężyć i być sobą. Wszedł na Nalewki i zaczął spacerować po żydowskich uliczkach. Boże na niebie, szyldy nosiły napisy w jidysz, zewsząd dobiegał żargon. Wszedł na jakieś olbrzymie podwórze, omal oddzielne miasto, gdzie mężczyźni ładowali na furgony skrzynie, beczki i kosze, a przekupki zachwalały krzykliwie swe towary. Zobaczył budowlę wyglądającą na bet-hamidrasz lub synagogę chasydzką i wszedł do środka, aby zaspokoić ciekawość. Młodzi, pejsaci chłopcy kiwali się nad tomami *Talmudu*, gestykulowali i objaśniali jeden drugiemu znaczenie zawarte w tych świętych księgach. Wśród nich jakiś starszy mężczyzna odmawiał kadysz, nie zwykłą wszakże modlitwę żałobną, lecz jakąś inną, której słowa brzmiały dla Maksa obco. Przemieszkując za granicą, oddalił się od starozakonnego żydostwa, tutejsi jednak ludzie służyli Bogu jak za dawnych czasów w Raszkowie. Czy oni wierzą w duchy? Czemu więc Szkolnikow goli brodę — czyżby wierzył innym rodzajem wiary?

Stał w drzwiach jak wmurowany, niezdolny do odejścia. Jakiś mężczyzna z żółtą brodą podszedł do niego i zapytał:

— Pan przyszedłeś się pomodlić? Może pan dostać tutaj tańs i tefilin. To kosztuje dwie kopiejki!

Maks milczał chwilę.

— Modliłem się już. Lecz proszę, oto dwie kopiejki.

Wyjął cztery ruble i podał tamtemu. „Wszystko się kręci wokół rubli i kopiejek — pomyślał. — Nawet w tak świętym miejscu”. Wyszedł, zamykając drzwi. W tym samym momencie przyszła mu na myśl Cirele i przypomniał sobie, że obiecał zobaczyć się z jej ojcem, by się z nim rozmówić w zasadniczej sprawie.

Dorożka wyjechała z Długiej, przejechała Tłomackie, Rymarską, przecięła plac Bankowy, wyjeżdżając przy Żelaznej Bramie, a dalej potoczyła się Gnojną i Krochmalną. Przejechała obok ogromnego banku z potężnymi kolumnami i rozległym dziedzińcem. „To banczysko wygląda jak forteca albo pałac — pomyślał Maks. — Ciekawe, ile też tam leży milioników?” Opancerzona karetka wjechała w bramę i Maks uświadomił sobie, że była załadowana pieniędzmi.

Zajechawszy na Krochmalną, skierował się prosto do domu rabiego. Nie ułożył sobie tego wcześniej, plan sam zawiązywał się w jego głowie. Pchnął drzwi, wszedł do mieszkania i stanął przed Cirele i jej matką.

Dziewczyna ubrana była w białą bluzkę i strój ten odmładzał ją i przydawał jej świeżości. Przebierała liście szczawiu w misce. Na jego widok oblała się rumieńcem, rzucając mu na wpół łzawe, na wpół pytające spojrzenie. „Wkręciłem się tutaj jak robak” — pomyślał Maks. Był to ten rodzaj przenikliwości, na jaką umysł zdobywa się jedynie przed sobą samym.

Rabinowa modliła się najwidoczniej. W dłoniach trzymała modlitewnik.

— Dzień dobry — przywitał się, na co gniewnie skinęła mu głową.

Jej nos sprawiał wrażenie spiczastego, ostrego. Maks odgadł od pierwszego spojrzenia, że Cirele rozmawiała o nim z matką i że rabinowa nie pragnie go mieć za zięcia. Jej szare oczy spoglądały na niego z odrazą.

Maksowi przypomniało się nagle słowo „trefny”.

— Matka z córeczką, hę? — zagadnął. — Proszę sobie nie przerywać modlitwy, rabinowo. Rabi w domu?

— Ojciec jest w drugim pokoju — powiedziała Cirele.

— Szykuje pani obiad, tak? Żyjecie tu wciąż jak za dawnych czasów. Co to będzie? Szczawiowy barszcz z kartoflami?

— Niech pan zostanie na obiedzie — zaproponowała Cirele.

Rabinowa wymamrotała coś wąskimi wargami, dając znak, że nie wolno jej się odzywać. Jej

perukę oświetlało słońce, zapalając na jedwabnych włosach całą gamę odcieni. Maks poczuł nagle strach przed tą kobietą. Wyczuwał, że choć nabożna i zamknięta w świecie religii, przeziera na wylot machlojki, jakim się oddawał. Przyszło mu do głowy, że ona też może być gorącokrwistą kobietą. Nie miała z pewnością więcej niż czterdzieści lat. Udało mu się zrobić oko do Cirele.

Otworzył drzwi do przylegającego pokoju. Słoneczny blask wlewał się przez okna i przeszkłone, otwarte drzwi balkonowe. Rabi stał przy pulpicie, pisząc coś na skrawku papieru. Dobry człowiek nie poznał go! Jakże dziwne!

— Jakież dobre wieści pan przynosi?

— Jestem Maks, Mordche, z Ameryki. Rabi mnie nie poznaje?

— Hm. A tak, oczywiście, witam.

Usiadł u szczytu stołu, wskazując Maksowi krzesło.

— Czy nie odrywam cię od twoich studiów, rabi?

— Ależ nie. Oczywiście, studia są rzeczą ważną. Ale jak to mówią: „Gdy studiowanie Tory staje się oderwane od rzeczywistości, nie ma sensu oddawać mu się dłużej”. Powiedziane jest, że jeśliby ktoś miał powtarzać jedynie: „Siostrze Lotana było na imię Timno”, już wypełniłby przykazanie, by studiować *Torę*. Gościnność dla obcych to ponadto ważne zalecenie. Niemiała to rzecz: Żyd, żydowska twarz! — zakończył.

Maks słuchał. Słowa dobrego człowieka zdawały mu się pełne łaski, „Nie wolno mi skrzywdzić tych ludzi” — przemknęło mu przez myśl, głośno zaś powiedział:

— Jesteś człowiekiem zapracowanym, rabi, świątobliwym mężem, a ja nie jestem wart błota spod twoich stóp. Jestem człowiekiem pospolitym, prostakiem.

— Ale broń Boże, broń Boże!

— Posłuchaj, rabi. Jestem, jaki jestem. Chodziłem do chederu, a mój ojciec — niech odpoczywa w pokoju — chciał mnie posłać do jesziwy i dalej. Ale mnie ciągnęło do podejrzanych zaułków, do karczemych burd. Mówię ci to, abyś się na mnie nie gniewał. Wczoraj wszedłem do twojego domu i ledwie moje oko spoczęło na twej córce, poznałem, że mieszka w niej Duch Boży. Tak się mówiło w Raszkowie. Jest piękna, delikatna, właśnie jak przystoi córce świętego męża. Jej twarz promienieje jak słońce. Nie gniewaj się na mnie, rabi. Mężczyzna jest tylko mężczyzną. Nawet Mojżesz był mężczyzną. Studiowało się trochę. Wyznałem ci też, rabi, że jestem wdowcem. Wcześniej straciłem jednak syna, ukochanego jedynaka, oczko w głowie. Potem umarła mi żona. Od paru już lat tłukę się po świecie. Pojadę tu, pojadę tam. Mam kupę forsy. Ale co za pożytek z mamony, gdy na sercu ciężko? Zdaję sobie sprawę, że nie jestem godzien umyć ci nóg i wypić wody, ale przecież pozostałem Żydem. My wszyscy, jak mówią, pochodzimy od jednego ojca. Rabi, będę sam sobie szadchenem. Twoja córka mi się podoba.

Wiem, że jestem od niej sporo starszy i mógłbym być jej ojcem. Ale tego nie uważają za takie złe, kiedy mężczyzna jest starszy. Obsypałbym ją złotem, obchodziłbym się z nią jak w giemzowych rękawiczkach. Istnieliby dla mnie tylko jeden Bóg i jedna Cirele. Rabi, jeśli wygaduję głupstwa, wybacz mi, proszę. Nigdy mnie nie uczono, jak rozmawiać ze świętym człowiekiem.

Urwał.

Rabi podniósł wzrok i oczy zajaśniały mu cudownym błękitem. Na policzkach ponad rudą brodą wystąpiły mu rumieńce, upodabniając go jeszcze bardziej do jego córki. Przez chwilę potrząsał głową, a jego pejsy trzęsły się również.

— Gdzie pan zamierza mieszkać? W dalekich krajach?

— Rabi, pojedę, dokąd tylko zechcesz. Jakby słowa twoje były zapisane w *Biblii*. Warszawa to wielkie miasto. Gdybym poślubił Cirele, wziąłbym ją z sobą, żeby uporządkować moje interesy. Zabrałoby to kilka miesięcy, w najgorszym razie pół roku. Po co wyrzucać uczciwy pieniądz? Trzeba by posprzedawać lub wypuścić w najem domy, jak też parcele i resztę dobytku. Ulokowałbym cały swój majątek w sztabkach złota, a potem wrócił tutaj. Nie tylko ona, rabi, ale i ty nie zaznalibyście więcej biedy. Rabinowa już nie musiałaby wypisywać tych pokwitowań. Żylibyście w dostatku, ty zaś mógłbyś oddawać się studiowaniu Tory, wolny od trosk. Niech mnie piorun strzeli, jeśli kłamię.

— Nie trzeba przysięgać! Proszę nie przysięgać! — przerwał mu rabi. — Nie wolno składać przysięg, nawet na prawdę. Powiedziano, że kiedy Bóg ogłaszał przykazanie „Nie będziesz brał Imienia bożego nadaremno”, trząsał się świat cały,

— Rabi, chciałbym tylko, abyś wiedział, że nie opowiadam tu bajek. Wszystko to szczerą prawdą. Jestem sobie w istocie przeciętnym człowiekiem, ale gdy chodzi o rarytną rzecz, jestem znawcą. Nawet chłop potrafi odróżnić świńskie ucho od jedwabnej sakiewki.

— Tak, tak, rozumiem — rzekł rabi, jakby sam do siebie. — W takich sprawach nie należy naglić. Takie sprawy trzeba omówić z domownikami. Zgodnie z prawem należy też zapytać dziewczynę. Napisano: „Musisz przywołać dziewczkę i spytać ją, czy ochotna”.

— Oczywiście, rabi, jakżeby inaczej? Jeśli się jej nie podobam, nikt jej pod chupę nie zaciągnie. Rabi powinien omówić tę sprawę z rabinową, Cirele i wszystkimi. Wiem, że nie zasługuję na taki klejnot, ale będę dla niej dobry. Będzie przy mnie miała jak hrabini. A wraz z nią i ty, rabi, będziesz opływał w dostatki. Mój pieniądz będzie twoim pieniądzem. Kupię dzieciom chałaty i co tylko im trzeba. Krochmalna to nie jest dobra ulica. Za wielki tu tłok. Przeprowadzimy się na inną ulicę, gdzie powietrze lepsze, rosną drzewa i gdzie nie ma tylu gburów i żebraków. Będziesz mógł zachować urząd rabiego i nadal sprawować sądy, jeśli masz ochotę, a jeśli nie, będziesz mógł się i studiować. Nie zabraknie ci ptasiego mleka. Być może przemawia przeze mnie ignorancja, lecz zamiary moje są czyste — zakończył, zdziwiony

własnymi słowami.

Sam nie wiedział, czy kłamał, czy wyrzucił z siebie prawdę.

Rabi zdjął jarmułkę i zaczął się nią wachlować.

— Czy mógłby pan tutaj prowadzić swe interesy?

— Mój interes jest dobry wszędzie. Poza tym odłożyłem dostateczną sumkę, by z niej żyć przez następne sto lat. Wkłada się pieniądze do banku i żyje z procentów. W Raszkowie nazywało się to „obcinaniem kuponów”. W każdym kraju handluje się domami i działkami. Wynajęlibyśmy całe piętro z dwoma dużymi mieszkaniami i zamieszkalibyśmy obok siebie. Coś ci powiem, rabi. Nie wypadłem sroce spod ogona. Mój tatu — niech odpoczywa w pokoju — był furmanem, pobożnym Żydem. Kiedy rabi z Turzyska przyjechał do Raszkowa, życzył sobie, żeby go wozić tylko naszą bryczką, bo bał się... zapomniałem, jak to się nazywa.

— Szatnes.

— Tak, rabi. Ja już dawno zapomniałem to słowo, a ty je pamiętasz, rabi. Któregoś razu chciał sobie podłożyć poduszkę pod plecy, więc tatu rozpruł szew i pokazał mu, że to samo płótno, bez wełny. Nie był prawdziwym uczonym, ale wiedział, jak czytać święte księgi. Moja mama — niech odpoczywa w pokoju — kładła w szabas czepiec. Cisnęliśmy się w jednej izbie, lecz oddawaliśmy Bogu, co boskie. Kiedy do miasteczka przyjeżdżał jakiś obcy, jadał u nas. Wszystko było ściśle koszerne. Przysięgnęlibym, rabi, lecz zabroniono przysięgać. W Ameryce oddaliłem się od żydostwa, ale tutaj, rabi, jestem Żydem!

I Maks jął się pukać środkowym palcem w klatkę piersiową. Rabi przyglądał się temu z wyrazem życzliwości i przyjaźni, pełen rodzinnego ciepła.

— Wszystkim rządzi przeznaczenie — rzekł. — Napisano, że na czterdzieści dni przed narodzinami człowieka wołają: „Córka takiego to a takiego”. Siedziałem i martwiłem się, skąd wezmę posag dla mojej córki, i oto pan został posłany z dalekich krajów. Moja córka jest postępową. — Ton jego głosu zmienił się raptownie. — Czytuje gazety i z nich spłynęło na nią oświecenie. Chcieliśmy ją wyswatać z synem mełameda.

— Wiem, rabi, z Rebe Zajnwele.

Rabi wydawał się zaskoczony.

— Skąd pan wie?

— Wiem, rabi, wiem. Póki żyję i oddycham, widzę wszystko.

— To znaczy, że o niej mówią?

— Ludzie mają długie języki. A ja tak im mówię: jeśli dziewczyna powie „nie”, nie wolno jej przymuszać.

Rabi szarpnął się za brodę.

— Nie przymuszaliśmy jej. Uchowaj Boże! Ale ona jest przewrażliwiona jak jej matka.

Nerwy to choroba. Człowiek wpada w irytację i robi coś, czego później żałuje. Dawniej nazywało się to kuszeniem przez złego. *Talmud* mówi, że człowiek nie dopuszcza się grzechu, póki nie wstąpi w niego duch głupoty. Cóż, zawsze ma się wybór i wszystko można przezwyciężyć, byle istniała wola po temu. Lekarze nazwali grzechy nerwami i twierdzą, że człowiek nie musi pokutować za chorobę. Ale to błąd. Gdyby człowiek nie był w stanie panować nad swym gniewem, wówczas gniew nie byłby grzechem.

— To prawda, rabi, ale człowiek może wpaść w złość i nie móc zapanować nad sobą. Tam gdzie mieszkam, był jeden goj, Hiszpan, który miał żonę i kochankę. Jego żona to odkryła i zaczęła mu załazić za skórę. A miał już dzieciaki i z tamtą. W tamtych krajach to rzecz przyjęta. Krótko mówiąc, tak mu się dała we znaki, że zdjął ze ściany fuzję i ją zastrzelił, a i wszystkie dzieciaki na dodatek. Potem poszedł do tej swojej kochanki i zrobił to samo. Jedna pięcioletnia dziewczynka schowała się pod łóżko i tak ocalała. A gdy sobie chciał palnąć w łeb, fuzja zacięła się, i wsadzili go do więzienia.

Rabi zmarszczył czoło.

— Czy go powieszono?

— Nie, zamknęli go w szpitalu wariatów.

— I cóż osiągnął? Spędzi resztę życia w zakładzie dla obłąkanych, na tamym zaś świecie przyjdzie dzień obrachunku. Przelana krew krzyczy z głębi ziemi i oskarża mordercę. Co za sens popełnić taki uczynek z powodu chwilowego gniewu? Długo to żyje człowiek? Zostaliśmy tutaj posłani, by czynić dobro, nie zło.

Maks siedział przez chwilę w milczeniu.

— To prawda, świętobliwy rabi. Każde słowo, któreś wypowiedział, zasługuje na to, by je całowano.

— Jeśli, z pomocą bożą, dojdzie do zaręczyn, pragnąłbym pana widzieć Żydem.

— A kim ja jestem, gojem?

— Żyd musi mieć brodę. Człowiek został stworzony na podobieństwo Boże, a broda...

— Zrobię, co każesz, rabi.

Nagle w kuchni rozległ się jakiś hałas i drzwi do gabinetu rabiego otworzyły się. Rabinowa wetknęła w nie kraj swej peruki.

Nie było jeszcze pierwszej, gdy Maks opuszczał dom rabiego. Schodząc powoli po schodach, wyjął chusteczkę, żeby otrzeć czoło. Przystanął na chwilę w bramie.

„Co znów za awanturę szykuję? — spytał sam siebie. — Rozwiode się z Ruchełę. Nie wciągnę dobrego człowieka w błoto. Jeśli to uczynię, wart jestem, żeby mnie pocięto na

kawałki”. Oczy mu zwilgotniały, bliski był płaczu. „Boże na niebie, ukarż mnie, jeśli okryję wstydem tych dobrych ludzi. Niech na mnie spadną plagi faraona”. Ruszył w stronę Gnojnej. Dobry człowiek prosił go, żeby przyszedł jutro, musi bowiem naradzić się z domownikami. Coś w głowie Maksa zaczęło huczeć jak maszyna.

„Nigdy już tam nie wrócę — postanowił. — Skończę z tym, póki nie jest za późno! Do Szmula Śmietany też nie pójde. Spakuję manele i pojedę prosto do Raszkowa”.

Minawszy Senatorską, którą poznał po wieży ratusza, wyszedł na plac Teatralny. Wszystko tu pozostało tak, jak zapamiętał — opera, kawiarnia Semadiniego. Przejechał wielki, odkryty furgon załadowany teatralnymi dekoracjami.

Maks wstąpił do kawiarni i zamówił kawę i ciastko. Nie było tam gazet w jidysz; kelner przyniósł mu ilustrowany magazyn z fotografiami świeżo poślubionej księżęcej pary. Zdjęcia te pochłonęły całkowicie uwagę Maksa. Czterech młodziutkich paziów niosło tren ślubnej sukni, a pan młody miał na sobie mundur z epoletami. Otaczali ich wyorderowani mężczyźni i damy w kapeluszach ozdobionych strusimi piórami. Gdzie to się odbywa — w Niemczech? w Rosji? w Anglii? Naraz wszystko poczęło mu pływać przed oczami. Zakipiała w nim złość i, choć sam uganiał się za rozkoszami ciała, odwieczna jakaś żydowska pogarda dla świata i jego głupstwa. Jak się to mówiło w Raszkowie? „Marność nad marnościami”. Wszystko to jałowe, prózne; dziś żyjesz, jutro ziemię gryziesz. Czy gonimy za własnymi cieniami? Obrzucił spojrzeniem mężczyzn i kobiety, młodych i starych. Ich twarze naznaczone były chciwością i niepokojem. Odnosiło się wrażenie, że każde z nich popełniło jakiś błąd i nie wiedziało, jak go naprawić. Choćby nie wiem ile posiadali, wciąż im było nie dość. Gdy mają sto tysięcy rubli, pragną miliona. Gdy mają jedną kobietę, pożądamy trzech. „A czy to ja jestem inny? Teraz, kiedy nie mam nikogo, chcę sprowadzić na złą drogę córkę rabiego. Za nic w świecie! — omal nie krzyknął na cały głos. — Lepiej umrzeć!”

Zapłacił kelnerowi i poszedł w kierunku hotelu. Sądził, że stracił już orientację wśród warszawskich ulic, a tymczasem z łatwością odnajdywał drogę; z Nowosenatorskiej skręcił w Trębacką i znalazł się w pobliżu „Bristolu”. Wjechał na górę windą i w ubraniu położył się do łóżka. Postanowił, że nie pójdzie do Szmula Śmietany, a jednocześnie wiedział, że pójdzie.

Kiedy się obudził, zegarek pokazywał za dwadzieścia czwarta. „Ta Rejcl Korek przygotowuje pewnie istną ucztę” — rzekł sobie. Włożył jasny garnitur i drogą koszulę, którą nabył w Paryżu. Co by tu zanieść tej laluni? Coś jej musi przynieść. Wyszedł na ulicę i wstąpił do winiarni. Gdy jego wzrok spoczął na olbrzymiej, dwukwartowej butli szampana, kupiec winny jął zachwalać jej zawartość jako najlepsze wino na rynku. Zażądał wysokiej ceny, „Nie pójde przecież z wizytą jak żebrak” — zdecydował Maks.

Wrócił mu dobry nastrój. Ostatnio tak już z nim było. To był smutny, to znów wesoły.

Przypomniały mu się nagle słowa ojca Cirele, że nerwy to tyle co kuszenie złego. „Och, bzdura! Co taki człowiek wie o medycynie? Jedyne, co potrafi, to kiwać się nad swoimi świętymi księgami. Więcej już do niego nie pójdę. Zresztą rabinowa i tak patrzy na mnie krzywo. Jedyne, co mi dolega, to nerwy”. Pewien lekarz pokazał mu rycinę wyobrażającą nagie ciało ludzkie, całkowicie zasnutę siateczką nerwów. Nie trzeba się było wkręcać do tak pobożnego domu. Taka jak Cirele powinna poślubić kogoś podobnego sobie.

Gdy wskazówki zegarka zbliżyły się do piątej, wsiadł w dorożkę. Przechodnie przystawali i patrzyli za nim, kiedy tak paradował z wielką butlą wina, owiniętą w różowy papier. Maks kazał dorożkarzowi jechać Ciepłą.

Wspinając się po schodach, poczuł zapach klopsików Rejcl Korek. Drzwi otworzyła mu czarnowłosa kobieta o ładnej buzi, wielkich ciemnych oczach i garbatym nosie. Na widok Maksa jej twarz rozplynęła się w uśmiechu. Przywitała go w ciepłym, ojczystym, polskim żargonie:

— Cóżes to pan przydźwigał? O, niech ja skonom, co za butliszcze! Szampan? Bo zemdleję! Nu, proszę wchodzić.

Wprowadziła Maksa do pokoju, gdzie stał zastawiony już stół. Znajdowały się tam ponadto klatka z papugą i ogromna kanapa obita kasztanowym atłasem. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające półnagie kobiety i kolorowe pejzaże. Mieszkanie przypominało Maksowi elegancki burdel, a Rejcl Korek burdelmamę.

— Szmul zaraz będzie — powiedziała. — Proszę mi dać swój kapelus! Co ja zrobię z tym szampanem?

— Włoży go pani do lodu.

— Świetnie! Będzie już ze sto lat, jak nie piłam szampana!

— To ile pani liczy sobie latek, dwieście? — zapytał, od razu trafiając we właściwy ton.

— Czasami mam wrażenie, że obijam się po tym świecie już od tysiąca lat — powiedziała.

Podobało mu się brzmienie jej głosu. Był chropowaty jak u ludzi spragnionych rozkoszy i nigdy jej nie sytych. „Czuję się tu jak w domu” — stwierdził w duchu Maks.

— Szelme opowiadał mi o spotkaniu z panem, a ja żałowałam, że nie poszłam z nim wtenczas do tej knajpy. Pan pewnie nie wie, że ja mam siostrę w Buenos Aires.

— Na jakiej ulicy?

— Junin czy Chunin, nie wiem, jak się to wymawia.

— Znam tę ulicę — powiedział, myśląc: „Teraz już wiem, czym trudni się twoja siostrunia”.

Rejcl była przyciężkawa, ale nie za tłusta. Skórę miała nadzwyczaj białą i gładką, a jej wielkie, błyszczące oczy spoglądały na mężczyznę z apetytem i znanstwem, bez śladu zażenowania. Z taką kobietą można z punktu zabierać się do rzeczy. Jej krucze włosy zaczesane były do góry. Szyję i ramiona miała nagie, skórę nie tkniętą zmarszczkami. Usta jakby stworzone

do pocałunków. Pełne wargi rozchyłały się, ukazując białe zęby. Ubrana była w czarną, przejrzystą sukienkę.

— Gorąco dziś, nie? — powiedział.

— Najwyższy czas. Mieliliśmy ciężką zimę. Napije się pan czegoś? Przyrządzam lemoniadę własnego pomysłu z kapką rumu dla smaczku.

— Zaczekam na Szmula.

— Powinien już być. Tylko że z nim nigdy nic nie wiadomo. Będzie szedł ulicą i zatrzyma go stójkowy albo i sam komisarz. Ludzie się za nim uganiają i każdy prosi o jakąś przysługę. Człowiek by musiał być z żelaza, a teraz lekarze radzą mu jechać do Marienbadu.

— Co mu jest?

— Serce ma kiepskie. Dźwignąć uradzi czterysta funtów, a wejdzie parę stopni i zaraz świszczy.

— Nie jest już młody.

— Męczyzna jest zawsze młody. Zależy, z kim żyje.

Omal mu się nie wyrwało: „Cycuś z pani kobitka”. Chwyciło go nagle pragnienie, by ją wziąć w ramiona.

— A jak z tym u pani, siostró, w porządku? — zapytał.

Rejcl przycupnęła na brzeżku krzesła twarzą do siedzącego na kanapie Maksa.

— Nie najgorzej. Służąca ubija mi jajka do barszczu, muszę dopilnować, żeby się nie zwarzył. Słyszę, że pan sprzedaje domy.

— Domy i place. Buenos Aires się rozrasta. Gdzie pięć lat temu było pole albo łąka, dzisiaj ma pani ulicę. Spotkała mnie w życiu tragedia. Mój syn...

— Wiem, wiem.

— Skąd pani wie?

— Siostra mi w liście pisała. Wczoraj go dostaliśmy.

— Pani siostra mnie zna?

— A owszem, zna. Może słyszał pan o madame Szajewski? Tam na nią mówią *Señora*.

— Nie, nie znam jej.

— Ale ona pana zna. Napisała, że wybiera się pan do Warszawy i że powinnam się z panem poznać... To mały świat, no nie?

— Faktycznie zdumiewające.

— Szmelke przychodzi i opowiada, że się z panem spotkał, a zaraz następnego dnia dostaje list — a w nim znów o panu. No, skoro tak — myślę sobie — dobrze byłoby się przyjrzeć temu człowiekowi.

— I co pani przyjdzie z samego patrzenia?

— Ja widzę wszystko.

— Co pani widzi?

— Innym razem panu powiem. Będziemy jeszcze mieli okazję nagadać się z sobą. Gdy już pan wpadł w moje ręce, tak łatwo się pan nie wywinie — powiedziała ze śmiechem i wstając z krzesła, zrobiła do niego oko.

— Zobaczę, co ta tam wyrabia z moim barszczem.

„No, kawał kobitki” — stwierdził w duchu. Zastanawiał się, na co ma większą ochotę, na klopsiki i barszcz czy na panią domu. Powiedział jej przed chwilą, że nie jest spragniony, ale teraz poczuł suchość w gardle.

Podszedł do okna i wyjrzał na podwórko. Dzieci grały w berka, w palanta i w klipę. Jakaś dziewczynka za pomocą dwóch związanych sznurkiem patyków wyrzucała w górę i chwyciła z powrotem gumową piłkę, *diabollo*. Usłyszał, jak Rejcl otwiera drzwi wejściowe, po czym doleciał go z korytarza jakiś hałas i odgłosy rozmowy. Przybył Szmul Śmietana.

Gdy zjedli, Szmul powiedział, że musi się położyć. Był zmęczony, a zjadł i wypił za dużo. Rejcl odprowadziła go do sypialni. Wyciągnął się w ubraniu na łóżku i zaczął natychmiast chrapać.

Służąca zebrała ze stołu. Rejcl naląła sobie ociupinkę likieru do małego kieliszka. Maks wpełzł na kanapie. Zachodzące słońce rzucało purpurowe cienie na ścianę i twarz gospodyni.

Rejcl mówiła o swojej siostrze i kroczek po kroczeniu sprowadzała rozmowę na właściwy temat. Jej siostra, *Señora Szajewski* (na imię jej było Fejgele czy Fanie), prowadziła salon, dokąd mężczyźni zachodzili, żeby się rozerwać. A dziewczęta, jak to dziewczęta, starzały się albo wiodły, co jakiś czas któraś wychodziła za mąż. Bywało, że się rozpijały. Mężczyźni są jak dzieci, wciąż potrzebują zabawek, nowych lalek. Rejcl znała w Warszawie furę młodych dziewcząt, wśród nich istne piękności. Tu na miejscu nie mogły się obracać wśród mężczyzn, bo mieszkały z rodzinami. Gdyby im jednak umożliwić wyjazd z kraju, wystroić je i tak dalej, dałyby się łatwo przekonać. Główna rzecz to zrecznie wszystko przeprowadzić. Ale do takiego interesu potrzeba mężczyzny. Szmul Śmietana jest pod tym względem do luzu; umie gadać z komisarzem, ale nie z piękną dziewczyną.

— Wciąż plotą o porywaniu dziewcząt. Bzdury! Teraz rzecz nie w porywaniu. Kręcą się tu sziksy chętne zobaczyć świat, ale grosza nie mają przy duszy. Nie mogą nawet liczyć na uczciwą posadę jako służące. A o małżeństwie szkoda i marzyć — zakończyła.

— Czemuż to?

— Najnędniejszy krawczyzna ogląda się na posag. Byle gryzipiórek z Gęsiej, co to ledwo dwanaście rubli na tydzień zarobi, chce, by go złotem płacić.

Im się robiło ciemniej, tym gęstsze kryły jej twarz cienie. Tylko oczy świeciły w mroku,

wielkie, czarne, iskrzące się oczy.

— Gdybym była mężczyzną, wyróciłabym ten świat do góry nogami.

— Co by też pani takiego zrobiła?

— Czego bym nie zrobiła? Mężczyzna może wszędzie pójść, mówić, co chce, robić propozycje każdej kobiecie, która mu wpadnie w oko. My dwoje zbilibyśmy razem fortunę.

— Szum za mało pani daje?

— Ale z tych ludzi świnię.

Następnie poprowadziła rozmowę to krętu-wętu, to wprost. Ona mogłaby dostarczać kobiet, byle Maks je namawiał. Jej siostra, *Señora Szajewski*, wie, do których drzwi zapukać. Pieniądze nie są problemem, a rynek jest ogromny. Ludzie wszędzie poszukują pięknych dziewcząt — w Argentynie, w Brazylii — gdzie tylko mężczyźni wyjeżdżają w podróż bez rodzin. Oczywiście, z każdą przywoitą panienką trzeba inaczej rozmawiać. Z jednymi możesz kawa na ławę, a znów inne pragną być przygruchiwane. Musisz niemal udawać, żeś się w nich zadurzył. Prawdziwy mężczyzna wie, którą kobietę pocałować, a której dać klapsa. Kiedy taka sziksa znajdzie się w obcym kraju, bez paszportu, bez grosza przy duszy, ani me, ani be, zrobi wszystko, czego się od niej zażąda. Policję można przekupić. Główna rzecz to przerzucić taką przez granicę i zapakować na statek. Reszta to furda.

— Moja siostra ma rację — zakończyła. — Pan możesz tym pokierować.

— Czemu nie przyszła do mnie w Buenos Aires?

— Pańska żona nikogo do pana nie dopuszcza.

— Co prawda, to prawda.

Zapalił papierosa. Potarłszy zapałkę, dojrzał na mgnienie twarz swej gospodyni. Rejcl wyglądała na poważną, a nawet z lekka wystraszoną. Doskonale wiedział, co powinien odpowiedzieć: jest za stary, pieniędzy nie potrzebuje, ma inne zmartwienia na głowie. Lecz tak miło siedziało się przy tej kobiecie, której głos go pieścił. Mówiła o mężczyznach z rodzajem dziewczęcego entuzjazmu, który nie pasował jakoś do osoby doświadczonej. „Ale bo to można wiedzieć, co u drugiego w głowie?” — pomyślał. Kobieta może mieć setkę mężczyzn i pozostać głupiutką smarkulą.

— Co pani wiadomo o Cirele, córce rabiego? — zapytał.

— Uciekaj pan od niej jak od ognia.

— Czemu to?

— To jakieś szojtewate. Zadurzyła się w jednym wywrotowcu. Wowce. Zabili jego na demonstracji, to ta, jak się o tym dowiedziała, zemdląła. Ona wierzy — jak to się nazywa? — w konstytucję.

— Zabrałbym ją do Argentyny.

— Wyrzucony pieniądz.

Wyłuszczyła mu wszystko. Do tej machlojki potrzeba pięknotek z biednych rodzin, dziewczuch, co się podpisać nie umieją, a nie jakichś radykałek czy innej szminteligencji, co dużo krzyczy, dopraszając się stryczka. W strajki te dziewczyny siedziały po strychach i majstrowały bomby. Jednej taka bomba wybuchła i oberwała kulasy. Po co się pakowały w taką przegraną sprawę? Sama Rejcl ma już ze dwie lub trzy dziewczyny, z którymi Maks mógłby od ręki wejść w porozumienie. Córuchny wyrastają w biedzie i znikąd nie mogą oczekiwać pomocy. Pójdą do roboty w fabryce — nabawią się suchot. Zresztą fabryki niechętnie przyjmują żydowskie dziewczęta. Nawet dyrektorzy Żydzi wolą chrześcijanki. Rajfurki, kobiety, co szukają posad dla służących, zawsze mają dziesięć chętnych na jedno miejsce. Szpetule są zwykle bez szans, ale jeśli dziewczucha jest ładna, nie musi sobie krzywdować.

— Kiedy mogę obejrzeć towar? — zapytał Maks.

— Choćby i dziś wieczór.

— Jak kotu przeleźć przez wodę?

— Ciii...

Dojrzał w półmroku, jak kładzie palec na ustach. Wstała i zajrzała do sypialni. Po chwili zamknęła drzwi.

— Będzie tak chrapał do rana.

Maks podniósł się również. Podeszedł do Rejcl i położył dłonie na jej biodrach.

— Rarytna z pani kobitka.

— Kiedyś byłam.

— Wciąż pani jest.

— Szmelke mnie ma za nic niewartą.

Schylił się i pocałował ją w usta. Objęła go i wpiła się w jego wargi, jednocześnie całując i kęsając. Powiedział:

— Nu, niech będzie.

— Tak, mój drogi, my we dwójkę możemy dokonać wielkich rzeczy.

Pociągnął ją w stronę kanapy, napierając kolanami na jej kolana.

Oderwała się od niego.

— Nie teraz.

— Więc kiedy?

— On, nawet jak chrapie, może podsłuchiwać. Ma duszę szpicla — szepnęła z chichotem.

Była Szmulowi wierna przez dwanaście lat. Mężczyźni się za nią uganiaли, ale żaden jej nie interesował. Męty, szlifibruki budziły w niej odrazę. Na Krochmalnej nie było przyzwoitych mężczyzn. Raz przypętał się do niej aktor z żydowskiego teatru, ale ten chciał tylko jednego:

opowiadać o sobie i popisywać się. Szmul Śmietana był kiedyś krzepkim mężczyzną, ale teraz miał już po sześćdziesiątce. Od wyłópanego piwska urosło mu brzucho.

— W moim wieku ceni się wyżej forszę od romansów — powiedziała.

— To prawda, człek nie młodnieje, tylko się starzeje.

Te same słowa słyszał kiedyś od swojego ojca, który jednak używał ich w tym sensie, że człowiek powinien być dobry i nie grzeszyć. Nakłaniał syna, by czynił pokutę, szczególnie w miesiącu Elul, kiedy ryba drży w wodzie, a Żydzi odmawiają modlitwy pokutne w oczekiwaniu Strasznych Dni. Zamiarem zaś Rejcl było zabicie forsy. Fantazje Maksa dla niej były praktycznym planem. Spodziewała się, że będzie nakłaniał kobiety do wyjazdu do Argentyny. Ona zostałaby jego współniczką; a też i kochanką. Mogłaby mu pomóc. Pocałunek, który mu oddała, podniecił go. Zapomniał o wszystkich swoich słabościach, obsesjach i lękach. Stała przed nim obok kanapy, ściskając przeguby jego rąk z rzadko u kobiety spotykaną siłą. Biła od niej kobieca moc, pełna oszałamiających obietnic.

— Przyjdę do pana — szepnęła i ugryzła płatek jego ucha.

— Kiedy?

— Jedna z tych dziewcząt jest służącą na tym podwórku. Jeśli pan chce, zawołam ją, żeby przyszła.

— A co na to jej państwo?

— Nie ma ich w domu.

— *Bueno.*

Usiadł na kanapie. Słyszał, jak Rejcl podnosi w korytarzu słuchawkę telefonu. Było zupełnie ciemno, jedynie z okien domu naprzeciwko padało światło. Miał wrażenie, że już kiedyś to wszystko przeżywał. Był doskonale świadom, że Rejcl wciąga go w bagno. Nie potrzebował pieniędzy i sądził już był, że postanowił wieść przykładne życie, ale z tej Rejcl taka ognista kobietka. Zdoła go może uwolnić z zakłętą koła impotencji, na którą cierpiał. Będzie mu też podsuwała inne. Coś się tu wydarzy. Warszawa to nie Londyn ani Berlin, gdzie błąkał się sam jak palec. Tutaj, chwalić Boga, ludzie uganiali się za nim, a nie na odwrót. Rabi ma mu dać jutro odpowiedź. Cirele na niego czeka. Całował się z żoną piekarza, lecz nie poszedł z nią do łóżka, a teraz może osiąść Rejcl Korek. Jutro odwiedzi Bernarda Szkolnikowa, którego siostra będzie wywoływała duchy zmarłych.

Siedział otulony ciemnością. „Co mam do stracenia? — rozważał. — Już gorzej, niż jest, być nie może. Lepiej tkwić w więzieniu niż obijać się na wolności, jeśli niczym nie można się cieszyć. Śmierć nawet lepsza...” Smyki z sąsiedztwa przestały grać w piłkę na podwórzu. Przez okna wlewała się cisza. Dojrzał pasmo nieba i kilka gwiazd. Usłyszał kroki i weszła Rejcl.

— Dziewczyna zaraz tu będzie. Pogadamy w kuchni.

Miało to wszelkie cechy konspiracji. Maks wstał i podszedł do Rejcl. Musiał uważać, żeby nie wpaść na stół albo krzesło. W drzwiach położył ręce na jej ramionach.

— Kiedy pani do mnie przyjdzie?

— Szs! On musi niedługo wyjechać do Łodzi. Ma tam coś do załatwienia.

Jakkolwiek Maks znajdował przyjemność w tej szemranej tajemniczości, w głębi ducha doznawał też niepokoju. Choć zdeprawowany, nosił w sobie uczciwego człowieka, moralistę, który go nękał rozważaniami o dniu śmierci i groźącym piekle. To się zaczęło wkrótce po zgonie Artura i już Maksa nie opuszczało. Czyżby, jak twierdził Bernard Szkolnikow, źródłem tego wszystkiego był magnetyzm Rucheł? Wyglądało raczej na to, że to ojciec Maksa z tajemną mocą przemawia do niego wprost z grobu.

Zawołała go Rejcl i wszedł do kuchni, przestronnego pomieszczenia z kafelkami na podłodze i miedzianymi patelniami na haczykach. Na kuchennej lawie siedziała młoda dziewczyna o płomiennie rudych włosach, zielonkawych oczach i obsypanej piegami twarzy. Miała zadarty nos i grube wargi. Rejcl Korek powiedziała, że jest ładna, lecz Maks nie dopatrywał się w niej urody. „Brzydka też nie jest — ocenił w duchu. — Gdyby tak mogła zeszkrobać z facjaty te piegi!” Ubrana była w perkalową sukienkę, ramiona okryła szalem. Miała w sobie coś przyjaźnie prowincjonalnego. „Czyżby pochodziła z Raszkowa?” — zdumiał się. Zerknął na jej buty. Świeciły dziurami i zapinały się na guziczki.

— Panie Barabander, to ta dziewczyna.

— Jak ci na imię?

— Basia.

— Skąd jesteś, Basiu?

— Z Opola.

— Z Opola, ha? Słyszałem o tym mieście. Czym się zajmuje twój ojciec?

— Jest krawcem — odpowiedziała z półuśmiechem.

— Masz rodzeństwo?

— Trzech braci i dwie siostry. Ja jestem najstarsza.

— A ile to liczysz sobie lat?

— Dziewiętnaście.

— Wyglądasz na szesnaście. Czy wszyscy tam u was w rodzinie są rudzi, czy tylko ty?

— Ja i Jeden braciszek.

— Chciałabyś wyjechać z Rosji zapytał, niepewny, czy należało tak szybko przystąpić do rzeczy. Odpowiedziała bez namysłu.

— A co ja tu mam? Tyram na okrągło, a dają mnie osiem rubli. Pojadę na święta do domu, kupię jakąś sukienczynę czy inny prezent, i już po pieniądzach. Moja pani mówi, że w Ameryce

dobrze płacą i służąca może sobie odłożyć na posag. Nic chcę być zawsze za służącą. Pani gania mnie do roboty przez okrągły dzień i nawet spać się nie mogę położyć, kiedy bym chciała. Same to oni wstają późno, ale ja muszę się zrywać przed świtem, żeby już o szóstej być na nogach.

— Niech pan siada, Maks, czego pan stoi? wtrąciła Rejć, podsuwając mu krzesło.

Wszystko to jest jak trzydzieści lat temu — stwierdził. — Wszystko pozostało po staremu. Za granicą życie się zmieniło. Na ten przykład: na co ci szal w taki gorący dzień? Albo buty z cholewkami, latem w gorąc się takich nie nosi. Tam cię ludzie nie pytają, a ktoś ty, a coś ty za jedna. Na dziewczynę mówi się „señorita”, a jak wyjdiesz za męża — „señora”. Ci, co wyjechali do Argentyny, to nie było żadne lepsze towarzystwo. Ojciec mógł być złodziej, a córka żyje na wysokiej stopie i bryluje w swoim towarzyskim kółku. Nikt tam nie nosi peruk ani czepców, jak tu. To wszystko fanatyzm z czasów króla Sobieskiego. Na co ścinać własne włosy i zakładać włosy kobiety, która już może nie żyje? Tak samo ze wszystkim. W świętych księgach wypisują rzeczy wyssane z palca. Tam gdzie mieszkam, nikt już nie je koszerne. Może gdzieś i jest rzezak rytualny, ale spróbuj go znaleźć. Co wołu po tym, jak go zarzną? Tam wszystko jest postępowe i dziewczyna nie boi się mężczyzny. W moim kraju jest więcej mężczyzn niż kobiet i kobieta traktowana jest z szacunkiem. Główna rzecz to nie być zacofaną i zapomnieć o babcinych modlitewnikach.

Mówił tak, jakby umiał to wszystko na pamięć. Porwały go własne słowa. Oblicze Rejć Korek rozplątywało się w uśmiechach, oczy jej błyszczały. On zdawał się czytać w jej myślach. Mówił akuratnie to, co trzeba.

Uśmiechając się z onieśmieniem, Kasia zsunęła szal z ramion.

Tak, to prawda. A żeby pan wiedział, jak jest tam u nas w Opolu — odrzekła. — Tak samo jak sto lat temu. Tylko zajadę na święta, już się zaczynają awantury. Matka chce, żebym chodziła do babinca w bożnicy. Ale ja mam dość po całym dniu na nogach. Bogate to sobie siedzą na ławce, a my musimy stać.

— No, widzę, że z ciebie rozgarnięta dziewczyna. Jeśli chcesz ze mną jechać, nikomu ani słóweczka. Ludzie są zawistni. Ma taka męża i bachory, sama nigdzie się już ruszyć nie może, więcby chciała, żeby i inni taplali się w błocie. Jak chcesz wyjechać za granicę, musisz dostać paszport, co kosztuje dwadzieścia pięć rubli. To dla bogatych, co jeżdżą do wód, nie dla takich jak ty. Przeszwarujemy cię przez granicę i nie będziesz potrzebowała żadnego paszportu. Wsadzimy cię na okręt, a potem odbierzemy i zaopiekujemy się tobą. Ja sam prowadzę jeden interes, więc jeśli nie u mnie, umieścimy cię gdzie indziej. Zrzucimy te wszystkie łachy i wystroimy cię jak księżniczkę — kapelusz, torebka, śliczna pelerynka. Mamy takie kremy, co je nałożysz — i piegi schodzą. Ty musisz mieć skórę białą jak mleko. Podwiń no rękaw. Niech zobaczę.

Basia zawahała się na chwilę. Potem podciągnęła rękaw. Maks obrzucił jej ramię okiem znawcy.

— Nie mówiłem? Bieluchna jak śnieg. Nie byłaś szczepiona na ospę. Nie masz żadnych śladów.

— Na ospę? Czy ja wiem? Nie.

— Oto i macie Rosję. Tam ledwie się dzieciak urodzi, zaraz go szczepią. Nie wpuszczą cię na okręt, jak nie będziesz szczepiona. Lecz ja już się wszystkim zajmę. Ty musisz pamiętać o jednym — nikomu ani mru-mru. Jeśli piśniesz komu choć słówko, zepsujesz wszystko.

— Komu bym miała pisać? Ja niczego przed tą panią nie ukrywam. Ona zna wszystkie moje sekrety.

— Byłaś z kim kiedy zaręczona albo co?

— Z nikim. Chłopaki mnie molestują, ale ja ich pędzę. Im się zdaje, że jak jestem biedną dziewczyną, to już mogą sobie ze mną pozwalać. W szabas chodzą z mełamedem do bożnicy, a w tygodniu odstawiają wielkich elegantów.

— Dobrze! Prowadź się przyzwoicie. Jak który chce wziąć, niech daje. Mamy takie powiedzonko: „Za frajer to możesz najwyżej iść do łaźni”. A tu w Warszawie nawet do łaźni za darmo nie wpuszczą. Rozumiesz, o co mi chodzi?

— Tak, rozumiem.

— Jak nie będziesz głupia, będziesz jadała w tabernakulum.

— Kiedy pan wyjeżdża? — zapytała po chwili namysłu.

— Trochę jeszcze mi zejdzie. Może za parę tygodni, może za parę miesięcy, ale pojedziemy. Do tego czasu buzia na kłódkę. Pani Rejcl będzie ci o wszystkim donosiła. Jeśli będę cię potrzebował, zajrzę tu. Słyszę, że twój pan ma telefon. Daj mi numer. Co porabiasz w szabat?

— Och, muszę odebrać czulent od piekarza. Nie pozwalają mi zmywać statków, bo nie ma gorącej wody, ale muszę je czyścić. Przed ostatnim szabasowym posiłkiem robią się głodni i muszę ganiać po zsiadłe mleko.

— Mogłabyś wyskoczyć na parę godzin?

— Może. Tak.

— Spotkajmy się gdzieś, pojedziemy do teatru albo do cukierni. Kupię ci sukienkę i co ci tam trzeba. Na borg. Jak zarobisz, oddasz.

— Z pana dobry człowiek.

— Nie jestem dobry, mam w tym swój rachunek. Prowadzę interes i potrzebuję ludzi. Mężczyzn nie brakuje, ale do pewnego rodzaju prac nadają się tylko dziewczęta. Podstawowa rzecz to robić, co powiem. Jeśli ze mną pojedziesz, będę dla ciebie ojcem, matką, siostrą, narzeczonym. Byleś się słuchała, a wszystko będzie fajn.

— Tak, rozumiem.

— I co ty na to?

— Mam nadzieję, że coś z tego wyjdzie.

— N a p e w n o wyjdzie. Najważniejsze, żebyś trzymała buzię na kłódkę. Jeśli piśniesz komuś choć słówko, choćby najlepszej przyjaciółce, zaraz się zacznie gadanie i wszystko lichy weźmie. Na, masz tu rubla! — Wyjął portfel.

Basia spuściła głowę.

— Za co to?

— Za twoje piękne ślepka. Dla ciebie rubel to majątek. Dla mnie tyle co splunąć. Oddasz mi kiedyś. Nie stracę przez ciebie ani grosika. Zapisuję sobie wszystko w małym zeszyciku dla pamięci. Kup sobie parę pończoch lub co ci tam trzeba. Będiesz mogła spotkać się ze mną w szabat o pierwszej?

— O pierwszej to za wcześnie. Nim skończą śpiewać szabasowe pieśni i odmówią błogosławieństwa, jest już często druga.

— To może o trzeciej?

— Dobrze, o trzeciej.

— *Bueno*. Spotkamy się o trzeciej na Ciepłej. Tam są koszary; spotkamy się po drugiej stronie ulicy. Będę tam punkt trzecia i wszystko sobie omówimy. Oto twój rubelek.

— Och, dziękuję.

— Bierz i niech ci wyjdzie na zdrowie. Jesteśmy ludzie, nie zwierzęta.

— Mogę już iść?

— Możesz — zezwoliła Rejcl. — Tylko nie zapomnij, o trzeciej w szabas, naprzeciw koszar. Nie daj panu czekać i niech to będzie sekret między naszą trójką. Krzywdy ci nie zrobimy. Boże broń.

— Dobranoc. Zostawajcie w zdrowiu.

— Dobranoc.

Ledwie za Basią zamknęły się drzwi, Rejcl podbiegła do Maksa, objęła go i przycisnęła do siebie.

— Mamo moja, z pana to jest gość. Masz pan gadane, każde słowo zasługuje, żeby je całować. Gdzieś się pan nauczył tak nawijać? Jeśli ta sziksa nie rozpuści się ze szczęścia, znaczy, że jest twardsza niż żelazo. Z taką gadką mógłby pan samą carycę zbałamucić.

— Ta już zbałamucona. Piszą o tym w gazetach; jakże mu tam? Rasputin!

— Co pan myślisz o tej dziewczusze?

— Nie takie znowu mecyje.

— Nieskalana dziewica. Jak się ją wystroi, własna matka jej nie pozna. Świeżutka cipuchna.

A mam i ładniejsze. A ci co tam mają? Stare kurwiszcza.

— Żeby tylko nie rozgadała wszystkiego!

— Będzie milczeć jak grób. Musi pan wiedzieć, że ja już ją urobiłam. Ale co mnie zabrało tygodnie, pan osiągnął w dziesięć minut. Pan trafiasz prosto w sedno, przemawiasz im do serc. Co pan z nią zrobi w szabat? Uwiedzie ją pan?

— Tak szybko?

— Taki jak pan wszystko może. Czy mogę panu mówić „ty”? Gadałeś z nią, a ja się robiłam zazdrosna. Właściwie przydałbyś mi się tu, w Warszawie.

— Jedź ze mną do Argentyny.

— A co będzie ze Szmulem? Wszystkich tu zna, wszędzie ma znajomości. Wyrwij go z Warszawy, a stanie się nikim.

— Zostaw go.

— O? Może i masz rację. Ma żonę. Dojdzie do czegoś między nami. Jesteś w moim typie. Co bym robiła w tym Buenos Aires?

— Siedzielibyśmy pół roku tam, pół roku tutaj.

— Bodajby się spełniło! Gdybyśmy my pracowali ręką w rękę, opływalibyśmy w złoto. Czekaj, zobaczę, czy Szmelke śpi.

Kiedy Rejcl Korek wyszła, Maks zapalił papierosa. „Nu, to tylko taka gra. Nie mam zamiaru na stare lata zostawać alfonszem”. Wciągnął głęboko dym. Machnął tę gadkę, żeby zrobić wrażenie na Rejcl, pokazać jej, jaką ma władzę nad babami. Niech sobie dziewczyna zatrzyma tego rubla. Biedne dziecko. Zmarszczył czoło. Myśli kłębiły mu się w głowie. Jeśli ta Rejcl potrafi zdjąć z niego urok, zabierze ją z sobą. W czym ona gorsza od Ruchełę? O niebo lepsza! Szmul znajdzie sobie inną. Ostatecznie jest królem Krochmalnej.

W Maksie obudziło się coś, co we współczesnym języku nazywa się sumieniem. Bał się, że mógłby komuś zrobić krzywdę. Wciąż szukał dla siebie usprawiedliwień. Jak do tego doszło? Był czas, kiedy wyrządzał ludziom krzywdy i nic sobie z tego nie robił. Wyrósł w przeświadczeniu, że z kobietą można wszystko, na co przyjdzie ochota. Trzymał się zawsze zasady, że w miłości i na wojnie wszystko wolno. Aż tu raptem coś w nim zmiękło. Chciał odkupywać każdy grzech — pieniędzmi, słowami, prezentami. Wezbrała w nim odraza do wszystkich, dla których nie liczy się nic prócz ich własnych żądz, takich jak Rejcl Korek. Ta by z pewnością za parę rubli sprzedała własną matkę. Czy podobna, by to wszystko spowodowała śmierć Artura, a może to on, Maks, dotknięty był jakąś ukrytą chorobą?

Wróciła Rejcl.

— Śpi jak zabity. Tylko że z nim nigdy nic nie wiadomo. Obudzi się nagle i nakryje cię.

— Kiedy ma jechać do Łodzi?

- W przyszłym tygodniu.
- Na jak długo?
- Na parę dni.
- Przyjdiesz do mnie?
- Tak. Ty do mnie albo ja do ciebie.

Maks Barabander spał mocno, póki nie zbudził go pikolak pukaniem do drzwi: „Telefon do pana!” W pośpiechu narzucił szlafrok i wsunął pantofle. Dochodziła już prawie dziesiąta. „Kto to może być? — zastanawiał się. — Rejcl Korek?”

Już miał powiedzieć: „Jak się masz, Rejcele?”, gdy usłyszał głos innej kobiety. Pełen wahania, zacinający się niemal. To była Cirele, córka rabiego.

— Obudziłam cię? — zapytała.

— Ależ nie, Cirele, już prawie dziesiąta.

— Tatu chciałby z tobą porozmawiać.

— To świetnie. O której przyjść? Czy się zgadza?

— Och, przez całą noc nie zmrużyłam oka.

— Co postanowili?

— Przychodź! Wszystko ci powiedzą.

— O której mam przyjść?

— O której chcesz. Ojciec jest teraz w bożnicy, modli się. Potem będzie w domu.

— Dlaczego jesteś zachrypnięta, Cirele? — zapytał.

— Och, to chyba cud!

— Hm, dobrze. Niedługo będę.

— Kiedy?

— Do południa.

— Tatu zgodził się od razu, ale mama jest taka nerwowa... lubi się zadreczać. Otworzyłam przed nim serce. Postawiłam sprawę jasno: „Nie wyjdę za chłopca z jesziwy”. Byłam gotowa spakować manatki i uciec.

— Uciec dokąd?

— Do ciebie.

— Nu, zajdę do was.

Odwiesił słuchawkę i stał przy aparacie jak zauroczony. Czy to możliwe? Tak, wszystko jest możliwe. Nie czuł jednak radości. Przeciwnie, ogarnęła go trwoga. „Co ja z nią pocznę? — zastanawiał się, wróciwszy do pokoju. — Nie mogę się wiązać z Rejcl Korek ani zabrać z sobą Cirele, bo mam żonę. Za krzywdę wyrządzoną temu dobremu człowiekowi Bóg mnie ukarze. Co mnie właściwie trzyma w Warszawie? Czy zostaję po to, by spotkać się ze Szkolnikowem, który ma skontaktować mnie z umarłymi? Czy po to, żeby się znowu objadać klopsikami z kaszą jęczmienną z jajkiem u Rejcl Korek?”

Spojrzał na swoje walizki. Spakowanie się, uregulowanie rachunku, złapanie dorożki na

Dworzec Wiedeński i zajęcie miejsca w wagonie pierwszej klasy nie zabrałoby więcej niż pięć minut. Nie próbowaliby go ścigać. Mógłby też wyjechać jutrzejszym pociągiem. Z drugiej jednak strony: dokąd miałby jechać? Z powrotem do Buenos Aires, w sam środek zimy? Prawdę powiedziawszy, cały świat wydawał mu się teraz, pusty. Jechać do Raszkowa? I co bym tam robił? Krewni najprawdopodobniej zapomnieli już jego imienia, a większość z nich pewnie pomarła.

„Tak, uciec zawsze zdążę” — zdecydował. Pobawmy się jeszcze trochę. Zabrał się do mycia, ogolił się i ubrał. Ranek był ciepły i słoneczny i Maks stał przez chwilę przy oknie, przyglądając się przechodniom. Każdemu jego los pisany. Przeznaczeniem Maksa było w wieku lat czterdziestu siedmiu błąkać się po świecie bez celu. Ubrał się i wyszedł. Lepiej wdawać się w dzikie awantury niż siadywać na ławce w Whitechapel i wszczynać rozmowę z jakimś misjonarzem, jak to mu się zdarzyło w Anglii. Tym razem wypił kawę w kawiarni przy Krakowskim Przedmieściu. Potem poszedł piechotą na Krochmalną. Zdażył już poznać drogę, rozróżniał nawet zapachy. Gdy dotarł na miejsce, jego zegarek wskazywał punkt dwunastą.

Wszedł na górę do mieszkania rabiniego i zastał tam Cirele, bladą, jakby wstała po chorobie, ubraną w białą bluzkę i jasnozieloną spódniczkę. Siedziała na łóżku i cerowała naciągniętą na szklankę pończochę. Przy stole rabinowa łuskała groch. Gdy wspinał się po schodach, ogarnęła go narzeczeńska nieśmiałość, jakby dopiero co przyjechał z Raszkowa i szedł obejrzyć swą oblubienicę. Zebrał się jednak w sobie i otrząsnął z onieśmienia. Miał pieniądze, paszport z wbitymi wizami, złoty zegarek w kieszonce kamizelki, a w bagażu rewolwer.

— Dzień dobry, rabinowo! Dzień dobry, Cirele! — przywitał się. — Czy rabi w domu?

Cirele zerknęła na niego z ukosa, wystraszona. Rabinowa obróciła ku niemu zaciętą twarz, przenikając go pełnym wyrzutu i ciekawości spojrzeniem szarych oczu. Nad jej nosem pojawiły się zmarszczki.

— Jest w drugim pokoju.

Maks zdawał sobie sprawę, że powinien coś powiedzieć tym kobietom. Ale co? On, taki mówca, zapomniał języka w gębie. Wszedł do sztibł i ujrzał rabiniego w tej samej co wczoraj pozie. W jarmułce i jedwabnym kaftanie dobry człowiek stał przy pulpicie i coś pisał na skrawku papieru. Tym jednak razem zawołał:

— Witam!

— Świętobliwy rabi!

— Proszę siadać, proszę siadać. O tu...

I sam usiadł u szczytu stołu.

Maks objął spojrzeniem półki z książkami, Świętą Arkę za parochetem, lwy, Dziesięcioro Przykazań, i wstał w niego duch tej samej pokory, jakiej doświadczył poprzedniego dnia. „Czy

może istnieć większy zaszczyt niż zostać zięciem tego rabina? — pomyślał. — Będę czcił ziemię, po której ona stąpa. Będę ją całował jak mezuzę”.

Ten dom przepajała atmosfera spokoju, jakiego nie znał w żadnym innym kraju ani w żadnym innym miejscu, nawet w muzeach Paryża, Londynu czy Berlina. Świat był obcy, opętany pośpiechem, rywalizacją. Tu wszystko tchnęło ukojeniem, bliskością, życzliwością. Z niebieskich oczu tego człowieka patrzyła nieziemska dobroć. Cętki słoneczne migotały na wyklejonych złotymi tapetami ścianach, na stole, na szafkach z książkami. W pokoju pachniało herbata, cytryną i szabasowymi balsaminkami.

— Reb Mordche — zaczął rabi — omówiłem wszystko z żoną i domownikami. Powiem otwarcie. Moja małżonka i ja radzi byśmy raczej wyswatać naszą córkę z jakimś uczonym młodzieńcem, ale to trudne. Nie mam dla niej posagu. Nu, moja córka jest ciut postępową. Cóż poradzić? Inne pokolenie, inne obyczaje. W niebie z pewnością wiedzą, co się dzieje. Krótko mówiąc, zgadzamy się — pod jednym warunkiem: pan musi zapuścić brodę, broda bowiem to symbol żydostwa. Musi nam pan przyrzec, że będzie zachowywał koszer, nie naruszał szabatu i przestrzegał wszystkich zakonów religii. Jeśli nie zna pan jakiegoś prawa, mam książeczkę, gdzie wszystko opisano w jidysz, będzie więc pan w stanie ją przeczytać. Jej autorem jest powinowaty mego teścia, reb Jeszaja Rechower, który pragnął uczynić coś dla ludu. Nie każdy umie czytać po hebrajsku, ale rzecz główna to prowadzić się jak Żyd. Wolelibyśmy, oczywiście, abyście zamieszkali tutaj, bo to nasza jedyna córka i nie chcemy, by mieszkała z dala od nas, gdzieś w obcych krajach. Ponieważ jestem dajanem, nie mogę spisać tnoim dopóty, dopóki nie zapuści pan brody, jeśli bym bowiem zaakceptował zięcia, który z naruszeniem żydowskiego prawa zgolił brodę, oznaczałoby to, że jestem temu przychylny. Milczenie jest zgodą, jak mówi *Gemara*. Byłoby zatem wskazane, byśmy zawarli umowę ustną, póki broda panu nie wyrośnie, a wówczas z pomocą Bożą spiszemy akt zareczynowy i wyznaczymy datę ślubu. Nierad też widzę pańskie kuse stroje, to bowiem naśladowanie gojów. Gdy goje i Niemcy odziewają się kuso, przystoi Żydowi oblekać długie suknie. Ale to już jak pan sobie życzy. Można być Żydem i w krótkiej marynarce. Sprawą zasadniczą jest, aby Żyd przestrzegał zakonów. Jeśli tego nie czyni, narusza Torę, a czymże są Żydzi bez Tory? Dzięki czemu przez blisko dwa tysiące lat znosiliśmy wszystkie nasze udręczenia? Jedynie dzięki temu, że Tora pouczała nas i przydawała nam sił. Żyd bez Tory gorszy jest od goja... Czy pan mnie rozumie, hę?

— Tak, świętobliwy rabi, rozumiem.

— Czy zgadza się pan ze mną?

— Cokolwiek mówi święty mąż, jest prawdą. Twoje słowo — to jakby przemawiał do mnie Bóg.

— Boże uchronij! Człowiek nie jest niczym więcej niż ciałem i krwią, to zaś, co panu

powiedziałem, pochodzi z Tory. Jeśli pan chce, przestudiuję z panem ustęp z *Talmudu*. Może pan zacząć od *Pięcioksięgu*. Nie ma wspanialszego nad *Pięcioksiąg* traktatu moralnego. Zaraz od pierwszego wersetu przepojony jest moralistyką. Ledwie bowiem Najwyższy stworzył niebo i ziemię, ludzie musieli Mu służyć i słuchać Jego przykazań. Raszi mówi, w pierwszym zaraz komentarzu, że Wszechmocny stworzył niebo i ziemię z powodu Żydów i Tory.

— Świętobliwy rabi, nie jestem wart prochu spod twoich podeszew.

— A cóż to znów za gadanie? Wszyscyśmy dziećmi Abrahama, Izaaka i Jakuba. Każdy przeciętny Żyd może być świętym człowiekiem. Zostało stwierdzone, że Trzydziestu Sześciu Utajnionych Świętych to ludzie prości — szewcy, krawcy, woziwody. Moja córka jest ciutkę porywczą, lecz serce ma dobre. Jest kobietą pełną współczucia, dlatego palnie czasami coś, czego nie powinna, wyrzuca Panu Wszechświata istnienie biedaków. A skądże nam znać drogi Wszechmocnego? Wszystko zapisane jest w górze. Przepraszam, zechce pan chwilkę zaczekać. Przywołam domowników.

Rabi wyszedł do kuchni. Maks wstał. Podeszedł do biblioteki i zdjął z półki jakąś świętą księgę. Była wydrukowana w całości czcionką Raszego. Co tu jest napisane? Usiłował czytać, lecz nic nie rozumiał. Zdołał jedynie odcyfrować wydrukowane po rosyjsku na stronie tytułowej zezwolenie cenzora. Wyjął drugą i trzecią książkę. „Nigdy nie będę uczonym”.

Kusiło go, żeby wyjść na balkon, ale nie chciał dostarczać pospólstwu z sąsiedztwa powodów do plotek. Zdawał sobie sprawę, że nie ma żadnego interesu wiązać się ani z Rejcl Korek, ani z Cirele. Broda? Już sama o niej myśl go śmieszyła. „Może umarli Szkolnikowa doradzą mi, co mam robić”. Z kuchni dobiegało go poszeptywanie, szmer przyciszonej i pośpiesznej narady. Nagle przypomniał sobie, że siostra Rejcl Korek, *Señora Szajewski*, wie, że on ma żonę, wie zatem, że nie jest wdowcem. Mogą go zaaresztować jeszcze tu, w Warszawie, za próbę poślubienia innej, kiedy jest żonaty. „Pcham się w pułapkę, z której nigdy się nie wydostanę!”

Drzwi się otworzyły. Pierwszy wszedł rabi, za nim rabinowa, za rabinową Cirele.

Opuściwszy mieszkanie rabiego, Maks stał przez chwilę na schodach. Rabi zaczął go tykać. Rabinowa życzyła mu mazel tow. Ponieważ nie miał brody, odłożono spisanie aktu zaręczynowego, on zaś złożył obietnicę, że pojedzie wkrótce do Raszkowa, gdzie poczeka, aż mu broda wyrośnie.

Wystawiał na pośmiewisko nie tylko Cirele, ale i dobrego człowieka oraz jego żonę. Ona także była córką rabina. „Jedna śmierć to za mało — wyrzucał sobie w duchu. — Pasy by ze mnie drzeć!” Ruszył ulicą. Obejrząwszy się zobaczył na balkonie Cirele. Patrzyła za nim, potrząsając

głową i jakby posyłając mu dłonią pocałunek. „Niegodziwy Haman był świętym w porównaniu ze mną... Za takie postęпки Bóg zsyła karę jeszcze na tym świecie”.

Nic nie wypił, a zataczał się jak pijany. Nogi mu zwiotczały, chodnikowe płyty kołysały się pod nim. Miał przed sobą jeszcze cały ten letni dzień i nie wiedział, co z sobą począć. Ze Szkolnikowem ma spotkać się wieczorem. Zajść do szynku i naprawdę się urząnąć? Wracać do hotelu? Nie miał ochoty na wódkę, nie czuł się też na siłach, by z zamętem w głowie siedzieć samotnie w hotelowym pokoju.

Z zazdrością przyglądał się przechodniom. Żyli uczciwie, nie tak jak on, którego życie było galimatiasem kłamstw i szwindli. Gdyby tak mógł skończyć z tym wszystkim! W walizce miał rewolwer. Wystarczy przystawić go do skroni i pociągnąć za cyngiel. Nogi same zniosły go do hotelu.

Co to dziś mamy? Prawda, czwartek. W szabat miał się spotkać z rudowłosą Bašką. Rejcl Korek ma zadzwonić do niego, gdy Szmul Śmietana wyjedzie do Łodzi. Położył się na łóżku i zagapił w sufit. Wokół haka (tego samego, na którym zamierzał się powiesić), brzęcząc, kołowały bezcelowo muchy. „Jakaż to nagła radość nimi owładnęła? — zastanawiał się. — Czy to rodzaj muszowego tańca, czy jakieś musze wesele?”

Letni wietrzyk przywiewał przez otwarte okno zapachy drzew, trawy, końskiego łąjna i pól. Może by tak pójść i popływać w Wiśle? Pamiętał rzeczne kąpielisko, gdzie można było sobie niegdyś popływać. Nie był jednak w nastroju do kąpieli. Bałby się też zostawić na brzegu paszport, ubranie i portfel. Wiadomo to, co wymyślą złodzieje?

Wzięła go chętka, by wyjąć rewolwer, zdecydował jednak, że lepiej się nie bawić tak niebezpieczną zabawką. Pistolet potrafi czasem sam wystrzelić. W Rosji noszenie broni było zabronione. Im dłużej nad tym rozmyślał, tym jaśniej dostrzegł, że nie tylko cała sytuacja była groźna, ale i dzień zapowiadał się stracony. Ani dokąd pójść, ani się czym zająć. Gdyby choć mieli tu kasyno, w którym mógłby przegrać parę rubli!

Począł go morzyć sen. Zwidywało mu się, że wygrywa w Monte Carlo tysiące, setki tysięcy franków. Miał przed oczami stoły do ruletki, krupierów, innych graczy, wśród nich zaś widział szczególnie wyraźnie kobietę z białymi włosami, która wyciągała rękę o powykęcanych, obsypanych diamentami palcach i krzyczała: „Stawiam wszystko, cały majątek, jaki mi mąż zostawił”. Piętrzyła na stole stosy złotych monet. „Jak taka stara wiedźma może nosić przy sobie tyle forsy? — dziwił się Maks. — I jak się też udało temu jej mężulkowi zbić taką fortunę? Nie dzięki recytowaniu psalmów... — Nagle ocknął się i poderwał z dreszczem. — Co też to mi się śniło?” — zapytał sam siebie.

Przypomniał sobie swoje śmiałe, do rabiego skierowane słowa, ostrzeżenia, nieme wyrzuty i przycinki rabinowej, wypominającej mu, że jest niewykształcony, niegodny, by zostać mężem

córki rabiego, błagalne spojrzenia Cirele. Został mu po tym wszystkim niesmak. „Na licho mi to potrzebne? W jaką znów diabelską awanturę się wplątałem?” Przyszły mu na pamięć słowa jego matki: „Człowiek sam sobie najgorszym wrogiem... Co sobie sam robi, tego by mu dziesięciu nieprzyjaciół uczynić nie mogło”.

— No cóż, adieu, Warszawo! — rzekł na głos. — Opuszczam cię niezwłocznie. Spojrzał na swój bagaż. — Pojadę, dokąd mnie oczy poniosą. Wsiadę do pierwszego pociągu!

Zapukano do drzwi. Otworzywszy je, Maks ujrzał przed sobą urzędnika hotelowego oraz jakiegoś po cywilnemu ubranego mężczyznę w meloniku, „melonie”, jak się mówiło w Warszawie, i kraciastym garniturze. Mężczyzna ów zapytał:

— Kiedy pan wyjeżdża? Musimy przygotować pański pokój.

— Co to znaczy wyjeżdża? — zapytał Maks w oszołomieniu.

— Pan miał zwolnić pokój dzisiaj do południa.

— Czemuż to?

— Obawiam się, że zaszła tu jakaś pomyłka — wtrącił urzędnik i począł studiować trzymany w ręku papier. Jegomość w meloniku uśmiechnął się służalczo, a nawet jakby mrugnął. Urzędnik powiedział:

— Zejdę na dół i wszystko wyjaśnię. — Po czym bez słowa przeprosin zamknął drzwi.

„Co to znaczy? Wyrzucają mnie stąd?” — zapytał sam siebie Maks. Od paru już dni rosło w nim podejrzenie, że w hotelu patrzą na niego niechętnie. Pikolaki i pokojówki wciąż pukali do jego drzwi, a nawet wsuwali klucz w zamek i otwierali je, mimo że on był w pokoju. Mamrotali pod nosem drwiące przeprosiny. Ktoś mógł zrobić na niego doniesienie do władz. O cóż jednak mogliby go oskarżać? Niczego do Warszawy nie szmuglował.

Zaczął chodzić wkoło po pokoju. Więzi łączące go ze światkiem przestępczym pozrywał, lecz nigdy w gruncie rzeczy nie przyzwyczał się do świata dostatku, arystokracji, przemysłowców, eleganckich dam. Wszędzie — w Londynie, w Paryżu, w Berlinie — czuł na sobie podejrzliwe spojrzenia. W Buenos Aires zdradzała go jego hiszpańszczyzna z polskim akcentem. Rabinowa dopiekleła mu do żywego cierpkimi słowami. Powinien stać się lepszym człowiekiem: nigdy nie jest za późno na naukę, na nabranie ogłady. Niemal otwarcie nazwała go gburem, któremu zmuszona jest oddać córkę, gdyż Cirele, usiłowawszy popełnić samobójstwo, straciła u ludzi na szacunku.

Znów rozległo się pukanie do drzwi. „Zamierzają mnie wyrzucić?” Otworzył, w progu stała Cirele. Gapił się na nią zdębiały. Miała na sobie jasny kostium i słomkowy kapelusz, który jej kupił. Nigdy nie widział jej takiej eleganckiej. Nikt by nie powiedział, że to córka rabiego; mogłaby z powodzeniem uchodzić za hrabinę. Ogarnęły go radość i wstyd. „Czy to przez nią się zadreczam? Żeby z nią być, poświęciłbym ostatni grosz!” — pomyślał.

— Wejdz! Wejdz! — I zaczął obsypywać ją pocałunkami.

Wyrwała mu się.

— Nie tu!

Wciągnął ją do pokoju, a gdy rzucił się, by ją całować, poczuł ostre ukłucie szpilki do kapelusza. Upadł na kolana i objął jej stopy. Roześmiała się i złajęła go.

— Wstawaj! Co cię opętało?

— Cirele, jesteś moim Bogiem!

— Co ty wygadujesz? Nie wolno tak mówić!

— Moje życie należy do ciebie!

Wstał i porwał ją w objęcia. Kołysał się z nią i całował jej szyję, ramiona, dłonie w rękawiczkach. Odtąd, i już na zawsze, będzie żył tylko dla niej. Rozwiedzie się z Ruchele, choćby go miało to kosztować trzy czwarte majątku.

Ledwo mu się wyrwała.

— Och, ty jesteś szalony.

— Sam Bóg mi cię zesłał.

— Chciałam, byśmy wszystko omówili. Próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale mi powiedziano, żeś się wyprowadził.

— Powariowali czy co? W tej chwili schodzę do recepcjonisty i dam mu do wiwatu. Zakute łby!

— Nie irytuj się! Gdyby się mama dowiedziała, że do ciebie przyszłam, obdarłaby mnie żywcem ze skóry. Powiedziałam jej, że idę do doktora. Mamy takiego dr. Fränkla, znajomego taty. Pisuje po hebrajsku do „Ha-Zefirah” i rozmawia z ojcem o *Gemarze*. Nie weźmie od nas ani grosza.

— Na co tobie potrzebny lekarz?

— Mama mówi, że wyglądam blado. Przywykłam budzić się w środku nocy i oka już nie mogę zmrużyć.

— Ze mną będziesz spała jak zabita.

— Och, co też ty mówisz? Powinieneś się wstydzić!

I oblała się rumieńcem od szyi po czoło.

— Czemuś się zmieszała? Mąż i żona sypiają razem.

— Proszę! Nie mów takich rzeczy! Wiesz... — urwała, obrzucając go błagalnym spojrzeniem.

— Nie, to nie. A skąd myśmy się wszyscy wzięli na tym świecie?

— Maks, bądź tak dobry!

— W porządku, od tej pory będę trzymał język na wodzy. Tyś niewinna panienska, a ja...

— Nic już nie mów. Zejdź ze mną na dół. Jest tyle spraw, o których chciałabym z tobą porozmawiać.

— Możemy porozmawiać tutaj.

— Nie, Maks, dziewczynie nie przystoi przebywać z mężczyzną w hotelu.

— Ale my jesteśmy zaręczeni.

— Szczególnie już z narzeczonym.

— Hm, nie nawykłem do tych religijnych formalności. W Paryżu życie toczy się swobodnie. Mężczyźni całują się z kobietami na środku ulicy.

— Proszę, zejdź ze mną na dół.

— No cóż, niech będzie.

Zrozumiałwszy, że nie ma widoków na nakłonienie jej, by z nim została, włożył kapelusz. Dziwne, ale sama ta okoliczność, że nie ma żadnej absolutnie możliwości pozostania z Cirełe, podbechtała jego przewrotną, diabelską naturę, jego wewnętrzznego wroga, i obudziła w nim pożądanie. Po raz ostatni przycisnął ją do siebie. Odepchnęła go, zaczerwieniona i potargana. Potem jej oczy stały się jeszcze bardziej niebieskie i błyszczące. Mały rabi w spódnicy, klejne mezuz. Pocałował ją po raz ostatni i wyszli.

Ta córka rabina roznieciła w nim na powrót męską żądzę. Chciał ją wziąć za rękę, lecz nawet na to nie pozwoliła. Nie miał pojęcia, że w Polsce przechowała się dotąd taka cnotliwość.

— Ile masz czasu? — zapytał.

— Tylko parę godzin. Możemy zjeść razem kolację.

Wszystko się dobrze składało. U Szkolnikowa miał być o ósmej. Nie mógł zabrać dziewczyny do tego czarownika. Zatrzymał dorożkę, usiadł obok Cirełe i kazał się wieźć do Łazienek, które pamiętał z dawnych czasów. Przechodnie odprowadzali ich spojrzeniami i wyglądali na zdumionych. „O co chodzi? Czy oni wiedzą, że to córka rabina?” — zastanawiał się, stwierdziwszy, że przyglądają się jej, nie jemu.

Jechał w milczeniu, rozmyślając o tym, że skoro rabi życzy sobie, by zapuścił brodę, ma przed sobą jeszcze kilka dobrych tygodni. Do tego czasu podejmie jakąś decyzję. Tylko czegoż on może dokonać przez tych parę tygodni? Posłać Ruchełe list rozwodowy i zostawić jej cały majątek? Zabrać Cirełe do Argentyny i tam poszukać jakiegoś praktycznego rozwiązania? Jak to mówią? „Kto zgadnie, jaka mu kość jutro padnie”. Tymczasem radować się winien tym jasnym letnim dniem.

Ujął dłoń Cirełe; już mu jej nie wyrwała. Powiedział:

— Sam Bóg musiał mi ciebie zesłać.

Odprowadziwszy dziewczynę do domu, przysiągł sobie, że odtąd będzie miał przed sobą tylko jeden cel: uwolnić się od Ruchele i poślubić Cirele. Postanowił nie zachodzić więcej do Rejca Korek i nie spotykać się w szabas z rudą Bašką. Całował Cirele w restauracyjnym gabinecie i opowiedział jej co nieco o sobie, tyle, ile mógł. Ona zwierzyła mu się ze swych ideałów, wyznając, że nie jest wierząca, choć została wychowana w żydowskim zakonie. Czytała nawet broszurę o Darwinie; słyszała, jak pewien prelegent powiedział, że Mojżesz nie dokonał na górze Synaj żadnych cudów; orientowała się, kim byli Karol Marks, Kropotkin i Kautsky. Za nic jednakże nie wzięłyby do ust szynki ani nie zapaliła w szabas ognia, nie dlatego, iżby wierzyła, że zabronił tego Bóg, ale z przyzwyczajenia i szacunku dla rodziców. Miała własne plany. Nie myślała mieszkać po ślubie z rodzicami, ani nawet w ich pobliżu... Nie miała zamiaru golić ani ścinać włosów, nosić peruki czy chodzić do mykwy. Wierzyła w socjalizm. Rewolucja położy kres wyzyskowi, fanatyzmowi i wojnom. Jeśli miałyby mieć dzieci, wychowałyby je w postępowym duchu, posłałyby je do szkoły, żeby wyrosły na pożytecznych ludzi, a nie bigotów i pasożytów. Wyznała, że nie chciałyby zostać w Rosji, chyba że zaprowadzono by tu nowy ład i lud otrzymałby prawdziwą wolność. Co Maks na to, żeby przenieśli się do Berlina, Paryża, lub nawet do Londynu?

— Gdziekolwiek zechcesz, najdroższa — odrzekł — tam zamieszkamy. Choćby na księżycu... — i całował jej czoło, szyję i usta.

Jedyna rzecz, jakiej nie udało mu się na niej wymóc, to by wróciła z nim do hotelu.

— Straciłbyś dla mnie derech erac — oświadczyła.

Dawno już nie słyszał tego słowa, oznaczającego szacunek. Mieszkając za granicą, zapomniał, co ono znaczy. Przypomniało mu Raszków, zejde-bube i melameda Fiszele. Mimo całego oświecenia Cirele w jej sposobie wyrażania się było coś z języka jej ojca, rabiego. To, co mówiła o rewolucji, masach i proletariacie, przeplatało się z wersetami *Pięcioksięgu*. Zanuciła mu nawet piosenkę z żydowskiego teatrzyku, której zakończenie brzmiało: „Arystokratyczny swój porzuć rodowód i ludzką istotą się stań”.

W Łazienkach Maks znalazł restaurację, w której zamówił kartofle i zsiadłe mleko. Cirele nie chciała jeść kartofli, bo ugotowano je w niekoszernym garnku, wypila jednak kawę i skubnęła ciastko. Dwie godziny zleciały jak z bicza trzasnął. W drodze powrotnej „gumka”, dorożka na gumowych kołach, zatrzymała się przed sklepem z czekoladą i Maks kupił Cirele pudełko karmelków. Chciał jej dać banknot dziesięciorublowy, ale wzbraniała się go przyjąć.

— Po ślubie, jeśli Bóg pozwoli — powiedziała.

Przeszedł go dreszcz. Ta młodziutka dziewczyna go kochała, gotowa była zostać jego żoną. Tak, lecz to kradziona miłość, zbudowana na oszustwie i podłości.

Gdy się rozstali, bił się z myślami, co robić: iść czy nie iść na seans Szkolnikowa.

Wspomniał o nim Cirele. Słyszała o tym praktykarzu, powiedziała, że ludzie chodzą do niego, aby odkryć kradzież, odzyskać zgubione lub skradzione klejnoty bądź rozpoznać w czarnoksiężskim zwierciadle mężczyzn, co porzucili swe żony. Dodała, że o ile jej wiadomo, Szkolnikow nie wykazał jeszcze, iż potrafi to sprawić. Wszystko to przesady, fanatyzm, złudzenia. Co do zmarłych, gniją w swoich grobach i nie stawiają się na rozmowy z kimkolwiek.

Maks zgodził się z nią, że Szkolnikow naciąga zapewne frajerów na parę rubelków, ale nie miał dokąd pójść tego wieczoru. Nieważne, ile mężczyzna ma przyjaciółek, w jakie wplątuje się przygody — wieczory, jeśli nie ma żony, domu i dzieci, przychodzi mu często spędzać w samotności. Czemuż by sztuczki Szkolnikowa miały być gorsze od tych, jakie przedstawiają w teatrze albo w kabaretach? A poza tym telepatyczne przekazy, które ten czarodziej wysyłał Ruchełę, mogły w istocie osłabić jej magnetyzm, czy jak to się tam nazywa.

Gdy już był gotów, przywołał dorożkę i kazał się zawieźć na Długą. Dopóki ma się czym zająć — rzekł sobie — wszystko jest lepsze niż łazegowanie bez celu. Ponownie przejechał przez Żelazną Bramę, Przechodnią, przez plac Bankowy (bank był obecnie zamknięty i wartownik trzymał przed nim straż), Rymarską, Tłomackie, gdzie wznosiła się niemiecka synagoga z menorą i kopułą. Lata temu, gdy mieszkał w Warszawie, spróbował się raz wślizgnąć do tego schrytyanizowanego miejsca żydowskiego kultu, ale szemes w jedwabnym kapeluszu nie wpuścił go. Przeciągnął nawet Maksa pasem, kiedy ów próbował się przemknąć. Teraz odbywał się tam pewnie ślub. Elektryczne światła w menorze płonęły. Na placu przed bożnicą czekały powozy. „Ktoś nadal wierzy w uczciwość kobiet” — pomyślał złośliwie. Ale bo to mamy wybór, ha? Bez nich zawaliłby się świat.

U zbiegu Nalewek i Długiej zobaczył więzienie, zwane Arsenalem, o czarnych wrotach i okratowanych oknach. W środku migotało światelko. Latami prześladował Maksa sen, że zostanie zamknięty w tym właśnie więzieniu. Ktoś go zrobił, chodziło o jakieś fałszywe pieniądze, jakąś kobietę, morderstwo. W Argentynie, zbudziwszy się z takiego snu, pocieszał się zawsze myślą, że cokolwiek zamierza mu jeszcze wypłatać los, już nie odeślą go do Warszawy. A teraz sam tu wrócił. Gdyby powinęła mu się tutaj noga, sen mógłby się spełnić. Przypomniało mu się polskie przysłowie: „Co ma wisieć, nie utonie”.

Dorożka zatrzymała się przed domem Bernarda Szkolnikowa i Maks wysiadł. Wieczorem ulica sprawiała wrażenie jeszcze biedniejszej i posępniejszej niż z rana. Na schodach było ciemno. Wspinał się po stopniach, przyświecając sobie zapalkami. Zaleciała go woń smalcu i jeszcze czegoś, oleistego i zjelczałego. Zza drzwi dochodziły stłumione hałasy, łoskoty, szczekanie psów.

Należał wprawdzie do przestępczego światka, lecz nigdy nie przyzwyczyił się do gojów i ich sposobu życia. Lubił jeść — wnukowie Ezawa nieustannie się obżerają — ale nigdy nie

skosztował szynki. Utrzymywał zażyłe stosunki z szikse, lecz nigdy się w nich nie kochał. Nie umiałby nawet uczciwie rozmawiać z gojami. Wystrzegał się przemocy i, jakkolwiek dziwnym może się to wydawać, rozdawał jałmużnę ubogim. Na swój sposób szukał sprawiedliwości. Czuł potrzebę usprawiedliwienia za wszystkie swoje grzechy. Ilekroć zagrażało mu niebezpieczeństwo, natychmiast zaczynał modlić się do Boga.

Zapukał do drzwi Szkolnikowa, lecz nikt nie odpowiadał. Zapukał powtórnie, mocniej. Po chwili usłyszał kroki i drzwi się otworzyły. W półmroku korytarza stała jakaś dziewczyna, przypominająca sztukmistrzynię, z rodzaju tych, co toczą beczki podszwami stóp, połykają ogień, nagimi plecami kładą się na łożu z gwoździ, cwałują stojąc na koniu i tańczą z niedźwiedziem. Spowita była cała w czarny strój, świetnie leżący na jej figurze, kombinację złożoną z żakietu, spodni, skarpetek, a nawet butów. Włosy miała krótko ostrzyżone. Wśród leżących na jej twarzy cieni dojrzał parę czarnych oczu, jarzących się jak kocie ślepie swoim własnym blaskiem.

Zaniemówił.

— Czy pan... — jął bąkać — jak by tu rzec? Ten pan, co wywołuje zmarłych...?

— Pan Szkolnikow.

— Tak, Szkolnikow.

— Jak pańska godność? — zapytała po polsku dziewczyna.

— Maks — Maks Barabander.

— Pan pozwoli ze mną.

Stawiała bezgłośnie kroki, poruszając się bezszelestnie. Jakby się prześlizgiwała tym długim korytarzem. Po chwili wprowadziła Maksa do tego samego pokoju, w którym wcześniej przyjął go Szkolnikow. Zalegała tam niemal zupełna ciemność. W przyćmionym świetle dojrzał siedzące i stojące postacie, mężczyzn i kobiety. Zdjęły go strach i ciekawość. „Powinienem był wziąć ze sobą rewolwer” — pomyślał. Podeszedł do niego Szkolnikow, ubrany w długą czarną pelerynę, i ze słowami: „Oczekujemy pana” uściśnął mu dłoń.

— Nie ma jeszcze ósmej — usprawiedliwił się Maks.

Rozejrzał się, szukając dziewczyny, która otworzyła mu drzwi, lecz ta gdzieś zniknęła. „Całe to szacher-macher po to, żeby wycyganic od człowieka trzy ruble” — ostrzegł sam siebie. Banknot miał w pogotowiu w kieszonce kamizelki. Ktoś wskazał mu krzesło przy małym stoliku. Wszystko odbywało się w milczeniu i ospale. Zebrani poruszali się cicho, jakby nosili buty na gumowych podszwach, przekazując sobie nieme znaki. W powietrzu unosił się zapach kadzidła, które zapalono dla rozproszenia nieprzyjemnych woni. Choć nie był w stanie dosłyszeć, co ci ludzie szepcą między sobą, złowił uchem strzępki polskich słów. „Czy oni tu wywołują duchy gojów? — zażartował w myślach. — Nawet jeśli to możliwe, tata i mama tu się nie pojawiają”.

Jakaś kobieta zaczęła coś śpiewać po polsku, gardłowym, szorstkim głosem. Melodia przypominała Maksowi trudne do zrozumienia beczenie modlącego się kapłana. „Jeszcze mnie tu nawrócą na chrześcijaństwo” — pomyślał. Najpierw kobieta śpiewała samotnie, potem inni dołączyli do jej długich, przeciągłych tonów, lamentliwych jak w pieniach żałobnych. Maksem owładnęła z dawna zapomniana melancholia, taka jaka czasami opadała go w marach sennych. Natchniony śpiew opłakiwał coś, na co nie ma pociechy. „Taki śpiew faktycznie może wywołać z grobów umarłych” — pomyślał sobie. Czy mu się tylko zdawało, czy usłyszał imię „Arturo”? Intonowali chrześcijańskie *El mole rachamim*, „Zmiłuj się, Boże”, po jego zmarłym synu. „Skąd oni wiedzą o Arturze?” — zdumiał się, zapomniawszy, że sam opowiedział o nim Szkolnikowowi. Napiął się cały i stężał. Znowu przypomniało mu się słowo, które dawno już temu wyleciało mu z pamięci: klepsydra. Co to takiego „klepsydra”? Z jakiego to języka — z hiszpańskiego? Przyszedł tu z drwiącym nastawieniem, a teraz bliski był płaczu. Naraz zjawiała się ta dziewczyna, która otworzyła mu drzwi. Miała na sobie ten sam ubiór, z tą różnicą, że jej ramiona okrywał czarny szal. Usiadła przy stoliku, a wszyscy inni położyli palce na jego rancie. Jakaś kobieta ujęła dłonie Maksa i umieściła je na krawędzi blatu. „Lekko” — szepnęła do niego po polsku. Maks słyszał o ludziach, którzy zadawali pytania stolikom; w Raszkowie miało to nawet swoją nazwę — „tiszele”. Ojciec opowiadał mu o cudach, jakie potrafi czynić stół, jeśli spojony jest drewnianymi kołkami zamiast gwoździ. Rabi z Raszkowa ostrzegał, że zajmowanie się takimi rzeczami jest zakazane, gdyż to czary. A teraz Maks sam tego doświadcza. Śpiew umilkł i zaległa martwa cisza.

Nie mógł w to uwierzyć, ale stolik jął wibrować i kołysać się, jakby przestał być nieożywionym przedmiotem i zyskał życiodajną siłę. Czyżby go ktoś unosił? Wszystkie dłonie spoczywały na wierzchu blatu, nie pod spodem. Jakimże więc cudem ten stolik dygocze i chwieje się pod jego palcami? Od czasu do czasu unosił się, jakby gotów zerwać się do lotu. Jakiejż to czarnej magii się oddają? Zadawali stolikowi pytania, na które on odpowiadał: „tak” — jedno stuknięcie, dwa — „nie”. Skąd ten mały stoliczek może wiedzieć, czy mąż tej tłustej kobiety wróci z Ameryki? „Wszystko to omamy i złudzenia!” — stwierdził w duchu Maks. Następnie Szkolnikow zwrócił się doń z pytaniem, czy nie chciałby o coś zapytać.

— Czy Ruchełe się ze mną rozwiedzie?

Stolik odpowiedział: „Tak”.

— Czy Cirele zostanie moją żoną?

Stolik jakby zawahał się na chwilę, po czym zastukał dwa razy: „Nie”.

— Czy mój ojciec żyje?

— Nie.

— A moja matka?

Stoliczek w ogóle nie dał odpowiedzi.

Maks nie miał pojęcia, o co pytać dalej. Oboje jego rodzice umarli, jedno wnet po drugim. Czemuż by miał stolik odpowiadać na pytanie dotyczące ojca, a na pytanie o matkę — nie? Pozostali pośpieszyli ze swoimi pytaniami. Znużył się trzymaniem rąk na rancie blatu i odsunął się z krzesłem.

Gdy wyniesiono stolik, dziewczyna zaczęła przemawiać głosem, który zdawał się nie pozostawać w żadnym związku z jej szczupłą figurą. Niezwykły dźwięk, jaki z niej wyszedł, nie był ani głosem kobiety, ani mężczyzny, lecz mieszaniną obu. Przemawiała wyszukaną polszczyzną, którą Maks ledwie rozumiał. Mówiła o kimś, wywoływała jakieś dziwnie brzmiące imię, przekazywała posłania od umarłych. Przyzwane przez nią duchy dawały znaki, wspominały jakieś miejsca i daty, relacjonowały wszystko, co się im przytrafiło od momentu opuszczenia przez nie ziemi. W pewnej chwili zaszemrały szepty. Z ciemności wyłoniło się coś, co wyglądało jak rękawiczka bądź gipsowa dłoń. Ktoś postawił na podłodze miskę czy też garnek. Dłoń powoli przesunęła się w powietrzu, podpłynęła do garnka i zanurzyła się w nim, po czym wyłoniła się z powrotem i pozęglowała w przeciwnym kierunku. Maks był jak zauroczony. Czyja to ręka? W jaki sposób zawieszono ją w powietrzu? Wyteżył wzrok, nie zdołał jednak dostrzec niczego prócz tej dłoni. Słyszał szepty i stłumione westchnienia. Przed jego oczyma rozgrywało się coś cudownego. Czyżby śnił? Chciał zapytać jedną z siedzących obok postaci, co się tutaj dzieje, nim jednak zdołał wykrztusić słowo, ktoś trącił go w ramię, nakazując milczenie. Miały miejsce i inne dziwy. Wyłoniła się jakby znikąd mała trąbka i poczęła emitować dźwięk podobny do brzmienia baraniego rogu, na jedną nutę, zawodzącym tonem. Mimo ciemności zdawała się świecić swoim własnym blaskiem. Brzdąknęła mandolina.

Nagle jakiś głos zawołał: „Arturo jest tutaj! Pragnie z tobą mówić...”

Maks nie umiał sobie potem przypomnieć, jak się to wszystko odbyło. Jego twarz stała się naraz mokra, jakby ktoś oblał go letnią wodą. Ukazała się jakaś postać. Usłyszał głos. Arturo przemówił do niego po polsku, on zaś z podniecenia zapomniał, że językiem jego syna był hiszpański. Arturo mówił błagalnie:

„Tatku, tęsknię za tobą... Tatku, ja nie umarłem. Ja żyję. Jestem tu, obok ciebie... Wiem, przez co przeszedłeś, tatku. Spotkałem tu zejde-bube i razem modliliśmy się za ciebie. Pozostałem twoim oddanym synem... i tęsknię za tobą. Wciąż o tobie mówimy... Nie powinienes po mnie rozpaczać. Jestem szczęśliwy tu, gdzie przebywam. Mamusia wkrótce do nas dołączy, lecz ty masz jeszcze ważne zadania do spełnienia na planecie Ziemi. Pamiętaj, tatusiu, że jestem przy tobie. Rób wszystko, co ci powie pan Szkolnikow. My go kochamy. On kontaktuje nas z naszymi drogimi bliskimi. Wybacz, tatku, lecz muszę już iść. Ale wrócę. Mam dla ciebie pozdrowienia od całej naszej rodziny”.

Postać zniknęła. „To Arturo, Arturo! — rozkrzyczało się coś w Maksie. — Boże na niebie, rozmawiałem z moim synem. Gdyby tak Ruchełe o tym wiedziała!” Nie płakał na pogrzebie Artura, a teraz jego twarz była mokra od łez. Oczy piekły go i same wilgotniały.

Nie oceniał już chłodno tego, co się działo. Owładnęło nim jakieś upojenie. Stał, nogi miał jak z waty, zasnął. Gdy dotknął krzesła i usiadł, było to tak, jakby się zapadł w siedzenie. Opuściły go siły, a choć nie zemdłał, świadom był, że bliski jest omdlenia. Przed jego oczyma rozjarzyły się jakieś iskierki, to wznosząc się, to opadając. Miał wrażenie, że uszy zatkała mu głuchota. Docierały do niego słowa, lecz nie był w stanie uchwycić ich znaczenia. Zdawało mu się, że jego krzesło zapada się, jakby tonęło w gnojówce lub spadało w otchłań, a on wraz z nim. „Czy to już koniec?” — zapytał się w duchu.

Zapłonęło światelko, jakby jakaś moc usłyszała jego myśli i starała się go pocieszyć. Było czerwone, takie jakie zapala się czasem, aby zapobiec ślepotcie, gdy dziecko przechodzi odrę. Dojrzał kilka twarzy, wśród nich twarz tej dziewczyny, czarodziejki. Siedziała na krześle, odchyłona do tyłu, a dwaj mężczyźni trzymali ją za przeguby rąk. Znowu rozległy się mamroty i jęki. Duch lub ktokolwiek bądź, kto unosił się w ciemności, zanurzył dłoń w parafinie i zostawił ślad. Jedna z kobiet obniosła wokół ową miskę czy garnek, aby każdy mógł się przypatrzeć. Mogłaż to być dłoń Artura? Maks wyjął chusteczkę i otarł zlaną potem twarz. Jego koszula była mokra. Mężczyźni, którzy trzymali przeguby dziewczyny, teraz puścili jej ręce. Głowę miała odrzuconą do tyłu, oczy zamknięte, wyglądała jak człowiek pogrążony w głębokim śnie. Próbowali ją zbudzić, a ona krzyknęła przez sen, zajęczała, wzdrygnęła się.

Zimne krople potu spływały po plecach Maksa. Siedział tam mokry, osłabły, pusty w środku, oszołomiony własnym stanem. „Żeby tak Ruchełe tu była!” — zawołał w nim jakiś wewnętrzny głos. Zamierzał się z nią rozwieść, pragnąłby jednakże podzielić z nią radość, jakiej zaznał tego wieczoru. Widział Artura, słyszał jego głos. „Trzy ruble to za mało — zdecydował. — Dam mu dziesięć”. Wsunął rękę do kieszonki i zmacał wilgotny papier. Pot przesiąkł przez koszulę, a nawet przez podszewkę kamizelki. Usłyszał głos Szkolnikowa, usiłującego ocucić medium.

— Obudź się, Teresa, obudź się... Teresa!

Zadrzała po raz ostatni i obudziła się. Z jej czarnych oczu wycierał lęk. Któraś z kobiet objęła ją i pocałowała. Ktoś wniósł naftową lampę i filiżankę herbaty czy kawy. W kręgu światła Maks zobaczył mały stolik, garnek z parafiną i zgromadzonych ludzi. W ciemności zdawało mu się, że dom jest ich pełen, naliczył jednak tylko pięć kobiet i trzech mężczyzn. Czyżby reszta była widmami lub duchami zmarłych? Przyszedł tu sceptykiem, ale teraz jego wątpliwości rozwiały się. Był świadkiem cudu. Zmarli ukazali się żywym, mówili do nich. Widział postać Artura, usłyszał jego głos...

Przywołał Szkolnikowa do rogu pokoju i wręczył mu dziesięć rubli. Jasnowidz, nie

rzuciwszy nawet okiem na banknot, wsunął go do kieszeni. Maks chciał podejść do Teresy, lecz ta gdzieś zniknęła.

— Czy to pańska siostra? — zapytał, na co Szkolnikow bąknął:

— Tak, siostra.

— Czy mógłbym z nią mówić?

— Nie dzisiaj. Seans ją wyczerpuje. Jest bardziej umarła niż żywa.

Zebrani zaczęli się rozchodzić. Wychodzili jak ze świątyni, bez pożegnań, tak jak w Raszkowie po odmówieniu modlitwy *Kol Nidrej* w Jom Kippur rozchodzono się z bożnicy do domów. Maks zdał sobie sprawę, że zostali tylko oni dwaj, on i Szkolnikow. Stojąc przy zaciągniętym kotarą oknie, okryty długim płaszczem, drobny, ciemny, Szkolnikow mierzył go lodowatym spojrzeniem czarnych oczu na wpół przysłoniętych zmierzwionymi brwiami, podobny do czarownika. Maksa chwyciła trwoga. Uświadomił sobie, że będzie musiał zejść trzy piętra w dół po ciemnych, długich i krzywych schodach.

— Czy to był mój syn? — zapytał, a Szkolnikow skinął głową.

— Arturo mówił po hiszpańsku, nie po polsku.

— One mówią językiem medium. Posługują się jej narządami mowy.

— Czy to mi pomoże?

— Tak, za jakiś czas.

— Kiedy mam znowu przyjść?

— Jutro. Nie, w niedzielę.

— Jak się stąd wydostać?

— Pan pozwoli, sprowadzę pana na dół.

— Chciałbym zamienić kilka słów z pana siostrą.

— Nie dzisiaj.

Szkolnikow poprowadził go długim korytarzem. Stał w otwartych drzwiach, kiedy Maks powoli zstępował po schodach z niezdarnością człowieka, który wstawszy po długiej chorobie, zapomniał niemal, jak się chodzi. Kolana się pod nim uginały. Zdawało mu się, że stopnie są zbyt wysokie, zbytnio od siebie odległe. Wczepiał się w poręcz jak starzec. Na dworze owiał go zimny wiatr. Ulica Długa rozciągała się przed nim w półmroku, zionąc północną pustką. Ani tramwaju, ani dorożki; szedł samotnie pustym chodnikiem, odmieniony i wstrząśnięty, jak ktoś, kto wyszedł ze szpitala lub z więzienia, gdzie odsiadywał długoletni wyrok.

Zapomniał na chwilę, gdzie jest i co tu robi. Przystanął i przypomniało mu się. Aha, jest w Warszawie, mieszka w „Bristolu”. Wdał się w przygodę z Cirele, córką rabiego, i z Rejcl Korek, przyjaciółką Szmula Śmietany. Ale jak się stąd teraz dostać do hotelu? Zaczekał, aż ktoś nadejdzie, i spytał o drogę. Zagadnięty mężczyzna pokazał mu, jak iść. U zbiegu Koziej i

Podwala poczuł groźną atmosferę podejrzanego zaułka. „Ukatrupią mnie tu jeszcze!” — pomyślał. Rzadko stojące latarnie rozsiewały mdły blask. Z wiekowych kamienic dobiegały jakieś szmery i szelesty. Od Wisły ciągnęły zimne przeciągi. Znów się zatrzymał. Czemu Arturo, pogrzebany w Buenos Aires, miałby zjawić się przed nim w jakimś mieszkaniu w Warszawie? Kiedy się nauczył po polsku? To wszystko szwindel, szwindel. Zaczepiła go dziwka.

— Pójdziemy?

— Nie, mała. — I dał jej dziesięć groszy.

Na szabasowy posiłek rabi zaprosił go do swego domu, więc Maks nakupił rozmaitych przysmaków dla rodziny — koszerne wino, wędzonego łososa uznanego przez rabina za koszerne, butelkę słodkiego likieru, jaki kobiety lubią popijać po obiedzie, pudełko czekoladek dla Cirele (również uznanych za koszerne) oraz bukiet kwiatów. Przyjechał na dwie godziny przed zapaleniem świec. Na Krochmalnej przyglądano się ze zdumieniem, jak gramoli się z dorożki ze swoimi pakunkami i kwiatami. Gdy wspinał się po schodach, z wszystkich drzwi zalatywały go zapachy ryb, cebuli, pietruszki i świeżo wypieczonych drożdżowych ciasteczek. Gdy wszedł do mieszkania rabiego, przywitała go zdziwionym spojrzeniem potargana i zarumieniona rabinowa. Klasnąwszy w dłonie, zawołała:

— Cirele, chodź no, zobacz!

Cirele zajęta była obwiązywaniem czulentu, szabasowego obiadu, kawałkiem wstążki odprutej od jakiejś starej spódnicy. Na papierze, w który opakowany był garnek z czulentem, wypisała piórem numer domu i mieszkania.

— Spójrz, mame, czego to on nie naprzynosił! — wykrzyknęła.

— Doprawdy, nie potrzebujemy tego wszystkiego — protestowała rabinowa. — Na Purim, jeśli Bóg pozwoli, będzie pan mógł przysłać podarki.

— To jeszcze kawał czasu — stwierdził.

— Co to jest, koszerne łosoś? — spytała. — Kto dziś jada wędzonego łososa? I na co nam likier? U nas nikt nie pije. I kwiaty... Co my zrobimy z kwiatami?

— Wstawię je do wody, żeby nie zwiędły — powiedziała Cirele.

— To chrześcijański obyczaj. Żydzi nie trzymają kwiatów.

— To i kwiaty nie są koszerne?

— Nie, tylko że to wyrzucanie pieniędzy.

— Co to?! — zawołała Cirele. — Och, pudełko czekoladek! Spójrz na nie tylko! Musiało kosztować co najmniej dwa ruble!

— Cirele, to wyłącznie dla pani!

— Piękne dzięki, ale z pana też rozrzutnik!

Wyszła, by zająć się czulentem, który należało zaraz odnieść do piekarni. Maks zapytał o rabiego, ten jednak nie wrócił jeszcze z mykwy. Z kuchni dolatywał bukiet zapachów — ryby, rosółu z kurczaka, cymesu z marchwi i wina, które rabinowa zrobiła z rodzynek. Maks wszedł do sztibł, gdzie rano w dniu szabasu zgromadzenie odprawiało modły. Na stole stały świeczniki — dwa srebrne i cztery mosiężne — leżały dwie nakryte haftowanymi serwetkami chały, szabes-meser o trzonku z macicy perłowej oraz stała karafka i stary, wyszczerbiony kielich kiduszowy.

Wszystko było gotowe do szabasu.

Przechadzając się w tę i z powrotem po pokoju, Maks wyjął z biblioteki jakąś świętą księgę i wnet ją odstawił. Podeszedł do Świętej Arki, rozchylił zasłonę i odemknął drzwiczki. Jeden zwój Tory, okryty kasztanową sukienką, stał oparty o ściankę, nad nim zaś wisiały tarcze oraz jadim. Wewnątrz Arki pachniało mieszaniną woni cedratu, wosku i czegoś jeszcze, co nie miało nazwy.

Maks zdawał sobie doskonale sprawę, że nie powinien był otwierać Arki ani w ogóle dotykać świętego przybytku. Nie dalej jak wczoraj zbrukał ręce nieczystością, kładąc je na spirytystycznym stoliku, który czynił czary. Teraz czuł się dobrze, stojąc w otoczeniu pobożnych ksiąg. Jego dusza odświeżała się w tym tchnieniu świętości. „Jaki ten rabi szczęśliwy — pomyślał. — Droga przed nim prosta... Szczęśliwy jest na tym świecie i dostąpi rajy na tamtym”.

Wyszedł na balkon z uczuciem, że znalazł się u siebie. W każdym zakątku i zakamarku ulicy trwały przygotowania do szabatu. Piekarze nie roznosili rogali, lecz chałę, strucle i ciasteczka. Mężczyźni wracali z mykwy, o czym świadczyły ich zaczerwienione twarze, mokre brody i pejsy. Tu i ówdzie zamykano skrzydła sklepowych drzwi. Przez otwarte okna można było dostrzec mężczyzn lub kobiety zajętych osadzaniem świec w roztopionym wosku oraz dziewczęta niosące czulent do piekarni.

Przeniósł wzrok na kamienicę pod piętnastym i poznał Esterę, żonę piekarza; ich spotkanie skończyło się katastrofalnie. Siedziała na ławce przed bramą, ważąc na wadze olbrzymią plecioną chałę. Nad placykiem, rojącym się zazwyczaj od złodziei i kurew, unosił się nastrój przedszabasowego uciszenia.

Przemieszkując za granicą, Maks niemal zapomniał o szabacie. W soboty Ruchele i jej służąca nieodmiennie prasowały na patio pranie, gdy zaś kobiety zajęte były prasowaniem, Arturo i Maks grali w bilard. W Warszawie jednakże ściśle przestrzegano szabatu jako dnia świętego.

Usłyszawszy głos gospodarza, wyszedł, by go przywitać. Broda rabiego lśniła wilgocią. Wyjął właśnie z szafy atlasowy chałat i futrem obsyty kołpak. Skinął gościowi głową, wyglądał jednak na zbyt zajętego, by się z nim wdawać w rozmowę.

Wpadła rabinowa w zmierzwionej peruce.

— Boże złoty, gotowam dziś zbezczścić szabat.

— Do zachodu jeszcze pół godziny — uspokoił ją rabi.

— Oj, wej ys mir! Najwyższa pora zapalać świece!

Zawinęła się i wybiegła.

Maks, wraz z rabim, Icele i Mojszele, poszedł się pomodlić do bożnicy Neustadtera. Spod małej aksamitnej jarmułki Icele wymykały się dwa ogniście czerwone pejsy. Mojszele, sześćioletni brzdąc, miał jasne pejsy i wielkie niebieskie oczy. Obaj chłopcy nieśli małe modlitewniki. Od Maksa dostali w prezencie cukierki i orzechy. Orientowali się już, że ten

„elegant” ma zostać narzeczonym Cirele. Spoglądali na niego z zaciekawieniem, podejrzliwością i pełnym niepewności przywiązaniem.

W bożnicy Neustadtera płonęły już świece i gazowe lampy. Rojny tłum chasydów w atłasowych chałatach i obszytych futrem kołpakach na głowach recytował *Pieśń nad Pieśniami*. Ujrzawszy, że rabi przyprowadził z sobą modnego Żyda, zbliżyli się do Maksa, aby go powitać.

Pierwszym witającym był reb Gecl, mężczyzna o szczupłej twarzy, rzadkiej białej brodzie i białych nędzniętych pejsach, ubrany w długi atłasowy chałat oraz kapłańskie buty i pończochy.

— Skąd pan przybywasz? — zapytał.

Maks zaczął się z miejsca zacinać.

— Z Buenos Aires w Argentynie.

— Co to za kraj?

— Ameryka.

— Nowy Jork?

— Nie, z Buenos Aires do Nowego Jorku będzie tak samo daleko jak z Buenos Aires do Warszawy.

Mężczyźni wzruszyli ramionami.

Reb Gecl zapytał:

— Co pana tu sprowadza?

— Przyjechałem odwiedzić krewnych.

— Do rabiego?

— Moi krewni mieszkają w Raszkowie.

— Nu...

Zgromadzeni wrócili do *Pieśni nad Pieśniami*. Niebawem jeden z chasydów podszedł do pulpitu dla odmówienia modlitwy dziękczynnej.

Wszystko to zdawało się Maksowi nader niezwykle i nader znajome. Poznał melodię i słowa, chociaż nie rozumiał ich znaczenia: *Jordey hajam beanijos ojsej młochu bemajim rabim* (Ci, co w morze wypływają na okrętach, trudzą się na niezmiernych wodach)... *wajicaku el haszem becaar lohem umitszukasejem* (i wołali do Boga w trwodze, a On ich zbawił od trosk). Potem odmówili *Lechu nerannenu* (Śpiewajmy na chwałę Panu), a przewodnik modłów zaintonował *Lecho dojdi* (Pójdźmy, umiłowany mój, do narzeczonej). Gdy odmówili strofę *boj beszołem* (Chodźmy w pokoju), zwrócili się wszyscy ku zachodniej ścianie.

Po odprawieniu modłów mężczyźni podeszli do Maksa i życzyli mu dobrego szabatu. „Widzisz, nie jesteś tu obcy!” — zdumiał się w duchu. Przez wszystkie te lata czuł się wszędzie obco, czy to w hotelu, czy w domku letnim, w teatrze czy w kasynie. U siebie na Rosz-haszana i Jom Kippur kupował bilet do miejscowej synagogi, ale tam nikt go nie znał. Była to zimna,

niechasydzka synagoga, w której dzieci już po hiszpańsku darły się na siebie. Któregoś razu trafił w Buenos Aires do synagogi sefardyjskiej, gdzie ludzie rozmawiali żargonem hiszpańskim, i poczuł się nagle, jakby znalazł się w bożnicy w Raszkowie.

Tu, w Warszawie, Żydzi podchodzili do niego, aby go pozdrowić, wypytać, skąd jest, czym się zajmuje. Podszedł gabe i zapytał:

— Jak pan masz na imię?

— Maks. Rzec chciałem: Mordche.

— Jak się nazywał pański ojciec?

— Abraham Natan.

— Kto pan jesteś: Kohen, Lewi czy Izrael?

Maks milczał zmieszany. Dźwięczały mu w pamięci te słowa, zapomniał jednakże, co znaczą.

Gabaj pytał dalej:

— Czy pański ojciec udzielał kapłańskiego błogosławieństwa?

— Błogosławieństwa? Nie.

— Czy obmywał ręce kohanim?

— Obmywał ręce? Nie.

— W takim razie jesteś pan Izraelitą. Wywołamy pana jutro do odczytania *Tory*.

Maks zdołał wybąkać:

— Nie pamiętam błogosławieństwa.

— Ach tak? Rabi wskaże je panu w modlitewniku. — I gabe, odwróciwszy się odeń, wzruszył ramionami.

— Nie musisz się wstydzić, Mordche — pocieszył go ojciec Cirele. — Żyd zawsze może okazać skruchę. „Żałował i został uleczony”, jako rzekł prorok. Dlatego właśnie pozostawiono nam wybór, abyśmy mogli okazywać skruchę. Nawet na tamtym świecie dominuje skrucha.

— Argentyna to chrześcijański kraj.

— Bóg jest wszędzie.

Jakże inaczej wyglądało mieszkanie, kiedy Maks, rabi i jego synowie wrócili z bożnicy: paliły się świece, wysprzątane pokoje świeciły czystością. Rabinowa i Cirele przywdziały szabasowe stroje, matka szabasową perukę i długą, wzorzystą suknię, córka — białą bluzkę i wąską, czarną spódnicę.

Rabi odśpiewał *szolem-alejchem* i modlitwę *ejszes chail* (Zacna niewiasta). Wygłosił szabasowy kidusz i podał Maksowi trochę wina z rodzynek do upicia. Maks, podobnie jak pozostali, wypowiedział błogosławieństwo nad posypaną makiem chałą. Wszystkie potrawy — faszzerowana ryba, rosół z kurczaka z ryżem, mięso, cymes z marchwi — nęciły domowym

aromatem. Między daniami rabi śpiewał szabasowe pieśni, wtórowali mu zaś obaj chłopcy.

Matka i córka siedziały u szczytu stołu. Cirele wciąż popatrywała na Maksa. Czasami śmiała się, czasem poważniała, a raz i drugi puściła do niego oko i kiwnęła mu głową.

Rabinowa spoglądała na niego surowo, krytycznie i gniewnie. Rabi mówił mu już „ty”, lecz ona trwała przy oficjalnej formie. Odmówiwszy dziękczynienie, rabi jął wypytować Maksa o dalekie kraje. Czy w Buenos Aires jest rabin? Czy nosi brodę i pejsy? Nu, a w Londynie? A w Paryżu? Czy są tam bejs-hamidrasze, synagogi chasydzkie, jesziwot? Maks właściwie nie umiał odpowiedzieć na te pytania, pamiętał tylko, że w Nowym Jorku jest jesziwa.

Rabi musnął brodę.

— Rzekł rabi z Kocka: „*Tora się błąka...*”

— Czy w Buenos Aires jest mykwa? — spytała rabinowa.

— Ha, żeby to wiedział!

— W takim razie wszystkie dzieci są tam bękartami.

Rabi zamyślił się.

— Nawet syn zrodzony z kobiety, która nie była rytualnie czysta, nie jest bękartem. Zapewne mają tam mykwę. Gdziekolwiek są Żydzi, jest i mykwa.

— Tak, rabi, na pewno jest.

— Za skarby świata nie wyprawiłabym tam mojej córki — oświadczyła rabinowa.

— Wrócimy i zamieszkamy tutaj.

— Żydowska dziewczyna musi przestrzegać wszystkich zakonów rodzinnej czystości.

— Uczynimy tak, jak ona zechce. Pani córka jest dla mnie świętą.

Rabi zaproponował Maksowi, by przenocował w jego domu.

— Do „Bristolu” spory kawał drogi. Nie wiadomo, czy tobie wolno przenosić przedmioty. Druty wyznaczające Ejruw — w którego obrębie wolno w szabat przenosić przedmioty — są bardzo często zerwane.

— A co ja bym miał takiego przenosić?

— Będziesz musiał przynieść swój tałes.

Maks poczuł w ustach gorycz.

Rabinowa uśmiechnęła się drwiąco.

— On pewnie w ogóle nie ma tałesu.

Rabi wyglądał na przerażonego.

— Nie masz tałesu i tefilin?

— Pożyczają mi, gdy idę do bożnicy — wymigał się kłamstwem Maks, sam niepomiernie zdziwiony łatwością, z jaką się wywinął z pułapki.

Rabi odsunął od siebie kiduszowy kielich.

— Oto do czego dochodzi, kiedy się człowiek usuwa od żydostwa — rzekł na w pół do siebie, na w pół do Maksa. — Powiedziano: „Jeśli opuścisz *Torę* na jeden dzień, ona zostawi cię na dwa”. Cóż oprócz niej posiadamy? Bez *Tory*, nie dozwól tego Boże, wszyscy jesteśmy zgubieni. Jeśli, z pomocą bożą, zostaniesz moim zięciem, będziesz musiał stać się Żydem...

— Uczynię, co tylko zechcesz, rabi, choćbyś mi kazał w ogień skoczyć!

— Uchowaj Boże! Żydowi wolno poświęcić życie (oby nie dopuściło tego niebo) jedynie wówczas, gdy go zmuszają do udziału w bałwochwalstwie, morderstwie lub rozwiązłości. *Tora* jest *Torą* życia. *Gemara* mówi: „Będziesz żył wedle słów *Tory*, a nie umierał przez nie”. Człowiek żyć winien w zgodzie z owym przykazaniem. *Tora* jest krynicą życia.

— Tak, świętobliwy rabi.

— Nie pouczaj go tak, ojcze. To Żyd, nie goj! — wykrzyknęła Cirele.

Rabi popatrzył na córkę.

— Są rzeczy, o których zapominać nie wolno — rzekł.

W szabat, po czulencie, Maks pożegnał rabiego i ruszył w kierunku Ciepłej. Choć Cirele dawała mu do zrozumienia, że mogłaby wyskoczyć na parę godzin, powiedział jej, że musi się zobaczyć ze swoim krewnym. O trzeciej miał się spotkać z Basią, dziewczyną, z którą poznała go Rejcl.

Był kwadrans po drugiej, gdy wyszedł z domu rabiego. Ulica pachniała czulentem, kartoflanym kuglem i cebulą na tłuszczu. Wszyscy pobożni mężczyźni i nabożne kobiety ucinali sobie poobiednią drzemkę, tymczasem młodzieńcy w kusych ubraniach spacerowali pod rękę z „modnymi” dziewczętami. Przypomniało to Maksowi wigilię Rosz-haszana w Raszkowie, gdzie ludzie śpieszyli nad jezioro, by strząsnąć z siebie grzechy.

Eleganci w kapeluszach i garniturach jak spod igły, sztywnych kołnierzykach i gorsach, wyglansowanych butach i kolorowych krawatach mimo szabatu nosili laseczki. Co się tyczy kobiet, zapanowała nowa moda: suknie tak wąskie, że zmuszały do stawiania krótkich, drobnych kroczków. Choć było lato, niektóre strojnisię z Krochmalnej narzuciły na ramiona futrzane kołnierze. Damskie kapelusze przyozdobione były drewnianymi czereśniami, śliwkami, winogronami, a nawet strusimi piórami. Tu i ówdzie spostrzegł Maks panienkę, która wypuczyła sobie siedzenie i wypchała piersi małymi poduszczkami.

Sklepy zamknięte były na cztery spusty, przypomniał sobie jednak, że „czajnie”, małe herbaciarnie, są w szabas otwarte. Mogłeś tam dostać słodycze w cukierni i piwo w szynku — wszystko na kredyt. Ledwie zaś zostawiłeś za sobą Krochmalną, Gnojną oraz inne tego rodzaju ulice, gdzie „Kozacy Boga”, bractwo strzegące szabatu, mieli swoich szpiegów, mogłeś robić, co

ci się żywnie podoba. Niektóre pary szły do żydowskiego teatru, inne do iluzjonu, gdzie wyświetlano ruchome obrazki, lub do Ogrodu Saskiego.

Do trzeciej zostało mu jeszcze mnóstwo czasu, siedł więc wolno, przyglądając się przechodniom. Niektórzy spośród młodych ludzi mieli na głowach meloniki, inni słomkowe kapelusze. Z rzadka pojawiał się ktoś w szerokoskrzydłym pilśniowym kapeluszu, długowłosa, w pelerynie na ramionach, z fonfaziem zamiast krawata na szyi. Taką modą nosili się socjaliści, inteligencja, to jest ci, którzy czytali książki, chodzili na koncerty lub zebrania i wiedli dyskusje nad metodami poprawy ludzkości. Rozpoznawał też sutenerów i prostytutki: bardziej od innych wyelegantowane i w krzykliwszych kolorach. Obwieszane sztuczną biżuterią, ciągnąc za sobą duszne treny tanich perfum, śmiały się głośno i pogryzały pestki dyni. Na progach siedziały kobiety, niańcząc dzieci i plotkując.

Między Ciepłą i Krochmalną mieściły się wojskowe koszary, w których stacjonował Pułk Wolski. W lewo od Ciepłej, tam gdzie Maks miał się spotkać z Basią, znajdowały się koszary policji, strzeżone przez wartownika stojącego obok budki wartowniczej. Na rozległym dziedzińcu koszar wojskowych podoficer musztrował żołnierzy. Dzieci przystawały, żeby się przyglądać, a żołdat je odpędzał. Żołnierze uczyli się dziurawić słomianą kukłę. Biegli ku niej z nastawionymi bagnetami, przesywali słomiane bebechy.

Było już dziesięć po trzeciej, a Basia się nie zjawiała. Czyżby zapomniała, a może się rozmyśliła? Rozglądał się na wszystkie strony. Przyszło już do tego, że nie potrafił znieść chwili samotności. W szabat nie było nawet żydowskiej gazety do poczytania.

Piątkową przeczytał od deski do deski, nie pomijając nawet dowcipów i odcinkowej powieści, której nie znał początku. Jej akcja toczyła się w Petersburgu i obracała się wokół zawołowanej damy, barona-mordercy i młodej sierotki, która z prowincji przyjechała do wielkiego miasta. Maks zastanawiał się często, skąd ci pisarze czerpią materiał. Czy piszą o własnych przeżyciach, czy po prostu są tak pomysłowi? Intryga powieści zdążyła go wciągnąć. Z niecierpliwością oczekiwał kolejnego odcinka, by się dowiedzieć, kim była Olga i dlaczego zasłaniała twarz gęstymi welonami.

„No i wystawiła mnie ta kuchta — mruknął w duchu. — I co ja teraz zrobię? Mam iść oglądać ruchome obrazki? Wybrać się na samotną przejażdżkę do parku? — Jego zegarek wskazywał już dwadzieścia pięć po trzeciej. — Czekam jeszcze pięć minut!” — postanowił Maks. Dłużej niż pół godziny nie czeka się nawet na hrabinę Potocką, a cóż dopiero na kuchtę z Krochmalnej.

Przeklinając w duchu Baškę, wyobraził sobie, że jest generałem-gubernatorem Polski i każe wsadzić tę dziewczkę na kobiecy oddział Pawiaka. A czemu by jej nie powiesić? Niech się dowie, że z Maksa Barabandera nie wolno robić durnia. Najlepiej wróć do Cirefe. Jeżeli będzie siedziała

na balkonie, kiwnę na nią, żeby zeszła.

Pokręcił głową nad swoją sytuacją. Wszyscy inni ułożyli sobie jakoś życie i kogoś sobie znaleźli. On zaś, Maks, z całą tą furą bab, wciąż był sam jak palec. Jak to możliwe? To albo kłątwa, albo — jakże to nazwał Szkolnikow? — hipnotyzm. Ruchełe rzuciła na niego urok, nadając te swoje telepatyczne sygnały. Niewykluczone, że jeden z nich skierowała do Basi, zabraniając jej przyjść na spotkanie.

Pomyślawszy to, podniósł wzrok i zobaczył nadchodzącą od Krochmalnej Basię. Była ubrana w żółtą sukienkę, a na jej rudych włosach siedział ozdobiony kwiatkami kapelusz. Wyglądała ubogo, prowincjonalnie i czyniła wrażenie nieco zalęknionej. Podbiegł do niej.

— Baszele!

— Wciąż pan czeka? — wykrztusiła zdyszana. — Myślałam, że już pan sobie poszedł!

— Co tak późno?

Pokazała gestem, że musi zaczerpnąć tchu.

— Nigdy w szabas nie posyłali mnie po herbatę. Stary nie pija szabaśnej herbaty, bo mówi, że w szabas to lichy wie, w czym ją tam gotują. A dziś, patrzeć, zachciało mu się herbaty. Co miałam robić? Poleciałam do Szmula Mejłecha, u którego herbata jest ściśle koszerna. Zalutuję, a tam ludzi! Nim nagotowali wody, nimem wszystko podała na stół, nimem się ogarnęła, zrobiło się kwadrans po trzeciej. Tak pędziłam, że o mało sobie nogi nie złamałam. Nie jestem nawykła do wysokich obcasów. Co ten człowiek sobie o mnie pomyśli? — zastanawiałam się. Omal mnie szlag nie trafił. Bogu dziękować, że pan czekał. Tysiącrotnie przepraszam. Jak się jest u kogoś służącą, trza robić, co każą. Inaczej wymówią i nawet za robotę nie zapłacą.

— Rozumiem, rozumiem. Nie bierz sobie tego tak do serca. Jak będziesz robiła, co mówię, panią będziesz, a nie służącą u jakichś tam łachmytów.

— Stara zaczęła mnie wypytywać, a dokąd to się wybieram, a czego się tak wypindrzyłam. Sama to się obwiesza przeróżnymi tandetnymi świecidełkami, a mnie zawiści, jak sobie gębę obmyję.

— Zawiści tobie, boś ładna, a ona brzydka.

— A pan skąd wie? Pękata jak beczka. Na każde lato jeździ do Falenicy i wraca stamtąd o trzydzieści funtów grubsza. Tego lata wybierają się do Ciechocinka, ale to dopiero za trzy tygodnie.

— Ty zostaniesz w domu?

— A jakżeby? Pan myśli, że to mnie wezmą ze sobą?

— Zajdę do ciebie.

— Chodźmy na Grzybowską. Krochmalna nie lepsza od małego miasteczka. Tylko patrzeć, jak zaczną o nas gadać.

— Weźmiemy dorożkę.

— W szabas? Nie.

— Jeśli chcesz jechać do Argentyny, nie możesz być taka pobożna.

— To insza rzecz...

Dziwnie mu się zrobiło na myśl, że zależny był od takiej sziksy, uświadomił sobie jednak, że gdyby ona dzisiaj nie przysła, poczułby się zagubiony. Poprowadził ją na Grzybowską, potem na Królewską.

— Dokąd idziemy? — spytała.

— Nie jesteś to głodna?

— Głodna? Po czulencie?

— Może miałabyś ochotę na kawę?

— Kawę w szabas? Tylko com mięso jadła.

„Co to za jełopka?” — zdumiał się. Wybiera się do Argentyny, żeby zostać kurwą, a boi się zjeść mleczne po mięsie. Z pewnością nie kapuje, czego od niej chce Rejcl Korek. Mała koszerna ciemniaczka.

— Chodźmy do mnie — zaproponował. — Wszystko omówimy.

— A gdzie pan mieszka?

— W hotelu „Bristol”.

Zamilkła na dłuższą chwilę.

— Myśli pan, że mnie wpuszczą?

— Jeśli przyjdiesz ze mną, będziesz moim gościem.

— Co tam będziemy robić?

— Porozmawiamy jak dwoje przyjaciół.

— Niech będzie — zgodziła się po pewnym wahaniu.

Maks sam nie wiedział, po co zapraszał ją do hotelu. Nie gustował raczej w rudych kobietach, do tego jeszcze pieguskach, Nie miał jednak ochoty włóczyć się po parku czy wlec do teatru. Wziął ją pod rękę, a ona przytuliła się do niego.

Przed wejściem do „Bristolu” spłoszyła się i wczepiła w jego ramię. Powiódł ją schodami na górę i wprowadził do pokoju.

Rozglądała się wokół siebie, kręcąc głową.

— Pierwszy raz w życiu jestem w hotelu.

— Wielkie mi mecyje hotel! Pokoje jak pokoje. Tyle że drożej kosztuje. Zdejmij kapelusz, czuj się tu jak w domu.

— A bo to pies ma gdzie dom?

— Daj spokój, Basiu!

Zdjęła kapelusz, spod którego wysypały się jej rude włosy. Powypadały z nich spinki i Maks je pozbierał. Basia usiadła i stwierdziła:

— Niektórym to się powodzi na tym świecie. Jeden mój kuzyn wyjechał do Ameryki. Był czeladnikiem u szewca i płacili mu tyle co na wodę do krup. A tam został — jak to się mówi? — przedsiębiorcą. Jak przysłał fotografię, to rodzona matka jego nie poznała. Na głowie mu siedział cylinder jak komin. Jego żona mówi tylko po jamgielsku. Prawdziwy hrabia. Tu jego wołali Szmerł, a tam się przezwał Sam. Jak mój tatu czytał list, wszyscy w domu dawaj w bek, jakby to było Jom Kippur.

— Dlaczego beczeli?

— Z radości.

— Tak, to prawda. Życie tutaj to iłstna udreka. W Ameryce człowiek może się dorobić. Główna rzecz to nie być fanatykiem. Czemu byś miała nie jeść mlecznego po mięsie? Wszystko to bzdury.

— Tak mnie nauczyła mame.

— W żołądku wszystko się miesza — mięso, mleko, nawet kawałeczek szynki.

— Pan je szynkę?

— Nie, ale nie dlatego, że nie należy. Po prostu nie lubię. Zejdziemy później i napijemy się kawy. Jest tu taka jedna kawiarenka. Posiedzimy sobie tutaj do wpół do ósmej.

— Co też pan mówi? Muszę jeszcze przygotować hawdałowy posiłek.

— Nie mogą to się sami obsłużyć?

— Stara z miejsca by mnie wylała.

— Jak cię przegna, przyjdź do mnie. Będiesz ze mną podróżować, a ja się będę tobą opiekował. Podejź no!

Zbliżył się do niej i ujął ją za nadgarstki. Wzdrygnęła się, lecz nie wyrwała. Podniósł ją i pocałował w usta. Oszołomiona, wpatrywała się weń zielonymi oczami. Pocałował ją powtórnie, a ona oddała mu pocałunek. Objął ją i przycisnął do siebie jej piersi. Wymamrotała:

— Co też pan robi? Ktoś mógłby wejść.

— Nikt nie wejdzie.

Ogarnęło go pożądanie, próbował ją rozebrać, ale ona chwyciła go za rękę.

— Nie teraz.

— A kiedy?

— Wpierw musimy zostać przyjaciółmi.

— Powiedz no prawdę: miałaś już kogoś?

— Nikogo! Niech mnie tak Bóg skarże!

Wiedział, że już wkrótce będzie mógł zrobić z nią, co zechce. Spotkało go ostatnio tyle niepowodzeń z kobietami, że bał się kusić лихо. Żądza wzbierała w nim, by zaraz w następnej chwili ustąpić. Było to tak, jakby igrał z nim sobie jakiś wewnętrzny wróg, starając się wprawić go w zakłopotanie. Maks wpił się w usta Basi długim pocałunkiem, który odwzajemniła, gryząc jego wargi. Zapukano do drzwi, dziewczyna wyrwała się z jego objęć i zaczęła poprawiać włosy.

Otworzył. Pokojówka w białym fartuszk i czepeczku na głowie powiedziała:

— Jest pan proszony do telefonu.

Poznał głos Rejcl Korek.

— To ty, Maks? — spytała. — Nie spodziewałam się, że zastanę cię w hotelu, mimo to spróbowałam. Spotkałeś się z Basią?

— Tak, jest tu ze mną.

— Nu, mazel tow!

— To nie to, co myślisz.

— Więc co z nią robisz, recytujecie psalmy?

— Gawędzimy.

— Trzeba ją będzie strefnić, ale nie tak zaraz. Maks, Szmul wyjechał dziś rano do Łodzi.

— To on podróżuje w szabat?

— Lepiej jechać w szabat niż w środku tygodnia. Pociąg masz pusty.

— Rozumiem...

— Nie możesz jej tam za długo trzymać. Znam jej państwa. Jeśli nie dostaną swojej ryby i zsiadłego mleka na hawdałowy posiłek, pomyślą, że świat się kończy. Co porabiasz w szabasowy wieczór?

— Odmówię hawdałę i odśpiewam hamawdił.

— Wpadnij do mnie, to razem zaśpiewamy.

— Stoi.

— O której będziesz?

— O siódmej.

— Nie przychodź tylko z pełnym brzuchem. Kto do mnie przychodzi, ten musi zjeść.

— Schrupię twoje kosteczki.

— Zgoda, o ile potrafisz.

Odwiesił słuchawkę i wrócił do Basi. Bał się, że zostanie sam tego wieczoru, lecz jakiś demon miał go w swojej pieczy. Tyle że wszystko wydzielane mu było po troszku i utrzymywany był w niepewności.

Basia za pomocą grzebienia doprowadziła do porządku swoje rude włosy.

— Ten stary grzyb, u którego służę, też ma telefon — oznajmiła. — Rozdzwoni się czasem w

środku nocy i wszystkich nas pobudzi. Pan odbiera, a tu ktoś mówi: „Włoką ci się troki od kaleson”.

— Kawalarz, he?

— Ci żartownisie nikomu nie przepuszczą. Dzwonią do młodej żony i mówią, że jej mąż zabawia się z przeróżnymi gojkami, i tamci się biorą za łby. Albo powiedzą mężowi, że jego żona ma kochasia. Telefonują do rabinów, do generałów, kto im tylko przyjdzie do głowy. Moi państwo przestali odbierać telefon w środku nocy; czekają, aż sam się wydzwoni.

— A ja mógłbym do ciebie zatelefonować?

— Tak, jeśli państwa nie ma w domu. Raz ktoś do mnie zadzwonił z Opolą, to stary wziął wypytywać, a kto, a czego chce, i tak go długo maglował, aż tamten odwiesił słuchawkę.

— Pewnie jest o ciebie zazdrosny. Dobiera się?

— Tyle co w tyłek uszczyplnie. Na więcej mu nie pozwalam.

— I jest chasydem, hm?

— Co rano do synagogi lata. W szabas, jak zacznie wyśpiewywać hymny, ogłuchnąć można.

„Ten typek to kawał świni” — zawyrokował w duchu Maks. Wciąż czuł na wargach smak Basinych pocałunków. Choć już od tylu lat zadawał się z babami, po raz kolejny uświadomił sobie, że właściwie nie sposób rozgryźć kobiecych umysłów. Wszystkie kobiety były takie same, a przy tym całkiem różne. Kierowały się na pozór rozumem, lecz ich sposób myślenia stanowił zagadkę. Dlaczego ta się z nim na przykład całowała? Czy dlatego, że obiecał ją zabrać za granicę, czy dlatego, że się jej podobał? Słowa Rejcl Korek, że Basia musi zostać strefniona, byle nie za prędko, podnieciły go i przestraszyły. „Co ze mnie za deprawator? Sam jestem zdeprawowany”.

Bał się spotkania z Rejcl. Przedstawiła rzecz bez ogródek. „Szmul wyjechał...” W jej głosie pobrzmiwał złośliwy śmieszek.

— Nie chcesz się ze mną przespać — powiedział do Basi — chodźmy więc do restauracji.

— Nie mogę chodzić. Te obcasy mnie wykończą.

— Skoro tak, zjemy coś na miejscu.

— Broń Boże, nie jestem głodna.

— Więc co chcesz robić?

— Chciałabym tak siedzieć tutaj przez sto lat.

Roześmiał się.

— I nie przespałabyś się ze mną w nocy?

— Pewnie bym się i przespała.

— Opowiedz mi coś o sobie. Od kiedy zaczęłaś służyć?

— Och, jak miałam dziewięć lat. Z początku byłam służącą u jednego purycy w Wyszkowie,

reb Nosele Jawrower. On miał jeszcze drugą służącą, a ja byłam jej tylko do pomocy. Nie dawała mi zbliżyć się do kuchni, ale jak mleko wykypiało, zaraz było na mnie. Przeżywała mnie rudą jałówką, bo jestem ruda. Ludzie myślą, że mężczyźni są niedobrzy, ale kobieta, jak się trafi wredna, będzie gorsza od tysiąca chłopów. Miała kochasia, chłopaka od rzeźnika, to jak on przychodził do niej w szabas po czulencie, robiła się słodziutka jak miód. Na imię mu było Szłajme, ale ona wołała go Liame. „Liame, chodź tu, Liame, idź tam”. On się na mnie gapił i ciągnął mnie za warkocze. Ją cholera brała, szlag ją trafiał. Raz pan zgubił dziesięć rubli i ta powiedziała, że to ja wzięłam, wyzwała mnie od złodziejek. Moja babcia mówiła: „Pan Bóg nierychliwy, lecz karze surowo”. I ukarał ją, bo zabrali Liame do wojska. Bogaci to albo się okaleczą, albo posmarują doktora, ale chłopak od rzeźnika groszem nie śmierdzi. Szłajme był silny jak wół. Na przysiędze Rejce-Leja, bo tak ją wołali, biegła za nim i ryczała jak na pogrzebie. Aż się obejrzał i krzyknął: „Czego się mażesz? Jeszcze mnie nie ukatrupili!” Schodził miesiąc za miesiącem, a ona nie miała od niego listu. Codziennie latała na pocztę dowiadywać się, czy nic dla niej nie ma, a goje się z niej śmiali. Po pół roku przyszedł list, tylko że nie od niego, ale od kuzyna Rejce-Lei. Liame uciekł z wojska i wyjechał do Ameryki. Jak Rejce to usłyszała — list pan jej czytał — dawaj w bek i przestać nie mogła. Latała w tę i z powrotem, biła w ręce i krzyczała: „Liame, coś ty mnie wyrządził? Liame, czemu ty mnie wstydu narobiłeś?” Z początku dali jej płakać. Ale jak przeszedł jeden dzień, drugi, a ona w domu nawet palcem nie kiwnęła, pani ją wyrzuciła.

— I ty nastałaś na jej miejsce?

— Pani bała się mnie dopuścić do kuchni. Wymówili mi.

— Co się stało z tą Rejce-Leją?

— Przedtem była tłusta jak ta świnia. A po tym liście to tak opadła z ciała, jakby ją suchoty zjadały. Jam wyjechała do Warszawy, a jak przyjechałam na Pesach, ona już była w Ameryce.

— Odbiła Liame jego amerykańskiej żonie?

— Cwany pan jest! Skąd pan wie? Próbowała, ale się jej nie udało. W Ameryce, jak się ludzie pobiorą, to już szlus; tam kobiety są w uważaniu.

— I co się stało z Rejce?

— Co się z nią później stało, tego nie wiem. Ludzie wyjeżdżają i nie piszą. Moja mame mawiała: „Za wodą to już jak na drugim świecie”.

— I ty naprawdę wierzysz, że ją Bóg pokarał?

Zamilkła na dłuższą chwilę.

— A któż by, jeśli nie Bóg?

— Niewykлучzone, że Bóg siedzi sobie w siódmym niebie i tyle się troszczy o ten świat co o zeszłoroczny śnieg.

— Nie, to niemożliwe.

— Czemu by nie?

— Bo nie. Tam, gdzieśmy mieszkali, był jeden pobożny człowiek, reb Todrus, to on tak mówił: „Bóg jest naszym ojcem, a my jesteśmy Jego dziećmi. On przygląda się z nieba i widzi każdy drobiażdżek. Jak się komu wbije drzazga pod paznokieć, Bóg zaraz o tym wie”.

— A dlaczego pozwala, żeby się drzazga wbijała pod paznokieć?

— Za grzechy.

— Dlaczego Stołypin jest ministrem, a twój ojciec biednym nauczycielem?

— A kto to taki ten Stołypin? Opychają się na tym świecie, a na tamtym wsadzają ich do piekła. Muszą tam leżeć na łożu z gwoździ.

— W takim razie i ty zostaniesz ukarana, boś całowała się ze mną.

— Co? Tak, to możliwe.

— A jednak się całowałaś. Jeśli pojedziesz ze mną do Argentyny, nie będziesz tam rabinową, z góry cię uprzedzam.

— Tak, wiem.

— I mimo to chcesz jechać?

— Dłużej ja tu nie wytrzymam. Lata lecą i człowiek się starzeje. Bez posagu dziewczyna nie dostanie męża. Ta stara toczy mnie jak czerw i człowiek nie ma się do czego budzić. Wciąż tylko zmywanie garów, rozpalanie ognia, obieranie kartofli. Świątek-piątek haruję jak koń. Przyjdzie szabas, usiądę przy oknie i gapię się na kubel ze śmieciami.

— Wolisz wylądować w piekle niż prowadzić takie życie?

— Do piekła daleka droga...

— W książkach piszą, że piekła nie ma.

— O? To byłoby naprawdę fajnie...

— No, chodź już. Idziemy.

Podniósł się. Basia również wstała. Wziął ją za ramiona, pochylił się i pocałował. Opuściły go wszystkie lęki. Całował coraz gwałtowniej i natarczywiej, ciągnąc ją w stronę łóżka. Wrywała mu się.

— Niech pan da spokój. Jestem porządną dziewczyną!

— Za długo już byłaś porządna!

Rzucił ją na łóżko. Twarz Basi stanęła w ogniach. Jej oczy nabrały zielonego blasku. Mieszanina gniewu i miłości odbiła się w jej rysach. Walczyła z nim z niezwykłą siłą, chwytając go za ręce. Wśród tych zapasów potrafiła jednak zdobyć się na uśmiech.

— Proszę! Litości. Nie dzisiaj!

— A kiedy?

— Innym razem — dyszała.

Spróbował wziąć ją gwałtem, rozdzierając jej sukienkę.

— Drze mi pan sukienkę! — syknęła.

Jej paznokcie rozorały mu twarz. Drapała niczym kotka, bez złości czy nienawiści. Poczł ciepło krwi. Puścił ją, a ona zerwała się na nogi z szybkością i zwinnością, które go zdumiały.

— Och, mame, krew! — zawołała.

I zaczęła go całować, obejmować, lizać. Podbiegła do umywalki, namoczyła chusteczkę i przycisnęła mu ją do twarzy. Wylał się.

— Ty dziki zwierzaku! — krzyknął. — Więc kiedy?

— Innym razem — odpowiedziała. — Nie w biały dzień.

I wybuchnęła płaczem. Jej twarz zmieniła się w ułamku chwili, ujawniając mieszaninę strachu, oddania i żalu. Pochylała się nad nim jak matka, która złajała dziecko. Znów podskoczyła do kranu, żeby namoczyć chusteczkę.

— Nie ma pan trochę jodyny? — zapytała. Po czym zaniósła się przeszywającym krzykiem jak mała dziewczynka, której wyrządzono jakąś straszną krzywdę. Wczepiła się weń, szlochała na jego piersi, całowała koszulę, łasiła się. Podszedł do lustra, Basia powlokła się za nim. Zobaczył dwa zadrapania: jedno na czole, drugie na lewym policzku.

„Jak ja się teraz pokażę Rejeł Korek? — pomyślał. — Co powiem, gdy stanę przed Cirele? Tygodnia trzeba, żeby się to zagoiło”.

Był zły na tę prowincjonalną gąskę, która się mu oparła. Obudziła jednak jego pożądanie i wciąż jej pragnął. Złapał ją za włosy.

— Teraz albo nigdy!

— Tatele, nie w biały dzień... Nie mogę, nie mogę! I osunęła się na kolana jak heroina w żydowskim teatrze. Objęła jego łydki, całowała spodnie, mankiety. Podniósł ją za włosy i za ramię.

— Opuszczę zasłony.

— Litości, nie! — zaskamlała.

— No, uparciuchu, dość tego!

Pchnął ją i szarpnął. Poleciała plecami na łóżko, zdołała jednak utrzymać się na nogach. Jej włosy, dopiero co uczesane, znów rozsypały się w nieładzie. Twarz miała spuchniętą i jakby obrzmiałą. Porwał ją atak kaszlu, rozsłochała się, dygotała, wyrzucając z siebie w kółko, niczym dziecko w buntowniczym bełkocie, jakieś słowo, którego nie rozumiał.

„No, guzik z tego będzie” — ocenił w duchu. Podszedł do umywalki i przyłożył do twarzy prowizoryczny kompres. Poczłwszy ból, mruknął:

— Cipa jedna, kocmołuch z Koziej Wólki, wyszkowska pizda... — Cisnęły mu się na język

słowa, które dawno wyleciały mu z pamięci. Wciąż czuł w sobie siłę i żądzę podboju, ale mały zakąteczek w jego głowie, do którego należało ostatnie słowo, zdecydował: „nie”. Zaczęłyby się wydzierać, zleciałaby się hotelowa służba. Nie po to wracał do Warszawy, by gnić w kryminale.

Odjął chusteczkę ze śladami krwi, zmoczył pod kranem, wyżał i przytknął do twarzy. Obejrzał się za siebie, spoglądając jednym, nie zakrytym okiem.

Basia wpatrywała się weń z trwogą, błaganiem i ciekawością. Jej wargi poruszały się bezgłośnie. Teraz dopiero zdał sobie sprawę z tego, co uczynił. Rozdarł jej sukienkę od szyi aż po pierś. Wyglądał rąbek halki.

„Jak ona tak pójdzie do domu? — zastanowił się. — Może dałoby się zdobyć dla niej inną sukienkę?” Naraz uderzyła go myśl, że mógłby od razu zabrać ją z sobą, tak jak stoi.

— Chcesz jechać ze mną do Ameryki? W tej zaraz chwili?

Twarz Basi rozjaśniła się.

— Do Ameryki? W szabas?

— Do Ameryki możesz jechać nawet i w Jom Kippur.

— Pan śmieje się ze mnie. Śmieje się pan!

— Podarłem ci ubranie. Jak teraz pójdziesz do domu w podartej sukience?

— Zepnę ją.

Podeszła do krzesła, na którym leżała jej torebka, i wygrzebała z niej parę agrafek.

— Nie wolno robić czegoś takiego w szabas — mruknęła — ale...

Stał i patrzył, jak spina sukienkę.

— Zaraz po szabasię kupię ci nową albo dam pieniądze, żebyś sama sobie kupiła albo kazała uszyć.

— Nie potrzebuję sobie kupować sukienki. Tak tę wyreperuję, że się nikt nie pozna.

— Kupię ci nową. Kiedy się znów zobaczymy?

— Wychodne mam tylko raz na dwa tygodnie.

— Kiedy to będzie?

— W tę środę.

Umówił się z nią na spotkanie. Pomógł jej włożyć kapelusz. Potem zaczął ją znowu całować, a ona oddawała mu pocałunki. Krzyknęła coś, nie zrozumiał co. Twarz jej płonęła, jemu zwilgotniały policzki. Przycisnął ją do piersi i ponownie wezbrała w nim żądza i pewność własnej potencji. Wydyszał:

— Teraz już musisz być moja.

Basia nie chciała jechać w szabat dorożką, chodzenie sprawiało jej jednak trudność.

Uczepiona ramienia Maksa, drobna kroczi, skarżąc się:

— Nie mogę tak do nich wracać. Och, spójrz tylko, jak ja wyglądam.

— Jeśli chcesz, wynajmę ci pokój w hotelu i nie będziesz musiała oglądać ich więcej na oczy — zaproponował.

— W jakim znów hotelu? O czym ty mówisz? Mam tam wszystkie swoje klamoty. Winni mi są za służbę. A zresztą: co ja bym robiła w hotelu? Nawykłam do roboty.

— Zdążysz się jeszcze narobić, spokojna głowa. Wszystko się dobrze ułoży. Pamiętaj, od tej pory jesteś w moich rękach. Będziesz robiła, co każę.

— Kiedy wracasz do tego swojego kraju w Ameryce?

— Może za parę tygodni. Może za parę miesięcy.

— Nu, tak już widać było sądzone. Całą noc o tobie marzyłam, przewracałam się na łóżku jak ten wąż. W szabas nie potrzebuję się wcześniej zrywać, a już przed szóstą byłam na nogach... Bałam się, że nie spodoba ci się mój kapelusz i reszta. Czyś ty na mnie urok jaki rzucił, czy co?

— Jaki znów urok?

— Co się ze mną stanie? Babka ostrzegała mnie od dziecka: „Ty się pilnuj mężczyzn. Mężczyzna może ci być najlepszym przyjacielem, ale to twój wróg”. To jej słowa.

— Wierz mi, nie masz lepszego niż ja przyjaciela.

— Bo i kogo? Mame nie żyje. Tatu — oby tak zdrow był — to zamknięty człowiek. Trudno z niego słowo wyciągnąć. Przyjadę do domu na święta, pyta: „Jak się masz?”, a nim jeszcze zdążę odpowiedzieć, już wraca do *Gemary*. Ja sroce spod ogona nie wypadłam. Mój dziadek, reb Mordchele, studiował *Gemare* wielką jak stół.

— On też był belfrem w chederze?

— Uczył chłopców w wieku do żeniaczki.

Maks miał być u Rejchl Korek o siódmej, a tymczasem zegar na ratuszu wskazywał już za dwadzieścia ósmą. Basia wlokła się coraz wolniej. Twarz miała bladą. Wieszala się na jego ramieniu drżąc, przystając co kilka kroków. Ponawiał propozycję wzięcia dorożki, a ona powtarzała za każdym razem, że nie chce jeździć dorożką w szabas.

— I bez tego popełniłam już dość grzechów.

Resztę drogi, aż do Gnojnej, przebyli w milczeniu. W głowie Maksa tłoczyły się myśli. Czy to możliwe, by Szkolnikow mu pomógł? Czy to możliwe, żeby telepatyczne przekazy, jakie nadawał do Ruchele, usunęły klątwę? Przez dwa lata męczył się, wydał majątek na lekarzy, lekarstwa, kąpiele — i nic nie pomogło. Aż tu zjawiała się ta rudowłosa służąca i uzdrowiła go. Czy był teraz szczęśliwy?

Czasem myślał, że gdyby się tylko uwolnił od swej przypadłości, byłby najszczęśliwszym z ludzi, i oto włókł się ulicami Warszawy, ze spokojem w duszy, samotny i zamyślony. Przyglądał

się zamkniętym w szabat sklepom, przechadzającym się parom, Żydom w atlasowych chałatach, aksamitnych jarmułkach i obszytych futrem kołpakach, zdążającym najpewniej na modły do chasydzkich bożnic, oraz szajgecom z kręconymi pejsami, w sakłech — sześciokątnych czapkach — którzy spieszyli za nimi. Słońce żarzyło się zwiastującą noc czerwieńią. Na progach siedziały stare kobiety z długimi kolczykami w uszach, w czepcach na głowach, ubrane w staromodne stroje.

Było tak, jakby Maks próbował wsłuchać się w samego siebie. Oświadczył się z miłością i Cirele, i Basi, ale czy naprawdę był zakochany? Czy można kochać jednocześnie dwie kobiety? Cirele zdawała mu się teraz daleka; Basia drażniła go swoim milczeniem i powolnym krokiem. Uczepiła się go jak żona. Już zaczynała pokazywać humory. Zerknął na nią z ukosa. Jest po prostu równie nieszczęśliwa i zagubiona jak on. Oczy trzymała spuszczone, kuśtykała na swoich wysokich obcasach, musiał ją prawie ciągnąć.

Zdawał sobie doskonale sprawę, że nie ma najmniejszego powodu martwić się spóźnieniem do Rejcl Korek. Cóż znaczy spóźnienie wobec tego, co mu się właśnie zdarzyło? Na co mu zresztą potrzebna Rejcl? Przyjechał do Warszawy, by szukać lekarstwa na nerwy, a nie — by zostać handlarzem żywym towarem. Taką już miał jednak naturę, że nie mógł znieść, by ktoś na niego czekał. Z pewnością przygotowała kolację, siedzi tam teraz i czeka.

U wylotu Gnojnej Basia powiedziała:

— Dalej już sama pójdę. Tego by mi jeszcze brakowało, żeby mnie z tobą widzieli.

— Jak sobie życzysz. Spotkamy się w środę naprzeciwko Arsenalu, możesz przynieść swoje manele i do starych już nigdy nie wracać.

— I dokąd byś to mnie w tę środę zabrał? Nie, będę dalej służyła, póki nie wyjedziemy do Ameryki.

— Niech i tak będzie.

— Gdzie teraz idziesz?

Omal nie powiedział: „Do Rejcl Korek”, uświadomił sobie jednak, że nie byłoby to rozsądne. Taka dziewczyna jak Basia mogłaby już być zazdrosna.

— Wrócę do hotelu.

— Nie zjesz hawdałowego posiłku?

— Coś tam przekąszę.

— Stara zmyje mi na pewno głowę. Wystarczy, że spóźnię się o minutkę, a już by mnie gotowa żywcem pożreć.

— Niech idzie do diabła. Będiesz odtąd większą panią niż ona.

Basia zmarszczyła czoło; usta wygięła w podkówkę.

— Myślisz, że pozna?

— Nikt nic nie pozna.

— Nu, dobrego szabasu! Nie przypuszczałam, że tak to wyjdzie... Bóg mi świadkiem.

Pocałował ją w policzek. Zganiła go spojrzeniem i skreśliła w Krochmalną. Maks ruszył wyciągniętym krokiem, żeby zdążyć pod dwudziesty trzeci przed nią. Właściwie biegł. Przeleciał Gnojną, wpadł na Grzybowską i skreślił w Ciepłą. Musi przybyć pod dwudziesty trzeci przed Basią. Spotkanie z nią na podwórku zepsułoby wszystko. Znalazłszy się na Krochmalnej, pobiegł spojrzeniem w stronę, skąd Basia powinna nadejść, lecz nie dostrzegł jej.

Ściemniało się już. Na jego zegarku dochodziła dziewiąta. Wspiąwszy się na schody prowadzące do mieszkania Rejcl Korek, Maks przystanął dla złapania tchu. Otarł spoconą twarz. Naszła go myśl, że całe jego życie było pasmem szwindli i kradzieży. Jako chłopiec okradał rodziców, a bywało, że i obcych. Później został zawodowym złodziejem. Potem zaczął wykradać miłość, lub jak tam inaczej to nazwać. Stale musiał przemykać bocznymi zaułkami, szukać wymówek, obmyślać wykręty, zwodzić kobiety. Nie mógł wprost przejść ulicą, by nie bać się, że wpadnie na kogoś, z kim nie powinien być widziany.

Przechytrzenie takiej cwaniary jak Ruchełe nie było wcale takie proste. Znała go na wylot, orientowała się w jego machlojkach. Póki nie zbywało jej na młodości i urodzie, nie potrzebował zadawać się z innymi. Nie potrafił się jednakże obejść bez intryg i kłamstw. Ciągnęły się za nim resztki dawnych przygód miłosnych, z których trudno mu się było wyplątać. Ruchełe była jego współniczką w interesach, prowadził jednak i takie, o których nic nie wiedziała: miał sekretne konta w banku, o których nie miała pojęcia. A teraz, po tygodniu ledwie pobytu w Warszawie, tak się zaplątał, że już nigdy się nie wykaraska. „Ano, taki już jestem, oto macie Maksa Barabandera!”

Zapukał do drzwi. Rejcl otworzyła mu ze słowami:

— Myślałam już, że nie przyjdiesz. Wejdz.

Wprowadziła go do środkowego pokoju, gdzie stał zastawiony dla dwojga stół. Najwidoczniej gotowała w szabat, zaleciały bowiem Maksa zapachy kotletów, szczawiowego barszczu i młodych ziemniaczków. Nie zapaliła jeszcze światła, lecz zachodzące słońce kładło na ścianę purpurowe cienie. Rejcl badała przez chwilę Maksa swymi czarnymi oczami, po czym zawyrokowała:

— Więc jednak się do niej dobrałeś.

— Z czego to wnioskujesz?

— Podrapała ci czoło i spóźniłeś się o dwie godziny.

Zmilczał, a ona widocznie się nad czymś zamyśliła. Po chwili powiedziała:

— Niedobrze, że na siłę.

— Nie zgwałciłem jej.

— Siadaj. Nie zapalam gazowych lamp, bo jakby ta plotkara z naprzeciówka zobaczyła, że palę w szabas lampy, przyleciałaby tu przez ulicę i narobiła rabanu. Już niedługo będziemy je mogli zapalić.

— Jeśli o mnie chodzi, możemy siedzieć po ciemku.

— Głodny jesteś? Gdzie Baśka?

— Poszła do domu.

— Nie musiałeś się tak śpieszyć — powiedziała pojednawczo. — Nie uciekłaby ci.

Nie odpowiedział i Rejcl wyszła do kuchni. Usiadł na kanapie i poczuł, że ogarnia go zmęczenie. Wyciągnął się, przekonany, że Rejcl zaraz wróci. Lecz czas płynął, a ona się nie zjawiała. Purpurowe cienie pogasły i pokój pograżył się w ciemności. Maks zamknął oczy i zasnął.

Śniło mu się, że siedzi w więzieniu. Tylko gdzie, w Buenos Aires czy w Warszawie? Byli tam i inni więźniowie, miał więc nadzieję wywnioskować z ich rozmów, po polsku lub po hiszpańsku, gdzie się znajduje. Lecz oni pozostawali niemi, trwając w tajemniczym milczeniu. Nagle zjawiała się jakaś starucha, niosąc sznur z pętlą. „Czy to kat?” — zaciekawił się. Jak kobieta może być katem? Starucha mrugnęła do niego i zaczęła wachlować się sznurem. Więźniowie przypatrywali mu się z kamiennymi twarzami. „To koniec” — pomyślał. Zaczął odmawiać modlitwę „Słuchaj, Izraelu” i obudził się.

Płoneły lampy, Rejcl wniosła dwa talerze ze szczawiowym barszczem.

— Więc aż tak cię wymęczyła? — zapytała.

„Co to znów za sen?” — zastanawiał się w duchu. Słów Rejcl prawie nie słyszał, nie w pełni uchwycił ich znaczenie. Wskazała mu krzesło u szczytu stołu, na którym ostatnio siedział Szmul Śmietana. Maks wstał, czując, jak uginają się pod nim kolana. „Czy jestem już tak stary i wypruty?” — pomyślał. Usiadł na miejscu Szmula i zaczął siorbać barszcz. Nic nie jadł od pierwszej i naraz uzmysłowił sobie, jak bardzo zgłodniał. Pochłaniał młode kartofle z topionym masłem i siekaną natką pietruszki i z każdym kęsem odzyskiwał siły. Rejcl przeżuwała, świdrując go czarnymi oczami.

— Chciałam, żebyś przyszedł do mnie świeży — odezwała się — a nie taki wypompowany.

— Amerykanie mawiają: „Najpierw biznes, potem przyjemność” — odrzekł.

— Och? Nie wiedziałam, żeś taki gorliwy biznesmen.

— A co, nie chcesz swojego procentu?

Wydawała się zbita z pantafelku i Maks pojął, że jest od niej silniejszy, pewniejszy siebie. Ona to również zrozumiała i trochę się go przestraszyła. Jeszcze raz zdobył przewagę nad płcią piękną.

„Prędzej świnia dojrzy własny ogon, niż ty zbijesz forszę na tym parszywym geszefcie —

mruknął w duchu. — Uda ci się tylko przyprawić rogi Szmulowi Śmietanie”.

Dojadł kartofle, przełknął ostatnią łyżkę barszczu i Rejcl zebrała ze stołu.

— A gdzie twoja służąca? — zapytał.

— Wysłałam ją, żeby odwiedziła matkę na Pelcowiźnie. Nie wróci przed poniedziałkiem rano.

— Dobrześ się przygotowała.

— Wszystko trzeba planować.

Już w drzwiach na korytarz prowadzący do kuchni odwróciła się i powiedziała:

— Nie powinienes był zaczynać z córką rabiego.

Nie od razu odpowiedział.

— Nie twoja sprawa.

— Skoro masz żonę w Buenos Aires, nie masz co odstawiać absztyfikanta.

Wyszła do kuchni, stukając obcasami po deskach podłogi. Dla niego zaś w jednej chwili stało się jasne, że to ona trzyma wodze, nie on. Mogłaby nawet donieść na niego na policję. Mogłaby napuścić na niego tych zabijaków z placu. Z drugiej zaś strony, gdyby Szmul Śmietana dowiedział się, że go zdradziła, mógłby ją zakatrupić.

„No cóż, to gra jak każda inna” — pocieszył się. Nie bał się, uświadomił sobie jednak, że ryzykuje życie. A co, gdyby Szmul Śmietana dowiedział się, że nocował tu dzisiejszej nocy? Przypomniał mu się sen o więźniach, starusze i sznurze.

„Gdziekolwiek bym szedł, muszę brać z sobą rewolwer” — postanowił.

Po paru godzinach było już po wszystkim — po wyśmienitej kolacji, pocałunkach i pieszczotach przed pójściem do łóżka, rozważaniach, jak ma dostarczyć Basię siostrze Rejcl, *Señorze* Szajewski. Nawrót dawnej męskości po dwóch latach impotencji co prawda cieszył Maksa, skończyło się jednak na tym, że odwrócił się twarzą do ściany. Rejcl coś tam jeszcze mamrotała, po czym parsknęła krótko. „Człowiek może przez lata chodzić głodny — stwierdził w duchu — ale wystarczy, że wrąbie jeden obfity posiłek, i już syty”. Zasnął i obudził się po półtorej godziny. Nie od razu zmiarkował, gdzie się znajduje. Zmacał kobiece ciało i spytał sam siebie: „Gdzie ja jestem? Czy to Ruchełe? Nie, to nie jest Ruchełe. Czy jestem w Londynie? W Berlinie?” Po chwili przypomniał sobie wszystko: znajdował się w Warszawie, w mieszkaniu Szmula Śmietany, a jego dolegliwość, dziękować Bogu, należała już do przeszłości.

Znów poczuł się tak, jakby zajrzał w głąb własnego wnętrza i znowu nie znalazł tam wyraźnej odpowiedzi.

„Wariat, wariat” — mruknął. Ta Rejcl Korek to bez dwóch zdań ognista kobitka, lecz on nie

miał zamiaru brać sobie do domu takiej osóbkę. Im dłużej nad tym myślał, tym jaśniej widział, że jedyną przyczyną, dla której wdał się w te wszystkie awantury, była jego impotencja. Nie mógłby się rozwieść z Ruchełę, nie rzuciłby też interesu, aby zostać obieżyświatem. Zdążył już ponadto przepuścić połowę zabranej gotówki i zostało mu tylko jedno — wracać do Argentyny. Uwolniony wreszcie od czarów, jakie nań rzucono, znajdzie tam sobie pod dostatkiem kobiet. Skrzywdził Cirele i Basię, lecz będzie lepiej dla nich obu, jeśli się usunie, zanim i je wciągnie w błoto. „Jutro rano wyjeżdżam z Warszawy” — postanowił. Miał tylko jedno zmartwienie. Rejcl Korek doniesie najpewniej o wszystkim swojej siostrze, a ta go oczerni w Argentynie. Dlaczegoż jednak miałby się jej bać, a zresztą: co ona mu może zrobić?

Dręczony niepokojem, Maks żył w stanie ciągłej ekscytacji. Teraz otrzeźwiał. Obrócił się twarzą do ściany i przez szparki zmrużonych oczu zobaczył, że bieleje już świt. Od czasu do czasu zanosił się świergotem jakiś ptak i znów ucichał. Maks zapadł w drzemkę. Nim zasnął, zapytał sam siebie: „Czy powinienem jechać do Raszkowa?” Odpowiedź brzmiała: „Nie”. Rabi i Cirele wiedzieli o Raszkowie i mogliby go tam wytropić. Najlepiej wsiąść w pociąg ekspresowy do Berlina, a potem do Paryża. Miał paszport i wizy, przecież nie wyślą za nim tropicielei.

Spał godzinę, dwie, może trzy. Gdy się obudził, słońce świeciło przez częściowo opuszczone story. Rejcl leżała na brzegu łóżka, pogrążona w spokojnym śnie, prawie że nie oddychając. Przyjrzał się jej twarzy. Nie pierwszej już młodości, nie tak jednak zwiędła jak twarz Ruchełę, która zmarnowała ją sobie przeróżnymi kremami. Oblicza Rejcl nie skaziły kosmetyki.

Pomyślał o Argentynie, gdzie panowała obecnie zima, słotna i chłodna, gdzie piece, używane jedynie do gotowania, nawet najbogatszych rodzin nie chroniły od szczekania zębami. Perspektywa podróży do Londynu, a potem miesięcznej żeglugi do Argentyny, przerażała Maksa. „A czemu bym nie miał zabrać ze sobą tej Baśki? — zastanawiał się. — Po co wracać do poprzedniej pustki?” Udręką były mu nerwy. To uciszone, to znowu napięte, jakby przez jakiegoś wewnętrznego demona, który przenika człowiekowi do środka i stroi sobie z niego żarty. Już myślisz, że zwyciężyłeś demony, a tu one wywalają języki.

Powziął nowe postanowienie: wyjedzie razem z Baską. Oczywiście, nie będzie to łatwe. Nawet jeśli dziewczyna zgodzi się opuścić swoich państwa, Rejcl Korek dowie się o wszystkim i może rzucać mu kłody pod nogi. Taka jak ona może zrobić na niego donos na policję albo wynająć zbirów i szantażystów. Ale jak tu się teraz skontaktować z Basią? Dała mu numer telefonu, przestrzegając jednak, że jeśli odbierze stary albo stara, nie zawołają jej do aparatu. Mogliby jej nawet odebrać wychodne. Po namyśle postanowił poczekać do środy, do umówionego spotkania z Basią. Ile to jeszcze zostało? Postawi sprawę jasno: albo jedziesz ze mną, albo siedz sobie w Warszawie i zalewaj się potem. Dziewczyna się za nim stęskni do środy. Zawiezie ją nad granicę pod Mławę. Przed dwudziestu laty przekradł się tamtędy do Niemiec z

jednym szmuglerem. Znał drogę. Gdy się już znajdą za granicą, wszystko pójdzie gładko. Wynajmie dla Basi mieszkanie, a ona zostanie jego kochanką w hiszpańskim stylu. Będzie miał dwa domy: jeden z Basią, drugi z Ruchełę. Sziksa nie nawykła do luksusu, nie wykosztuje się na nią zbyt. Taka jak ona dochowa poza tym wierności. Może pewnego dnia będzie mu mogła dać dziecko — przemknęło mu przez głowę. Ruchełę nie miała już takiej możliwości, lecz on był w stanie postarać się jeszcze o dziedzica, kogoś, komu mógłby zostawić majątek.

Powziąwszy tę decyzję, aż zdziwił się, że mógł wcześniej planować ucieczkę. Toż to byłoby szaleństwo. Po licha porzucać młodą kobietę i puszczać się znowu na samotną włóczęgę po morzach? Po licha wracać do mroźnej zimy i starych kłopotów? Musiał to sobie wszystko na nowo przetłumaczyć: źle być pijanym, ale i zbyt trzeźwym nie dobrze.

Czym ma się zająć przed śródownym spotkaniem z Basią? Obiecał zobaczyć się z Cirele w poniedziałek po obiedzie. Rabi i rabinowa uważają go za narzeczonego córki. „Jeszcze ten jeden raz będę musiał odegrać tę rolę — pomyślał. — Jedyne, czym już nie muszę zaprzętać sobie głowy, to wizyta u tego czarownika Szkolnikowa”.

Długo tak leżał, ani pogrążony we śnie, ani całkiem rozbudzony. Potem przypomniał sobie, że rabi może rzucić na niego klątwę za pohańbienie córki. Żydzi tacy jak on mają posłuch w niebie. Jeśli taki człowiek go przeklnie, pozostanie przeklęty i na tym, i na tamtym świecie. Okropna to poza tym rzecz pokrzywdzić tak świętego męża. „Może mógłbym mu zostawić jaką sumkę, ze sto albo i kilkaset rubli?” — zastanawiał się. No, dobrze, a co z Cirele? Delikatne z niej dziecko, niezbyt przy tym zrównoważone. Raz już próbowała rzucić się z balkonu; może wpaść w depresję, i on, Maks, będzie przyczyną jej śmierci. Nawet Rejcl Korek ostrzegła go, by nie zadawał się z córką rabiego. Pieniądze? Takiej jak Cirele nie można przekupić pieniędzmi.

Był zmęczony, ilekolwiek by jednak razy zamykał oczy, one otwierały się znowu. Wyobrażał sobie, co nastąpi, gdy Cirele i jej rodzice dowiedzą się o jego ucieczce. Cirele będzie płakała, zemdleje, będzie próbowała wyskoczyć przez okno. Ojciec i matka będą ją powstrzymywali. Rejcl doniesie rabiemu, że Maks ma w Argentynie żonę. Rabi rzuci na niego śmiertelne klątwy. Jak to się nazywało w Raszkowie? *Księga Klątw*. Rejcl Korek napisze siostrze, że Maks strugał kawalera i zaręczył się z córką rabiego. Ruchełę dowie się, co on to nawyprawiał. Będą o nim plotkowali po kawiarniach. Wyrzucą go z Bractwa Pogrzebowego. Nie wpuszczą go do synagogi w Rosz-haszana i Jom Kippur. Jego interesy także poniosą uszczerbek. Nikt nie zechce kupować domów i parceli od „nieczystego”. Zamknął oczy i zapadł w sen. Obudziła go Rejcl. Włożyła już halkę i pantofle. Potrząsając go za ramiona, zawołała:

— Wstawaj, śpiochu, już dziewiąta!

Patrzył na nią z pogardą. Zaklinała się, że dochowywała wierności Szmulowi Śmietanie, ale nie wtedy, kiedy Maks zjawił się w pobliżu. Leżał w jej łóżku, a ona go budziła, łaskotała pod

pachą, jej czarne oczy śmiały się do niego porozumiewawczo, fałszywie, bez śladu wstydu czy żalu. Amatorów łasych na cudzą żonkę nigdy nie brakuje.

— Wyjdź, chcę się ubrać.

— Wstydzisz się, hę? Przygotuję śniadanie.

Wstał z łóżka. Miał na sobie nocną koszulę Szmula Śmietany, o wiele na niego za dużą. W łazience, mieszczącej się w przedpokoju, dotknął szczeciny zarostu. Ostatnio broda rosła mu z niezwykłą wręcz szybkością. Choć golił się rano, wieczorem jego podbródek był szorstki, następnego zaś dnia przypominał w dotyku tarnik. Rejcl parsknęła na jego widok śmiechem.

— Czego rechoczesz, hę?

— Dwóch takich jak ty wlaźłoby w tę koszulę. Rzeczywiście się roztył. Wejdz i umyj się. Obiecuję, że nie będę podglądać.

— Umyję tylko twarz i ręce.

— Nie mamy wanny. To nie „Bristol”.

Umył się, wciągając w nozdrza zapach kawy i świeżo przygotowanego mleka. Ilekroć składał wizytę kobiecie, zabierał z sobą szczoteczkę, nocną koszulę i szlafrok, ale w ostatnim czasie zatracił swą męską pewność siebie. Przemył twarz i nad zlewem przepłukał wodą usta. Potarł szczecinę na brodzie i odczuł te same skrupuły, jakie brały go za młodu, gdy był z prostytutką. Te sprzedajne kobiety od chłopięcych lat budziły jego gniew. Im obficiej zlewały się perfumami, tym okropniej cuchnęły. Płacąc im, miał ochotę plunąć im w twarz. A mimo to ożenił się z jedną z nich. Budziła w nim pożądanie, lecz jej plugawa przeszłość napawała go żalem i wstrętem. Zarazem jednak z upodobaniem wysłuchiwał wszystkich historyjek, jakie udało mu się z niej wyciągnąć. Odkąd wszakże po śmierci Artura zamknęła się w swojej niedostępnej fortecy, ilekroć próbował się do niej zbliżyć, powtarzała: „Dajże mi spokój. Jestem stara i załamana. Idź sobie, do kogo tam chcesz”. Nie rozwodziła się z nim jednak. Zrobiła się pazerna na forszę i przebiegła. Cudem tylko zdołał odłożyć sobie pewną sumkę za jej plecami.

Ledwo zdążył się ubrać, weszła Rejcl.

— Co się stało? — zapytała. — Coś cię gryzie, czy jak?

— Nic mnie nie gryzie.

— Odkąd wstałeś, wydajesz się zmieniony. Czy to moja wina?

— Nie, Rejcl, to nie twoja wina.

— Jeśli tęskno ci do Basi, mogę ci ją sprowadzić.

— Do nikogo mi nie tęskno,

— Chodź jeść. Bóg mi świadkiem, że nie chciałam tego. Gdybyś się nie zjawił, jakoś bym z nim przebrnęła przez to życie.

— Co chcesz teraz zrobić? Zostawić go?

Obrzuciła go chłodnym spojrzeniem.

— Nie należę do zazdrosnych, ale ty lepiej zerwij z tą Cirele. Wszysey o tym gadają.

— Kto gada?

— Wszysey. Chodziłeś nawet modlić się z rabim. Nie powinieneś tego robić, Maks. Zgubisz całą rodzinę. Do tego trzeba mieć serce mordercy.

Przez te lata, gdy biegał od lekarza do lekarza, ci zapewniali go, że nie cierpi na żadną organiczną chorobę. A jednak wokół niego odkrywano nagle u ludzi, z pozoru silnych i zdrowych, chore nerki i wątroby. Wielu umarło na cukrzycę, na serce, kamice żółciową lub raka. Nie było tygodnia, żeby on i Ruchele nie szli na czyjś pogrzeb. Lekarze pisali, że Argentyńczycy jedzą za dużo mięsa i za dużo cukru. Niemal wszyscy z jego starych znajomych, przyjaciół i kochanek rozstali się już z tym światem, choć wielu było jego lat. Co za pożytek z pieniędzy, gdy Anioł Śmierci zbiera się, by cię powalić. Na co rozkosze życia, skoro w mgnieniu oka mogą cię wywieźć na cmentarz? Nic dziwnego, że te dranie nazywają Bractwo Pogrzebowe „najżywotniejszym” ze wszystkich towarzystw w Buenos Aires. Swego czasu tego rodzaju rozważania kończyły się głęboką depresją. Przez ostatnie dwa lata nękały go inne myśli, ale strach przed śmiercią czaił się w nim bezustannie. Budził się rano z obłożonym językiem. Miewał bóle w klatce piersiowej, skurcze żołądka, przytępił mu się słuch i zatykało go, ledwie wszedł kilka stopni.

Wyszedłszy od Rejcl Korek postanowił, że będzie odtąd dbał o własne zdrowie. Co by było, gdyby się tak rozchorował w tym obcym kraju? Położono by go do szpitala między gojów i nie mógłby się nawet porozumieć z lekarzem i pielęgniarką. Gdyby umarł, nikt by się nie dowiedział, gdzie pogrzebano jego kości. „Nie pójdę dziś ani do Cirele, ani do Szkolnikowa. Wracam prosto do hotelu”.

Wyszedłszy z bramy, skręcił w stronę Ciepłej, lecz jego nogi, powodowane jakby zewnętrzną jakąś siłą, poniosły go w przeciwnym kierunku. Przechodząc pod dziesiątym, podniósł wzrok na balkon rabiego. Spojrzał, czy Estera, piekarczowa, nie stoi w bramie pod piętnastym. Mijając kawiarnię Chaima Kawiarnika uczynił ruch, jakby zamierzał wejść do środka, zamiast tego wstąpił jednak do szynku pod szóstym. Może zastanie tam Ślepego Mejera, którego znał ze słyszenia przed dwudziestu z górą laty. Prawdę powiedziawszy, miał ochotę pogadać z tym człowiekiem.

We frontowej salce, gdzie stał szynkwas, było gwarno. Zbici w gromadkę, tłoczyli się tam młodzieńcy w bryczesach i butach z cholewami, w nasuniętych na oczy kapeluszach, oraz dziewczyny o ospowatych, zniszczonych twarzach. Przepisnąwszy się przez tę ciżbę, Maks wszedł do drugiej izby, na wpół pustej. Zobaczył tam potężnego, barczystego mężczyznę z głową jak ceber, ze skośną szramą na niskim czole, z pustym oczodołem i czerwonym, bulwiastym

nosem. Człowiek ów był masywnej budowy, a jego twarz poznaczona była bliznami. Więc to jest Ślepy Mejer, król Krochmalnej, rabin przestępczego światka! Maks zakaszłał krótko, i Ślepy Mejer wyprostował się z wolna niczym wół. Spod nawistłych brwi podejrzliwie łypnął na Maksa zdrowym okiem. Jego spojrzenie przepęłniała gorycz, z jaką patrzą ludzie nie spodziewający się już od losu niczego dobrego.

— Mejer, czy to pan? — zapytał Maks.

— Kto pan jesteś? — Chrapliwy głos Ślepego Mejera wytoczył się z hurkotem z jego trzewi.

— Pan mnie nie zna. Nazywam się Maks Barabander, przyjechałem z Buenos Aires. Pana stary przyjaciel, Chackełe Peltes, przysłała panu przeze mnie pozdrowienia.

Ślepy Mejer zamyślił się na długo. Jego wargi, ujęte w dwie głębokie bruzdy, drżały.

— Wiem, wiem. Mieszka w Buenos Aires, ale ludzie mówili, że już kojfnął.

— On nigdy nie kojfnie.

— Co porabia?

— Został bogatym człowiekiem.

Ślepy Mejer złożył pięść na stole.

— Ile to już, odkąd wyjechał z Warszawy? Będzie z dziesięć lat.

— Więcej niż dwadzieścia.

— Nie może być? Jak ten czas leci! Pamiętam go. Chodził z taką jedną blondyneczką.

— Hanele. Jest jego żoną.

— Znaczy z nią się ożenił? Zdziwiony jestem, że wciąż mnie pamięta. Świat minął Ślepego Mejera, zapomniał o nim jakby o umarłym.

— On często o panu mówi.

— Co też takiego mówi? Pan siada, pan tak nie stoi. Jeśliś pan głodny, idź pan do baru i coś sobie zamów. Był tu kiedyś kelner, ale go wyleli. Sam pan sobie musisz wszystko przynieść od tej sziksy. Żarcie mają w tej speluncie gówniane! — Na twarzy Ślepego Mejera ukazał się grymas gniewu i odrazy.

— Nie jestem głodny — rzekł Maks. — Jeśli pan miałby ochotę coś przekąsić, moglibyśmy zajść do knajpy pod siedemnastym.

— Do Lazara? Z miłą chęcią, tylko że doktor mnie zabronił. Nie wolno mi nawet wypić kufelka piwa. Wrzody! — Ślepy Mejer wskazał na swój wydęty ponad stołem brzuch.

— Może miałby pan ochotę wstąpić do Chaima Kawiarnika? Ma dobre serniki.

— Serniki, he? Sucharki z mleczkiem. To mnie wolno — powiedział Ślepy Mejer, wywijając dolną wargę, tak że ukazało się kilka długich, szerniałych, zakrzywionych jak haczyki zębów. Przez chwilę potrząsał głową jak na pogrzebie. Potem zapytał:

— I cóż tam Peltes porabia?

— Ma fabrykę tekstylną.

— Fabrykę, ten szczur Chackele Pelses?

— Wielką fabrykę z ponad pięćdziesięcioma robotnikami. Przeważnie Hiszpanki.

— Nu, a ona?

— Pani całą gębą.

— Fiu, fiu. Wyjeżdżają ludziska do tej Ameryki i już wielkie państwo. Była tu kurwą pod szóstym. Iczele Głęb był jej alfonssem.

— Wygląda jak hrabina. Żeby pan widział jej diamenty.

Maks odmierzył kciukiem pół palca wskazującego. Ślepy Mejer huknął w stół drugą pięścią.

— Co oni wiedzą w tej Ameryce? Wszystko się tam kręci wokół forsy. Masz gelt, toś pan. Myśmy tu mieli bunt i wybili starą chewrę. Siedzę tutaj i nikogo nie znam. Zagadują do mnie jacyś, a ja nie wiem, co za jedni. W zamieszki szewcy i krawcy zblatowali się przeciwko nam. Nie było komu się stawiać. Ci z placu dostali w skórę. Czmychali jak zające. Robociarze wleźli do burdeli i pobili panienki. Dwudziestu łachudrów na mnie naskoczyło, a sam przeciw dwudziestu żaden chojrak nie poradzi. Zabrali mnie do szpitala na Czyste i przeleżałem tam sześć tygodni. I nikt, poza dwoma, trzema, nawet nie zajrzał, żeby zobaczyć, jak się miewam. Taka to dziś Krochmalna, Na Smoczej zresztą nie lepiej. Po coś pan przyjechał?

— Bez powodu. Rzucić okiem na dawną Warszawę.

— Nie ma już dawnej Warszawy. Pogrzebana, przyklepana. Kiedyś każdy miał swój rewir. Teraz złażą się tu najgorsze łachudry. Nikt nikogo nie zna. Ten mówi: czarne, tamten: białe. Raptem branka. Łapią ich, pakują do budy jak te kundle. Za moich czasów komisarz Wojnow wódkę z nami pijał. Stójkowy mnie się kłaniał i okazywał szacunek, żebym tak był na kirkucie pochowany. Był tu taki, Lejbusz Trelbach, to ten jak coś obiecał, to jakby stało w książce zapisane. Przychodzi, bywało, na komisariat i powiada: „Wasza wielmożność, to jeden z moich ludzi”, w te pędy człowieka wypuszczają z kozy. Trzydzieści sześć lat już będzie, jak Lejbusz ziemię gryzie. Co ja mówię? Czterdzieści z okładem. Bywało, przychodzi do mnie i powiada: „Mejer, taka a taka rzecz się stała. Przykaraulili ojca dzieciom, trzeba jego wyciągnąć”. W dziesięć minut pan miałeś stos pieniędzy. Docieraliśmy do oberpolicmajstra albo nie nazywam się Mejer.

— Tak, wiem.

— Co pan tam wiesz? Guzik pan wiesz. Jak się nazywa to miasto, gdzie pan mieszka?

— Buenos Aires.

— Słyszałem. Wysyłali tam towar okrętami. Kręci się tu jeszcze jeden z dawnej paczki, Szmul Śmietana. Kiedyś był paserem, teraz jest gość. Żyje z kobietą, która ma siostrę w Buenos Aires.

— Wiem, o kim pan mówi. Żadna tam gruba ryba.

— Skąd mnie o tym wiedzieć? Jak się nazywa ta jej siostra? Rejcl Korek. Do buntów stała w bramie, tu na Krochmalnej, i zaczepiała pijaków. Ale Szmul Śmietana stracił dla niej głowę i odszedł od żony. Wynajął dla niej mieszkanie pod dwudziestym trzecim i ona teraz pani. Co to wie to dzisiejsze pokolenie? Ale Ślepy Mejer ma kiepele i pamięta, co trzeba. Dla mnie to są same łachmyty. Mnie nie nabiorą. Dlatego mnie nienawidzą.

— Nikt pana nie nienawidzi. Wprost przeciwnie.

— Dobra, dobra. Nienawidzą mnie. Prawdę panu mówię, a za prawdę biją. Ale czego ja miałbym się ich bać? Co oni mnie mogą zrobić? przegnać moje kaczki ze stawu? Przesiaduję tu po całych dniach i życie mnie upływa jak sen. Co parę minut zdarza się tu jakaś draka. Przechodzi goj, świsną mu portfel. Kurwy co miesiąc muszą ganiać na badanie. Wszystko zapisują w żółtych paszportach. Jak która złapie czarnego robaczka, pakują ją do szpitala, trują i nawet pogrzebu nie wyprawiają. Wykopią dół i walą na kupę Żydów razem z gojami. Raz jeden alfons przebrał się za kobietę. Jak przyjeżdża buda, wszyscy wieją. Jedyne, o co im chodzi, to o te parę groszy, niech ich diabli porwą. No i jak tam jest w tym Buenos Aires?

— Hiszpan własną żonę sprzeda, byle się mógł objąć i lenić.

— Słyszałem, że są tam Murzyni.

— W Ameryce, nie w Argentynie.

— W Nowym Jorku, znaczy?

— W Nowym Jorku, w Chicago, w Cleveland.

— Pan tam byłeś?

— Parę razy.

— Jak tam wygląda życie? Chcieli, żebym jechał, ale kto w dzisiejszych czasach jeździ do Ameryki? Same męty. Ja tu miałem wszystko, czego chciałem. Rządziłem na Krochmalnej, na Smoczej, w całej dzielnicy. Przychodzili do mnie z Tamki, z Solca, z Powązek, z Ochoty. Moje słowo było prawem. Całe niezadowolenie poszło od strajkujących. Aleksander był dobry car, ale go zabili. Potem zaczęły się pogromy i ludzie wzięli uciekać do dalekich krajów. Zaczęli się dopraszać Dumy, ale co za pożytek z Dumy, kiedy nie masz forsy i twoje życie funta kłaków niewarte? Tyle mieli z tej Dumy, co nieboszczyk z baniek. Szewc po dawnemu był szewcem, a generał generałem. Mam rację czy nie?

— Ma pan rację.

— Starość nie radość. Siedzę tu po całych dniach, bo mam trudności z chodzeniem. Od leżenia odleżyny się robią. Za cokolwiek się pan weźmiesz, gówno jest warte. Masz żonę?

— Tak, mam.

— Po coś pan tu przyjechał? Lubunię sobie znaleźć?

— Tego i tam dostanie.

— Ja myślę! Tego towaru nigdzie nie brakuje. Ale jak się pan zestarzejesz i w kościach pana łupie, ani panu w głowie te rzeczy. Mógłbyś pan przede mną postawić goluteńką królową Saby, nawet bym na nią nie spojrział. A więcej miałem kobiet, niż pan sobie możesz wyobrazić. Zajechałem kiedyś do jednego miasta i stanąłem w hotelu. A po sąsiedzku, drzwi w drzwi, mieszkał jeden pułkownik z żoną. Wdałem się z nią w gadkę i na zabój się we mnie zakochała — ot tak, szast-prast. Przyszła do mnie do numeru i w konwersację. Więc wyrąbałem jej prawdę: „Spośród tysiąca mogę wybierać”. Zbladła jak kreda i powiada: „Tamte pana nie kochają, a ja kocham”. „Skąd mam wiedzieć, że pani prawdę mówi?” Palilem papierosa i ona do mnie: „Niech pan mi poda papierosa”. Podałem go jej, a ona przytknęła rozżarzony koniec do ręki i wypaliła sobie dziurę w ciele. Aż poczerniało. „Oto panu dowód” — powiada. W życiu czegoś podobnego nie widziałem. Chciałem lecieć do apteki po jakąś maść, a ona mówi: „Niczewo. Podaj mi usta” i wysała mnie jak ta pijawka. Trzy dni i trzy noce przebawiłem w hotelu z tą Rosjanką. Nic, tylko jedliśmy i spaliśmy, na okrągło. Jak stamtąd wychodziłem na czwarty dzień, ledwo się trzymałem na nogach. Czuję się, jakbym przeszedł dur brzuszny.

— A ona? Wróciła do swojego pułkownika?

— A do kogo miała wrócić? Do pana? Mieli tam gdzieś manewry i on ją wziął z sobą. Słyszał pan kiedy o czymś takim?

— Nigdy.

— Człowiek żyje i się uczy. Zdaje się panu, że już pan wszystko wiesz, aż nagle usłyszysz pan coś i uszom nie wierzysz. Wspomina się gdzieś nawet o tym w świętej księdze, nie pamiętam, gdzie.

Minął ranek. Hotelowy urzędnik przyszedł z wiadomością, że Maks proszony jest do telefonu, ten kazał jednak powiedzieć, że go nie ma. Wiele godzin przeleżał na łóżku, pogrążony w drzemce, wyczerpany swoimi podbojami. Cirełe go szukała, postanowił jednak unikać jej do środy. Ani miał dłużej ochotę, ani czuł się na siłach z nią rozmawiać. Bał się jej inteligentnych słów, gniewnych spojrzeń jej matki, a nade wszystko rabiego. Nie ulegało dlań wątpliwości, że gdyby rabi go przeklął, klątwa by się spełniła. Nie mógł dłużej zwodzić Cirełe obietnicami małżeństwa, skoro był żonaty. Z Basią to co innego; jej ojciec mieszkał na prowincji wraz z żoną i dziećmi i Maks był bezpieczny.

O dziewiątej wieczorem wyrwał go z tego rozespania głód. Słońce, które jeszcze nie zaszło, czerwone i ogromne, niemal dotykało ziemi, oddzielone od niej jedynie wąskim pasmem chmur. Po raz pierwszy od przyjazdu do Warszawy Maks miał przed sobą samotną noc. Przeszedł

spacerkiem przez Nowy Świat, znalazł kawiarnię i zamówił bułki, śledzia, omlet i kawę. Próbował przejrzeć polską gazetę, lecz nie potrafił już czytać w tym języku. Z sąsiedniego stolika wziął jakiś ilustrowany magazyn i spojrzął na fotografię. Nie potrzebował odcyfrowywać podpisów: oto powszechnie znany generał, jeszcze jeden generał; tu piękna aktorka, tam księżniczka; panna młoda trzyma ślubny bukiet, pan młody wspiera się na rękojeści szabli. Wszyscy chcą tego samego — pieniędzy, dobrej partii, władzy. A jakież są jego zdobycze? Tacy jak on muszą się żywić resztkami, podnosić, co inni wyrzucili, na co nikt nie ma ochoty. Nawet Cirele to dla niego za dużo. Wyszedł ze śmietnika i na śmietniku musi pozostać.

Jadł powoli, żeby czas spędzony na posiłku nie minął zbyt szybko. Popijał kawę łyżeczką. Przeczytał jakiś artykuł, z którego zrozumiał co trzecią linijkę. Żałował, że przespał dzień, teraz do świtu nie zmruży bowiem oka. Palił papierosa za papierosem. „Popelniłem błąd — pomyślał. — Należało iść na ten seans”. Wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął notes, który od przyjazdu do Warszawy wciąż przy sobie nosił. Zaczął go kartkować, odczytując nazwiska całkowicie mu nie znane oraz takie, co brzmiały znajomo. Najpewniej żadna z tych osób, dla których przywiózł pozdrowienia z Argentyny, nie ma telefonu. Tak czy owak notes nieco go pocieszył.

Siedział w kawiarni aż do jedenastej, po czym na piechotę wrócił do hotelu. U wylotu Chmielnej próbowały go znęcić prostytutki. Przez chwilę myślał, żeby się zatrzymać i uciąć sobie z nimi pogawędkę, mówiły jednak po polsku, nie w jidysz. Wrócił do hotelu, zamiast jednak pójść do siebie na górę, zasiadł w holu. Jakaś stara kobieta o żółtej twarzy, w czarnym kapeluszu z czarnym welonem z tyłu, strofowała młodą dziewczynę lat około siedemnastu. Sine wargi starowiny drżały. Wyglądała na zagniewaną i czyniła dziewczynie wyrzuty. Na jej podbródku jeżyły się białe włoski. Panienska wysłuchiwała jej, nie próbując nawet odpowiadać. Maks nie odrywał od nich oczu. Co za różnica starej, jak zachowuje się ta młoda? Długo jeszcze może to zasuszone ciało pałętać się po tej ziemi? Nikt, jak się zdaje, nie myśli o śmierci. Nawet taka potrzaskana skorupa jak ta stara. Co by było, gdyby miał pewność, że umrze za sześć miesięcy? Co by mógł właściwie uczynić?

Myśl ta pochłoneła go bez reszty. Co by zrobił, gdyby mu został jedynie rok życia? Nie można po prostu położyć się do łóżka i czekać końca. Trzeba by się czymś zająć. „Czy rozdałbym majątek ubogim?” Przede wszystkim musiałby wrócić do Argentyny i sprzedać swoje domy i parcele. Minąłby rok, nim wszystko, co posiada, dałoby się obrócić w gotówkę. A skąd wiadomo, że dobroczynność popłaca? Nie ma innego świata, umarły człowiek to tyle co martwy wól.

Mężczyźnie takiemu jak on pozostawała tylko jedna przyjemność: kobiety. Postara się mieć ich jak najwięcej. Nie będzie żałował pieniędzy. Posiądzie ich tyle, ile tylko zdoła. Niewykluczone, że został mu tylko rok życia.

Czy wieczór jest istotnie stracony? A gdyby tak zadzwonił do Rejcl Korek i oznajmił jej, że nie ma ochoty spędzać nocy w hotelu? Może by zobaczyć się znowu z Esterą, żoną piekarza? Nie czuł jednak w sobie wigoru do miłosnych przygód. Nawet jeśli został człowiekowi jedynie rok życia, zdoła zdziałać tylko tyle, na ile starczy mu sił. Może by pójść do knajpy i upić się? Nie, nie miał ochoty na wódkę. Zapalić następnego papierosa? Zmarnowany wieczór. A co robić jutro?

Siedząc w fotelu, zaczął układać plan. Ściągnie z Argentyny tyle pieniędzy, ile się tylko da. Będzie zmieniał kobiety jak rękawiczki. Mając przed sobą rok życia człowiek nie musi się oglądać na czyjeś przekleństwa. Będzie podróżował po świecie w orszaku kobietek. Z harmonią forsy można mieć wszystko. Prawda, będzie potrzebował kogoś do pomocy — sekretarki, pośrednika, osoby zaufanej, która pomoże mu zrealizować ten plan. Lecz kto by to mógł być?

Nagle doznał olśnienia: Rejcl Korek! Uprzykrzyła już sobie Szmula Śmietanę i kochała pieniądze. Dostarczy mu nie jedną, lecz pięćdziesiąt Baś. Będzie z nimi podróżował dookoła świata i wypłacał Rejcl pensje. Pojedzie z nim do Argentyny. Będzie chciała zobaczyć się z siostrą.

Przywykł puszczać wodze fantazji, żadnemu jednak dotąd rojeniu nie oddał się tak bez reszty jak temu. Nie musi przepuszczać całego majątku. Piętnastoma, dwudziestoma tysiącami rubli opędzi wszelkie koszty. Niepotrzebne mu zaraz szansonistki. Wystarczą mu w zupełności dziewczęta takie jak Basia. Jeśliby zaś Bóg przydzielił mu więcej lat, nie zostawi go to nędzarzem.

„Tak, tak właśnie postąpię” — zdecydował. Wzięła go ochota, by zatelefonować do Rejcl Korek i pogadać z nią. Podniósł się, by poszukać telefonu, i usiadł z powrotem. Nie, nie teraz. Najpierw wszystko sobie przemyśli, naszkicuje plan, jak czyni architekt, zanim wzniesie dom, albo inżynier, który zaczyna od sporządzenia projektu maszyny. Tak wszystko przeprowadzi, żeby Ruchełe nie mogła wszcząć przeciw niemu kroków prawnych.

Rozejrzał się wokół. Staruszki i dziewczyny, jej wnuczki lub prawnuczki, już nie było. Został w holu sam. Podeszedł do recepcjonisty i wziął klucz. Nie pojechał windą, lecz wolno wszedł na górę po wyściełanych czerwonym chodnikiem marmurowych schodach. Nie zapalając światła, położył się w ubraniu na łóżku. Tak, zasłużył sobie na rok szczęścia po latach smutku i choroby, których przyczyną była śmierć Artura.

Przewidywał, że Rejcl Korek przykłaśnie jego planom. Spędzona razem noc pozwoliła mu wejrzeć w jej położenie. Szmul Śmietana był stary i gruby; kochał piwo, nie kobiety. Stracił już serce do miłości. Kiedy Maks około drugiej zapadał w sen, niemal wszystko już miał ułożone. Będzie podróżował z Rejcl, a ona mu będzie dostarczała dziewczęta. Urodzona z niej burdelmama. Właściwie sama wystąpiła z tym projektem zaraz przy ich pierwszym spotkaniu. Takie jak ona nie bywają zazdrosne; stręczycielstwo przeradza się u nich w namiętność.

Zasnął. Kiedy otworzył oczy, świeciło słońce, a jego zegarek wskazywał za dziesięć siódmą. Spał tylko pięć godzin, a jednak obudził się wypoczęty. Wstał z przeświadczeniem, że odkrył sposób wywikłania się ze wszystkich swoich kłopotów. Jego przedsięwzięcie wymagało współnika, kogoś, kto będzie mu pomagał, a zarazem lubił z nim przebywać — Rejcl Korek. Znalazła mu Basię, a to dopiero początek.

Było zbyt wcześnie, by dzwonić do Rejcl, ogolił się więc nad umywalką. Zawołał pokojówkę i zamówił kąpiel. Potem ubrał się i zszedł na śniadanie. „My dwoje możemy przewrócić świat do góry nogami — stwierdził w duchu. — Z niej też jeszcze niezgorsza dupunia. Czy to możliwe, żeby odmówiła? Wykluczone!” — odpowiedział sam sobie. Chyba że wda się w to rabi. Musi mu wszystko wynagrodzić, da mu na posag dla Cirele.

O dziewiątej zatelefonował do Rejcl Korek. W jej głosie usłyszał radość.

— Pół nocy o tobie myślałam, Maks.

— Którą połowę, pierwszą czy drugą?

— Pośrodeczku.

— Rejcl, muszę z tobą pomówić.

— Więc wal. Język masz, dziękować Bogu.

— Może byśmy się spotkali?

— Czemu nie? Nie mam nic do roboty. Stęskniłam się za tobą.

— To mi wystarczy. O której przyjść?

— Zaraz.

— Oto jak powinna przemawiać kobieta. Już lecę.

— Jadłeś już śniadanie?

— Tak.

— Nu, więc zjemy drugie. To jest to.

— Tego szukałem — powiedział do siebie głośno. — Ona zrobi wszystko, co zechcę. Nacieszę się życiem przez ten rok.

Wyszedł i zamknął drzwi. Zbiegł po schodach, tak lekko się czuł. Przed hotelem natknął się na Cirele. Zaniemówił z zaskoczenia i tylko wpatrywał się w nią jak oniemiały. Miała na sobie kapelusz, który jej kupił, i szary kostium. Była blada. Ogarnął go strach.

— Cirele, co ty tu robisz?

Przyglądała mu się bacznie z czymś w rodzaju gniewnego uśmiešku.

— Dokąd to się tak rano wybierasz? — spytała. — Przez całą noc nie zmrzyłam oka. Muszę z tobą pomówić, Maks.

— Dobrze, chodźmy.

— Nie mogę rozmawiać na ulicy.

— Chodź do mojego pokoju.

— Nie, Maks, nie wejdę do pokoju mężczyzny.

— Więc zostaniemy w holu na dole.

— Może moglibyśmy pójść dokądś, gdzie jest spokój?

— A gdzie masz spokój? W grobie — powiedział, zdumiony własnymi słowami.

— Chodźmy do Ogrodu Saskiego. Rano jest tam spokojnie.

— Zgoda.

Wziął ją pod rękę, a ona mu jej nie wrywała. Szli powoli, w milczeniu, jak para małżonków. Weszli do ogrodu od strony zwanej Jedenaście Bram. Maks zdawał sobie sprawę, że winien jest Cirele wyjaśnienie, nie wiedział jednak, co powiedzieć. Zwiesił głowę. Całe jego życie było grą z ukrytym wrogiem, istnym diabłem. To nie Cirele, ale, paradoksalnie, ten drugi, Zły, psuł mu szyki w jego gonitwie za przyjemnościami, które ścigał, odkąd na tyle odrósł od ziemi, by móc utrzymać się na własnych nogach.

No cóż, nie zrobisz futrzanego kołpaka ze świńskiego ogona” — stwierdził w duchu. Nie powinien był nawet myśleć o poślubieniu Cirele. To było szaleństwo, szaleństwo. Wyznał jej w końcu prawdę, że ma żonę w Buenos Aires. Plunęła na niego, a on nawet nie otarł chusteczką śliny. Nie zapomni tego nigdy. Łzy wielkie jak groch i czyste jak diamenty kapały z jej oczu. Przemówiła do niego językiem *Tory*:

— Bodajś był przeklęty! Przeklęty na wieki! Nie zaznasz spokoju ani na tym świecie, ani w grobie.

Szła i płakała. Co parę kroków przystawała i patrzyła na niego, twarz miała czerwoną, mokrą od łez, opuchniętą i odmienioną. Rejcl Korek uspokajała go potem, że klątwy się nie spełniają. Gdyby spełniła się choć tysiączna część tych przekleństw, które na nią rzucono — mówiła — już dawno wynieśliby ją nogami do przodu. Lecz Maks wiedział, że tym razem klątwy się ziszczą. Wypowiedziała je nie tylko Cirele, ale i ojciec jej, rabi. Jego to był styl, jego głos. Uderzyły w Maksa te słowa jak rozżarzone kamienie. Wprost czuł, jak weń godzą i palą. Nie może jednak dopuścić, by skrucha zatruła goryczą jego ostatnie dni. Dopóki człowiek żyje, musi się życiem cieszyć. Jak nadejścia sądnego dnia, tak pewien był tego, że nie zdoła się dłużej obejść bez Rejcl Korek. W dwadzieścia cztery godziny stała się dla niego wszystkim — żoną, kochanką, współpracowniczką, przewodniczką.

Jak to się mogło wszystko tak szybko potoczyć? Teraz, gdy zostali z Rejcl Korek współnikami, zdał sobie sprawę, że od początku mu się podobała. Była kobietą o podobnych do jego własnych fantazjach i równie jak on szaloną. Ponadto zaś pełną życia, doświadczoną i praktyczną. Ułożyli plan: Rejcl porzuci Szmula Śmietanę, który był stary i gruby, obciążony żoną, dziećmi i wnukami. Cierpiał na powiększenie serca, miewał ostre bóle i ataki. Czego mogła się po nim spodziewać? Umrze i grosza jej nie zostawi.

Siostra z Argentyny namawiała ją w listach do emigracji. Wśród namiętnych pocałunków i rozkołysanej pożądaniem rozmowy Rejcl wtrąciła mimochodem, że i ona, dziękować Bogu, nie jest bez grosza: ma piękną biżuterię i odłożoną małą sumkę. Po co Maks ma się obijać po świecie? Jeśli jego żona, Ruchele, nie da mu rozwodu, ona, Rejcl, i tak z nim zostanie.

Wystarczy, że zabiorą z sobą do Argentyny kilka takich dziewczyn jak Basia, a nie tracą na tym interesie, Panie Boże broń. Maks mógł polegać na niej w zupełności.

Świt począł już czerwienić niebo, a Rejcl wciąż mówiła. Potem odwrócili się do siebie plecami i zapadli w głęboki sen. Gdy Maks otworzył oczy, pokój zalany był słonecznym blaskiem. Obudził się z uczuciem nasycenia, a przy tym zgłodniały. Rejcl krzątała się w kuchni. Usiadł. Czy to miłość? Tak, miłość. Po raz drugi w życiu Maks Barabander zakochał się w

kurwie.

Wypytała go o jego finanse, a on jej wszystko powiedział: ile ma pieniędzy, ile są warte jego kamienice i parcele. Pierwszy raz w życiu wyznał kobiecie całą prawdę, niczego nie ukrywając. Dotąd oszukiwał wszystkich dookoła, a teraz przegadał z Rejcl całą noc i nie wyszło z jego ust ani jedno kłamstwo. Miał pewność, że ona go nie oszukuje. Podał ją próbie, pytając, czy zdradzała Szmula Śmietanę. Tak, przez pierwsze dwa lata. Z iloma mężczyznami? Zamilkła. Dostrzegł w półmroku, jak liczy na palcach, mamrocząc: „Josele Benc, jeden; Chaim Kiszke, drugi; Lame Berl, trzeci”.

— Kto był czwarty, he?

— Czekał no! Lejzer Bok.

— Ilu ich wszystkich było?

— Ośmiu.

— I Szmul się nie dowiedział?

— A gdzie tam!

— A później?

— Później przez dziesięć lat byłam jemu wierna, pókiś się ty nie zjawił. Jeśli nie mówię prawdy, niech końca roku nie dożyję! — I podbiegłszy do Maksa, zaczęła płakać i obsypywać go pocałunkami. — Moi rodzice byli nabożnymi ludźmi — wyznała mu. — Mój dziadek, reb Mendl, był gabe w bożnicy.

Maks z powrotem położył głowę na poduszce. Otóż właśnie, ojcowie, dziadowie, wujowie i ciotki. Oni tam w Raszkowie nie mieli pojęcia o grzechu. Kiedy córka woziwody Morisze zaszła od pomocnika nauczyciela, w całym miasteczku zawrzało. Rzeźnicy wywlekli belfra z łóżka, naciągnęli mu gacie i kapotę i zamknęli go w izbie aż do dnia ślubu. Młodzi musieli wyjechać do Ameryki. Maks miał ciotkę, która została wdową w wieku dwudziestu sześciu lat. Nie wyszła więcej za męża i wychowała pięcioro dzieci utrzymując się z przepierek. Po śmierci męża nigdy nie założyła peruki, nosiła zawsze chustkę, nawet w szabat i święta.

„Jak to było możliwe? — zastanawiał się. — Czy w ich żyłach nie krążyła krew? Byliż aniołami, nie ludźmi? Czy tak wielka była w nich bojaźń boża?”

W drzwiach stanęła Rejcl. Nigdy nie wyglądała ładniej niż tego ranka. Wydawała się młodsza, jej ciemne oczy lśniły nadzieją i miłością.

— Miłego dnia! — przywitała go.

Maks był zaskoczony. Tego samego wyrażenia używała jego matka — niech odpoczywa w spokoju. „Nie wolno mi stąd wyjechać nie zajrzawszy do Raszkowa” — ostrzegł sam siebie. Wszak przyjechał do Polski dla tego jedynie powodu.

— Rejcl — powiedział — przyjechałem do Polski odwiedzić groby rodziców. Nie odjadę

stąd, póki nie zajrzę do Raszkowa.

— Przyjechałeś do Polski, żeby spotkać się ze mną. Ja jestem twoim grobem — odrzekła z kokietliwym uśmiechem.

— Będziesz musiała pojechać ze mną do Raszkowa.

— Choćby i na koniec świata.

— A co będzie z Basią?

— Czekaj, kochany. Wszystko przemyślałam. Weźmiemy ją ze sobą. Bogaci ludzie podróżują z pokojówkami. Naturalnie, jeśli sobie zyczysz, będzie mogła i tobie usługiwać — roześmiała się i zrobiła do niego oko.

— Co robimy po śniadaniu?

— Daj mi swój paszport.

Zaniepokoił się.

— Paszport? A na co tobie mój paszport?

— Zaklinałeś się w nocy, że będziesz mi ufał. Mówiłeś, że ja to generał, a ty prosty żołnierz.

— Jednak...

— Nie kapujesz, że będą nam potrzebne dwa paszporty, dla męża i żony albo dla brata i siostry? Tak albo tak. Znam fałszerza, który potrafi wyprodukować dziesięć, sto paszportów, ile tylko zechcesz. To mój bliski przyjaciel, a przy tym nie zadaje żadnych pytań.

— Zna hiszpański?

— Zna wszystkie języki, nawet turecki. Nie bój się. Nie zniszczy ci książeczki. Zrobi tylko kopię i wpisze moje nazwisko. Szmul go zawala robotą. Facet miał kiedyś fabryczkę fałszywych trzyrublówek. Gdyby nie zakapował go jakiś łachmyta, byłby dziś drugim Rothschildem. Odsiedział swojego piąta na Mokotowie.

— Kiedy dostanę paszport z powrotem? Bez paszportu jestem uziemiony.

— Za parę dni. Możesz spać spokojnie, Maks. Chodź, umyjesz się i zjemy śniadanko. Mamy jeszcze furę roboty, a rano nie stoi w miejscu. Szmul może wrócić lada dzień, a nie byłoby dobrze, gdyby cię tu zastał. Powiem mu, żeś wyjechał, a ja nie wiem, dokąd.

— Więc ty się go boisz?

— Tyle mnie on obchodzi co zeszłoroczny śnieg. Nie chcę tylko, żeby mi zaczął marudzić. Daruj, ale ty masz zbyt miękkie serce. Nie wolno się litować. Mój wujek mawiał: „Zarabianie na życie to wojna”, i tak samo ze wszystkim. Kto nie może prochu wachać, niech na wojnę nie idzie. Cieszył się mną przez dwadzieścia lat i będzie. Kochanka mu już niepotrzebna. Oczywiście, nie chciałby mnie stracić, ale nie może mnie zmusić, żebym z nim została. Każę im zrobić dla ciebie paszport na inne nazwisko i będziesz się mógł przenieść do innego hotelu. Zaczekasz tam, póki nie będę gotowa. Muszę sprzedać meble i resztę kłopotów. Będzie się pieklił, ale ja sobie z nim

poradę. Nie on jeden żyje za pan brat z policją.

Rejcl Korek zmrużyła oko.

„Przysięgała wczoraj fałszywie — zawyrokował w duchu. Ruchełe w porównaniu z nią to święta. Och, mam, tonę po szyję w gnoju!” Żuł świeże bajgełe i myślał o tym, że jeśli Rejcl weźmie jego paszport, będzie musiał zdać się na nią całkowicie. Podała mu następne bajgełe, posmarowane masłem i twarożkiem, i naląła filiżankę kawy. Przez lata pożycia z Ruchełe odwykł od kobiet z przestępczego światka. Śnił tylko o córkach bogaczy, księżniczkach i wielkich damach. Rejcl wciągała go na powrót w bagno. W jej czarnych oczach czaił się uśmiezek kobiecego zadowolenia i ufność złoczyńców, których nigdy nie dosięga kara, a zawsze spotyka nagroda. „Czekaj no, Rejcl — mruknął w duchu. — Sparzysz ty się na mnie”.

Głośno zaś spytał niespodziewanie:

— Masz jakieś zdjęcie rodziców?

Przestała żuć.

— A to znów co? Nie, skarbeczku. Nie mam żadnego. Moja matka nigdy nawet nie spojrzała na mężczyznę, uchowaj Boże. Kto w tamtych czasach robił sobie fotografie? Porządni ludzie na pewno nie.

Wrócił do „Bristolu”. Miał czekać, póki Rejcl nie odda mu paszportu, a obiecała, że jej fałszerz uwinie się z robotą raz-dwa. Zamierzała sprzedać wszystko, co miała w mieszkaniu, i poszukać kupców na gospodarskie manele. Trzeba się było z tym uporać, zanim Szmul Śmietana wróci z Łodzi.

W holu wręczono mu kopertę, upstrzoną pocztowymi adnotacjami, ofrankowaną argentyńskimi znaczkami. Ruchełe zaadresowała swój list do Paryża, a stamtąd odprawiono go dalej. Nosił datę sprzed sześciu tygodni. Pismo Ruchełe było niemal nieczytelną bazgraniną, jedno wszak rzucało się w oczy. Ruchełe była zła, wspominała nawet o rozwodzie.

Wychodząc za niego za mąż nie umiała czytać ani pisać. Po ślubie najęła nauczyciela i przez kilka lat pobierała lekcje. W porównaniu z nią Maks był prawdziwym pisarzem. Nauczył się pisać w Raszkowie, czytając gazety i groszowe powieści. Modne słowa wynosił z przedstawień w żydowskim teatrze tudzież z pogadanek. Zdarzyło mu się nawet wystąpić z przemówieniem na zebraniu Bractwa Pogrzebowego. Odczytując list w kółko od początku, zorientował się, że Ruchełe cierpi na egzemę, że miała kłopoty z hiszpańską służącą Rositą, że w Argentynie jest zimno i deszczowo, i kiedy też wreszcie Maks zamierza wrócić do domu?

„Właśnie, kiedy i po co?” — zapytał sam siebie.

Znajdowało się w liście kilka słów, których żadną miarą nie potrafił odczytać. Sięgnąwszy

poń znowu, podjął kolejną próbę. Odcyfrował naraz słowo „rocznica” i w jednej chwili pojął sens całego zdania. „Niedługo rocznica śmierci Artura”.

„Boże na niebie, jak mogłem zapomnieć?” Trzy tygodnie temu minęły dwa lata od śmierci jego syna.

Siedział w milczeniu. Arturo gnił w grobie, a on zakładał tymczasem z Rejcl kurewską spółkę. „Może by tak dziś pościć?” — przyszło mu nagle na myśl. Tylko na co się komu zda jego post?

Przypomniał sobie seans u Szkolnikowa. Arturo nie znał słowa po polsku, a jednak Maksowi zdawało się, że jego to głos słyszy. I co też on miał na myśli, mówiąc, że nie jest sam na tamtym świecie, że spotkał zejde-bube?

W tym momencie Maks podjął decyzję. Nie będzie dłużej odkładał podróży do Raszkowa. Powinien był tam jechać zaraz po przybyciu do Polski. Po prostu bał się zbliżyć do miasteczka, gdzie miał krewnych i wśród umarłych, i żywych.

Jak człowiek może być tak samolubnym, tak zajęтым sobą? Jak to nazywają? Egoizmem. Nawet dzikusy i złodzieje znają uczucia rodzinne. „Czyżbym był skończonym łajdakiem?” — zapytał sam siebie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Weszła pokojówka.

— Jest pan proszony do telefonu.

— Kto dzwoni?

— Madame Teresa.

— Teresa? — nie mógł sobie przypomnieć kobiety o tym imieniu. — To na pewno pomyłka — powiedział.

Mimo to wstał i wyszedł na korytarz, aby odebrać telefon. Głos w słuchawce brzmiał znajomo, choć obco. Kobieta mówiła po polsku.

— Mnie trudno rozmawiać po polsku — powiedział. — Kim pani jest?

— Teresa Szkolnikow z Długiej.

— Ach, to medium!

— Tak, to ja.

— Jak pani zdobyła mój adres?

— Brat mi go dał.

— Pewnie się państwo dziwią, dlaczego nie przychodzę na te... jak to mówicie? Byłem nadzwyczaj zajęty. Proszę mi jednak powiedzieć, dlaczego pani dzwoni — czy coś się stało?

— Pan miał przyjść na seans. Mieliśmy bardzo pomyślną sesję. Nadzwyczajną! Pański syn usiłował nawiązać z panem kontakt.

— Mój syn? Kontakt?

— Tak, usiłował się z panem skontaktować.

— Minutę przed pani telefonem myślałem o nim.

— Naprawdę? To ciekawe. Myśli się udzielają. Mój brat o pana pytał. Wszyscyśmy na pana czekali.

— Może mógłbym przyjść dziś wieczorem — zasugerował.

— Dziś nie mamy seansu, lecz ja chciałabym z panem porozmawiać. Mam panu ważne rzeczy do oznajmienia.

— Może przyszedłaby pani tutaj? Czy mógłbym zaprosić panią na kolację? Choć jest pani dziewczyną, co buja w obłokach, z pewnością musi pani coś jeść.

— Jem, naturalnie. Nawet ci, co opuścili już ziemię, posilają się, choć odmiennym rodzajem pożywienia.

— Chce mi pani powiedzieć, że umarli jedzą? — zapytał.

— Tak, to inny rodzaj stawy.

— Ja pani dam stawę dla żywych — zażartował, zdziwiony swym dobrym humorem.

— Gdzie moglibyśmy się spotkać? — spytała.

— Tu w hotelu, jeśli pani chce.

— Może gdzieś na mieście?

— Spotkajmy się przed hotelem. Czy ósma pani odpowiada?

— Będę o ósmej przed „Bristolem”.

— Doskonale. Pójdziemy gdzieś i porozmawiamy.

Dziwne. Ilekroć mu się zapowiadał samotny dzień, niemal zawsze coś się zdarzało. Bał się trochę tej Teresy. Jeśli taka z niej czarownica i może rozmawiać ze zmarłymi, dlaczego obawiała się przyjść do niego do hotelu? Nie zaczynałby z nią żadnych głupstw. Z taką to mogłoby być straszne.

Wrócił do pokoju. „Diabli się mną zabawiają”. Czy podobnie miała się rzecz z każdym, czy na niego szczególnie zagieśli parol? Usiadł na krześle, zapalił papierosa i wypuszczał kółka dymu. Na statku spotkał człowieka, który twierdził, że nie wierzy w Boga. Nie jadł mięsa ani ryb, wyłącznie owoce i warzywa. Nawet w najgorszy deszcz czy ziąb nie nosił płaszcza ani kapelusza. Powiedział Maksowi, że mieszka w Montevideo, codziennie kąpie się w morzu i nigdy jeszcze nie współżył z kobietą. Miał długie do ramion włosy i zmierzwioną brodę. W czasie podróży usiłował przekonać Maksa, że Boga nie ma; wszystko jest naturą. Udawał się do Londynu na jakąś konferencję podobnie jak on myślących ludzi. Ale jeśli wszystko jest naturą, czemuż to ona płata takie figle? I kto stworzył ten świat, nappełnił morze masą wód, spiętrzył głązy na górach? I czemu bije serce? Czy jedna natura może mieć na pieczy tyle serc bijących jednocześnie?

Usłyszał dzwonek telefonu na korytarzu i był pewien, że to do niego. Po chwili pokojówka

zawołała:

— Do pana!

Podszedł do telefonu, dzwoniła Rejśl Korek.

— Maks — powiedziała — Szelke miał atak!

— Umarł?

— Nie, żyje. Przywieźli go do Warszawy, prosił, żeby go zanieśli do mnie.

— W takim razie wszystkie nasze plany biorą w łeb.

— Musisz okazać cierpliwość.

— Może mówić?

— Tak, pytał nawet o ciebie. Chcieli go brać do szpitala, ale się nie zgodził. Jeśli ma umrzeć — powiada — to tu, u mnie. Doktor dopiero co wyszedł. Miałam ci ja dzień! Usta mu wykrzywiło i ledwo można zrozumieć, co mówi. To już nie ten sam Szelke, Maks!

— Ma żonę.

— Siedzi w Michalinie, na wsi. Maks, chciałabym, żebyś do nas zaszedł.

— Kiedy? Dziś nie mogę.

— Trudno, przyjdź jutro. Nie spodziewałam się takiego nieszczęścia. Nawet nie telefonowali. Pukają, otwieram drzwi, a tu czterech drabów wtaszcza wyrko ze Szmulem. Żem na miejscu trupem ze strachu nie padła, będę chyba żyła wiecznie.

Maks był w nastroju do zjedzenia obiadu w towarzystwie i żałował, że nie zaprosił nań Teresy, było już jednak za późno, by to zmienić. Poszedł Nowym Światem i wstąpił do pierwszej napotkanej restauracji. Zamówił kapuśniak i sznycel po wiedeńsku.

Więc Szmula Śmietaną trafiła apopleksja. Czy Bóg uczynił to Rejśl dlatego, żeby nie mogła z nim wyjechać? Czy też ktoś doniósł Szmulowi, że jego dziewczyna nie była mu wierna, i to spowodowało udar? Maksowi nie pozostało nic innego jak tylko zajadać tę polską kapustę (smażoną najprawdopodobniej na słoninie) i dumać nad własnym losem.

Rozpostarł na stoliku kupioną tego ranka żydowską gazetę. Natychmiast doszły go pomruki i mamroty. Znajdujący się w restauracji Polacy obrzucili go gniewnymi spojrzeniami. Doleciało go słówko „Żydek”. Dla rabiego był gojem, dla tych zaś gojów Żydem. Nienawiścią przejmował ich widok żydowskiej gazety. Niech ich szlag trafi! „Jestem nietutejszy. Jestem Amerykaninem. Gówno mi mogą zrobić”. Zapalał miłością do tej żargonowej gazety, która przynosiła nowiny o Żydach oraz ich położeniu i na miazgę rozgniatała antysemitów.

Rozłożył gazetę na całym stoliku. „Jaki to mamy miesiąc? Czy dziewiąty Aw już przeszedł? — Przypomniał sobie trzy tygodnie żałoby, dziewięć dni, siedemnasty Tamuz. — W jakie dni

wypadają te święta? Muszę kupić żydowski kalendarz!” Potem uświadomił sobie, że ta gazeta nosić musi datę żydowską. Odwrócił tytułową stronę: był miesiąc Aw. Dziewiąty Aw już minął. Zbliżał się Elul. Za niecałe sześć tygodni Rosz-haszana.

Przez wszystkie te lata Maks jadał trefnie. Wcale nie było tak łatwo znaleźć w Buenos Aires koszerne mięso. A teraz wziął go nagle wstyd, że nie jadał koszerne. Skoro Żydów nienawidzą, można być i Żydem. Mimo to zjadł kotlet i zamówił deser.

Przemierzając bez celu ulice, zawędrował na Grzybowską, gdzie nabył żydowski kalendarz. Następnie wrócił do hotelu. Do spotkania z Teresą o ósmej pozostawało wciąż kilka godzin.

Zabrał się znowu do czytania żydowskiej gazety. Wśród ogłoszeń natknął się na jedno tej treści: „Do wynajęcia pokój z wszelkimi wygodami. Wyłącznie dla pana. Dzika 3”. Podany był numer telefonu.

„Może powinienem tam zadzwonić? — zastanawiał się. — Dlaczego chcą akurat mężczyzny? Pewnie mają córkę na wydaniu”. Wiedział, że postępuje głupio, mimo to wyszedł na korytarz i zadzwonił. Wszystko przez to, że jestem samotny — usprawiedliwiał się.

Usłyszawszy w słuchawce męski głos, zapytał:

— Czy u państwa jest pokój do wynajęcia?

— Tak, komorne wynosi dziewięć rubli na miesiąc.

Głos nie brzmiał szorstko, jednakże był nieco wątpy, jak u osoby starszej. Wymowa nie była warszawska, lecz prowincjonalna.

— Czy to ładny pokój? — zapytał Maks.

— Czy ładny? To salon. Ma dwa okna od ulicy i balkon. Dla kogo pan szuka pokoju, dla siebie?

— Tak.

— Przepraszam, a jaki pana zawód?

— Jestem cudzoziemcem. Dopiero przyjechałem z Ameryki.

— Z Ameryki? I zamierza pan tu osiąść?

— Nie, zostanę tu tylko parę tygodni.

— My szukamy kogoś na stałe, kogoś statecznego — rzekł tamten. — Przez trzy lata mieszkał u nas pewien kupiec, komiwojażer. Wciąż był w drodze, lecz teraz musiał wyjechać do Rosji. Szukamy właśnie takiego lokatora. Jakiejś przyzwoitej osoby. On stał się niemal członkiem rodziny.

— Ja mam rodzinę w Raszkowie — wyjaśnił Maks — lecz na parę tygodni muszę zatrzymać się w Warszawie.

— To nam nie odpowiada. Szukamy kogoś tutejszego, nie cudzoziemca.

— No cóż, szkoda. Dobrego lata życzę.

Już miał odwieszać słuchawkę, gdy doszły go odgłosy sprzeczki, po czym odezwał się w niej kobiecy głos:

— Proszę wybaczyć, mówi Paryżower. Mój mąż nie jest zorientowany w wynajmie pokoiów. Czego pan poszukuje? Czytał pan ogłoszenie?

— Tak, czytałem. Ale mąż pani — to pani mąż? — oświadczył, że poszukujecie kogoś tutejszego, kogoś na stałe, Jak to mówi przysłowie, jestem gość na chwilę.

— Gość jest mile widziany. Niezmiernie trudno będzie znaleźć kogoś takiego jak poprzedni lokator — młodego człowieka pełnego najlepszych zalet. Dzieci za nim przepadały. Ale, jak to mówią, nic nie trwa wiecznie. Otrzymał nagle inną posadę i musiał się wyprowadzić. Jak długo zamierza się pan zatrzymać w Warszawie?

— Kilka tygodni.

— Potem wraca pan do Ameryki?

— Do Argentyny.

— Tak czy owak, nie znajdziemy już nikogo na lato — stwierdziła kobieta po krótkim wahaniu. — Pan zajdzie. Będzie pan tu miał śliczny pokój. Lepszego pan nie znajdzie, nawet na Marszałkowskiej.

— Dobrze. Biorę dorożkę i zaraz jadę.

— Czekam na pana.

„Co ja wyczyniam? Na co mi to potrzebne?” — pytał sam siebie. Znał odpowiedź: tym sposobem uniknie samotności przez tych kilka godzin dzielących go od ósmej. Wziął dorożkę i pojechał Miodową, Długą, Nalewkami. Dom stał na rogu Dzikiej i Nowolipek. Zamożni ludzie tu najwidoczniej mieszkali. Na schodach było czysto, na drzwiach wisiały mosiężne tabliczki z nazwiskami lokatorów. Maks nacisnął dzwonek u drzwi Natana Paryżowera. Otworzyła mu kobieta pod pięćdziesiątkę, a może już po pięćdziesiątce. Pod jej lśnącymi, czarnymi oczami wisiały worki, miała białą cerę i zaczątek drugiego podbródka. Z regularności jej rysów można było poznać, że była niegdyś piękna. Objęła Maksa spojrzeniem od stóp do głów.

Pokazała mu pokój. Parkiet, łóżko, kanapa, biurko i zlew bez kranu. Wszystko błyszczało i lśniło. Oszklone drzwi otwierały się na balkon. Maks wyszedł przez nie i zapatrzył się na sklepy po przeciwnej stronie ulicy — delikatesy, sklepik korzenny, fryzjer, mała restauracyjka. Ulica roiła się przechodniami, samymi Żydami. Na brukowanych kocimi łbami jezdniach aż tłoczno było od dorożek i furmanek, co jakiś czas przejechała nawet ciężarówka. Przekrzykiwali się młodzieńcy, śmiały się dziewczyny. „Palestyna” — pomyślał Maks.

Zapragnął tu zostać. Ta ulica przypominała mu trochę żydowskie rewiry przy ulicy Corrientes w Buenos Aires. Lecz tutaj Żydzi nosili się po swojemu i słyszało się wyłącznie jeden język, jidysz.

A gdybym tak tu zamieszkał? „Mógłbym całymi dniami siedzieć na balkonie i patrzeć. Tylko że uprzykrzyłaby się samotność. Musiałbym mieć kogoś. Basię? Nie za żonę. Rejeł Korek? Nie w takim domu. Ci tutaj to inny rodzaj Żydów, nie półświatek, ale ludzie zacni”.

Stał i patrzył. Spory kawałek życia spędził wśród niższych warstw. Ilekroć próbował wywindować się w górę, coś na powrót strącało go na dół.

— Jak się panu podoba pokój? — zapytała pani Paryżower.

— Piękny — odrzekł.

— Gdzie pan obecnie mieszka?

— W hotelu „Bristol”.

— Ach tak? No, ale hotel to nie to samo co dom. Pan pozwoli, pokażę panu resztę mieszkania.

Zaprowadziła go do salonu, pokoju stołowego i sypialni. Do wszystkich futryn przytwierdzone były mezuzy w drewnianych futerałach. Głęboko zakorzeniona żydowskość przenikała ten dom.

Pojawiła się młoda dziewczyna w długiej, wąskiej sukni z rozcięciem z boku, zgodnym z nakazem aktualnej mody. Miała wielkie, czarne oczy, garbaty nos i wysoko osadzone piersi.

Matka zdawała się wręcz zażenowana brzydotą córki.

— To Ruzke — powiedziała — moja najmłodsza. Skończyła właśnie gimnazjum. Zna hebrajski.

— Mame, znów zaczynasz?

— A co ja takiego powiedziałam? Kosztowało to nas majątek, ale my pokładamy wiarę w wykształceniu. Pieniądze można stracić, ale wiedza w głowie zostaje. Pan słyszał o szkole Chawacelet?

— Chyba tak.

— Mamy jeszcze dwie córki. Jedna jest już zameżna. Zimą był ślub. Kosztowało nas to masę pieniędzy, ale, dzięki Bogu, dostała cudownego męża. Buchalter, do tego zna *Torę*. Druga córka ma posadę w sklepie na Miodowej. Obie chodziły do szkoły, ale cały wysiłek włożyliśmy w tę najmłodszą. Oby Bóg dał jej dobrego męża! Jedyńie tego pragniemy.

— Mame, ten pan ledwo wszedł, a ty już opowiadasz mu historię domu.

— Nu, on zamieszka u nas i stanie się członkiem rodziny. Co ja zresztą takiego powiedziałam? Rodzice chcą mieć pociechę ze swoich dzieci. Czy to źle?

— Nie, to nie jest źle — odrzekł Maks. — Na cóż innego mamy dzieci?

— Jak się pan nazywa?

— Maks Barabander.

— Czy ma pan dzieci, panie Barabander?

Milczał chwilę.

— Miałem żonę, miałem syna, lecz Bóg mi ich zabrał.

— Jakże to? Broń nas Boże od podobnego nieszczęścia. — I pani Paryżower załamała rękę.

— Nikt mi nie został. Dlatego tu przyjechałem. Miałem nadzieję, że taka podróż przyniesie mi ulgę.

— Gdzie pan mieszka?

— W Buenos Aires.

— Taki szmat drogi? Nu, to wielki świat. Cóż począć? Wszystkim rządzi przeznaczenie. Ale dokąd człowiek żyje, przecież się nie zabije. Jest pan młody. Pewnie się pan ożeni, doczeka się jeszcze dzieci.

— Słaba pociecha.

Dziewczyna o szalonych, czarnych oczach i garbatym nosie spytała:

— W Argentynie jest teraz zima, nieprawdaż?

— Tak, gdy tu jest lato, tam panuje zima.

— Ona wszystko wie. Studiuje książki, każdy szczegół. Kiedy chciałby się pan wprowadzić?

— Zapłacę pani za miesiąc z góry, a wprowadzę się nie wcześniej niż pojutrze.

— No cóż, jak pan chce. Po co mieszkać w „Bristolu”, kiedy ma pan pokój tutaj? Tam drogo.

— Oto pani dziesięć rubli.

Kobieta zerknęła na banknot i powiedziała:

— Niech będzie na mazel. Dużo pan ma rzeczy?

— Dwie walizki.

— Pan je tu przyniesie. Zajmiemy się panem jak własnym dzieckiem.

Gdy Maks za pięć ósma zbliżał się do „Bristolu”, Teresa już tam czekała. Poznał ją z daleka — wysoka, chuda, ubrana w prostą sukienkę i kapelusz z woalką, wydawała się znacznie starsza niż wtedy w mieszkaniu na Długiej. Niecierpliwiła się najwyraźniej, wciąż bowiem obracała głowę, to w lewo, to w prawo. Zauważył, że ma niezwykle długą szyję, co przywiodło mu na pamięć pewne egzotyczne ptaki z ogrodu zoologicznego. Dojrawszy go, zadrżała.

Podszedł do niej. Zdejmując kapelusz panama, pocałował rękę Teresy powyżej długiej rękawiczki.

— Dokąd moglibyśmy pójść? — zapytała.

— Niedaleko stąd jest kawiarnia. Zjemy tam kolację.

— Nie jestem głodna — powiedziała — ale chętnie wypiję filiżankę kawy. Wiem, że telefon do pana był z mojej strony nietaktem, znalazłam się jednak w trudnym położeniu, a tonący brzytwy się chwyta, jak mawiała moja matka.

— Co się stało?

— Usiądźmy, to porozmawiamy. Może uda się panu znaleźć stolik na uboczu, żeby nas nie słyszano. Tu w Warszawie wszyscy mnie naturalnie znają z seansów. Zamieszczano też moją fotografię w gazecie. Nie myślę jednak, aby mnie poznano. Jak pan wie, noszę krótkie włosy, a teraz przypięłam warkocz i zasłoniłam twarz.

— Istotnie, wygląda pani inaczej, starzej. Dobrze pani mówi po żydowsku. Myślałem, że pani mówi tylko po polsku.

— Mój ojciec był pobożnym Żydem, chasydem. Zamieszczamy ogłoszenia w żydowskiej gazecie, ja zaś codziennie czytuję „Hajnt” i „Moment”, a także polskie gazety, naturalnie.

— Jak to się stało, że została pani — jak to mówicie — medium?

— Wszystko panu opowiem. Wpierw jednak muszę się panu przyznać, że Bernard Szkolnikow nie jest moim bratem.

— Domyśliłem się tego.

— Jakimż sposobem?

— Och, jest niski, a pani wysoka i wygląda na starszego od pani o jakieś trzydzieści lat. To pani kochanek.

— Proszę, nie tak głośno. Ludzie słuchają. Gdzie ta kawiarnia?

— Tu, po drugiej stronie ulicy.

— To dobrze.

Znalazł ustronny stolik pod oknem. Poza jakimś polskim ziemianinem, który w przeciwległym kącie czytał przez lupę gazetę, nie było w kawiarni nikogo. Usiedli.

Natychmiast zjawiała się kelnerka. Ubrana w pąsową sukienkę, przepasana kusym fartuszkim z kokardą na boku. Wyglądała młodziutko, na jakieś osiemnaście lat, prosto ze wsi. „Jak śliweczka jeszcze operlona rosą — pomyślał. — Pewnie jeszcze nie zepsuta”.

Pokręciwszy głową, jakby mówiła: „mężczyźni, mężczyźni”, Teresa rzuciła mu spojrzenie zarazem oskarżycielskie i pełne zrozumienia. Zamówiła filiżankę kakao, a on bułkę, śledzia i omlet. Gdy kelnerka odeszła, powiedział:

— Filiżanka kakao nie da pani sił do wywoływania duchów.

— Niech pan sobie nie żartuje. Duchy istnieją

— Gdzie?

— Wszędzie.

— Pani je widziała?

— Tysiące razy.

— Jak one wyglądają?

— Och, wolałabym się nie wdawać w tego rodzaju rozmowę. Nie wyglądają jak umarli,

wyglądają jak żywi. Umarłych nie ma.

— Kogo się grzebie na cmentarzu?

— Kawalki gliny.

— Proszę mi o tym więcej opowiedzieć. Odkąd straciłem syna, dniami i nocami rozmyślam o tych sprawach.

— O tym nie można rozmawiać.

— Mój syn nie znał polskiego, a jednak podczas seansu mówił do mnie po polsku. Powiedział, że spotkał swoich dziadków. Gdzie ich spotkał?

— Nie wiem. Słyszę jakieś słowa i powtarzam je. Czasami nie słyszę nawet słów; odbieram jedynie pewne wrażenia. Duchy nie zawsze posługują się językiem. Przekazują nam jakieś posłanie i wie się, co zakomunikowały.

— Czemu nie skomunikują się ze mną?

— Nie wiem. Z darem do odbierania przesłań trzeba się urodzić. Pewnego razu wybrałam się do fryzjera, aby obciąć włosy. Źle się czuję z długimi włosami. Siedziałam na krześle, a fryzjerka stała nade mną z nożyczkami, kiedy nagle rozległo się stukanie. Brzmiało to tak, jakby ktoś walił młotkiem w to drewniane krzesło, tyle że ów dźwięk wydobywał się jakby ze mnie. Nie potrafię tego nawet opisać. Pukanie jest znakiem — jak by to wyrazić? — że ktoś wzywa mej uwagi. Zwykle takie rzeczy nie zdarzają się, gdy jestem poza domem. Ale tym razem owo kołatanie zabrzmiało na fryzjerskim krześle. „Nie wiem, kim pani jest — powiedziała do mnie fryzjerka — ale proszę mi wyświadczyć tę łaskę i pójść sobie. Boję się takich rzeczy”. Próbowałam zapłacić, nie chciała przyjąć pieniędzy. Wyrzuciła mnie po prostu za drzwi.

— Może udałoby się pani sprawić, żeby coś zastukało u mnie w domu. Ja pani nie wyrzucę.

— Niczego nie potrafię sprawić. Jeśli coś się zdarza, to się zdarza.

— Czego chciał ten duch? Ten, co pukał u fryzjera?

— Nie wiem. Tam u fryzjera kołatał tak, jakby gotów był zburzyć dom. Lecz gdy wróciłam do siebie, nie odezwał się więcej. Duchy są podobne do żywych. Miewają swoje humory i wyskoki.

— Gdzie one się podziewają? Co porabiają przez cały dzień?

— Nie wiem. Gdzieś przebywają, ale nie zdają mi z tego sprawy. Siedziałam któregoś razu w domu i cerowałam skarpetkę, kiedy nagle zobaczyłam jakieś wojsko, całą armię. Nie z naszych czasów, lecz z jakiejś innej epoki, sprzed tysięcy może lat. Żołnierze byli w zbrojach i nieśli włócznie. Niektórzy jechali konno, inni na rydwanach. Tysiące żołnierzy ciągnęło drogą, z końmi, osłami oraz innymi zwierzętami. Trwało około trzech kwadransów, zanim przeszli. Gdyby mnie pan zapytał, czy widziałam Rzymian, Egipcjan czy Greków, nie umiałabym odpowiedzieć. Na pewno nie byli to Żydzi.

— Chce pani powiedzieć, że dawno temu umarłe armie wciąż maszerują w niebie?

— Nie w niebie. Widziałam ich tu, na ziemi.

— Dokąd by się udawali? Na manewry?

— Nie wiem.

— Przyśniło się pani. To wszystko.

— Niech i tak będzie. Nie wzbogacę się, gdy mi pan uwierzy, ani nie zbiednieję, jeśli pan nie uwierzy.

— Proszę darować, ale z tego pani żyje.

— Nie jestem kaleką, potrafię zarobić na chleb. Aż tak brzydka też nie jestem. Mogłabym wyjść za mąż i być na utrzymaniu męża. Nigdy nie zamierzałam wykorzystywać tej mojej mocy dla celów praktycznych. Zatelefonowałam do pana, a pan wciąż nie wie, dlaczego. Nie przyszłam się przechwalać swoimi talentami. Moja sytuacja przedstawia się następująco: muszę wyjechać.

— Ton jej głosu zmienił się. — Bernard powiedział mi, że jest pan bogatym człowiekiem. Może mógłby mi pan pomóc? Nie pieniędzmi, ale pomóc mi wyrwać się stąd.

Zaległo milczenie. Teresa upiła łyk kakao.

— Dlaczego musi pani wyjechać?

— Bernard mnie praktycznie zniewolił. Tak to wygląda. To on odkrył we mnie tę siłę i pomógł mi ją rozwinąć, ale ja mu się już za to wypłaciłam. Bóg raczej wie ile razy. Poza tym on nikogo do mnie nie dopuszcza. Sprawa przedstawia się tak: Jest tu pewien człowiek, nazwiskiem Kluski, nie-Żyd, który również jest medium. Uczeń profesora Ochorowicza. Znalazłam się w rozterce. Na większości z tych, którzy przychodzą, by dowiedzieć się czegoś o kradzieży lub mężu, co się ulotnił, nie zarobiłoby się, jak to mówią, na szabat. Mamy jednego bogatego klienta, z bardzo znanej rodziny, księcia Sapię, który stracił żonę. Kochał ją namiętnie, do szaleństwa niemal, jeśli nie gorzej. Chodził najpierw do Kluskiego, który przekazywał mu od niej pozdrowienia. Lecz Sapię to nie wystarczało. Kiedy Kluski przyprowadził go do mnie, wiele razy w widzeniach oglądałam jego żonę, a nawet miałam wizje. Ale to go nie zadowalało. Krótko mówiąc, okazało się, że księżę pragnie nieosiągalnego — materializacji. Tak to nazywamy, gdy duch się ucieleśnia i ukazuje w ludzkiej postaci. Takie przypadki rzadko się zdarzają. Można je policzyć na palcach jednej ręki. Duchom niełatwo przychodzi przyoblekanie ciała. Ale Adam Sapięha nalegał. Pragnę być całkiem szczerą: w tym zawodzie niepodobna być do końca uczciwym, i to wyłącznie z winy klientów. Dla nich wieczór bez kontaktu to oszustwo; muszą zawsze dostać to, za co zapłacili. A dusza ludzka to nie urządzenie mechaniczne. Nie może pan po prostu podnieść słuchawki telefonu i wykręcić numer kogoś z tamtej strony. Ale ci, co uiścili swoje trzy ruble, tego właśnie żądają. Powstaje sytuacja, że gdy nie można powiedzieć im prawdy, trzeba ich nabierać. Większość ludzi zadowala się

kłamstwami. W gruncie rzeczy domaga się ich.

— Więc to nie był Arturo?

— Nie wiem. Czasami sama tego nie wiem. Nie wiem również, po co opowiadam panu to wszystko. Jest pan tu obcy i wkrótce pan wyjedzie. Co do mnie, nie mam się czego lękać. Rozmawiałam z profesorem Ochorowiczem. Poddał mnie próbie, odbył ze mną całą serię seansów i publicznie oświadczył, że posiadam nadzwyczajną moc. Stwierdził też, że żadne medium nie byłoby w stanie co wieczór wywoływać ducha żony księcia Sapiehy.

— I co pani zrobiła? Podszyla się pod jego żonę?

Podniosła na niego oczy.

— Tak, jak pan to zgadł?

— Och, było się kiedyś złodziejem. Wiem, jak nabić w butelkę frajera.

— Złodziejem? Gdzie?

— Tu, w Warszawie.

— Naprawdę? Wszystko zresztą możliwe. Przyszło do tego, że muszę ukazywać się księciu dwa razy w tygodniu. Sama rozmowa mu nie wystarcza. Obejmuje mnie, przytula, ściska, usiłuje się do mnie dobierać. To zaczyna wyglądać na prostytutkę i Bernard mnie do tego popycha. Oprócz tego, że sownie płaci, książę jest pijakiem i na wpół szaleńcem. Groził już, że zastrzeli Bernarda. Przystawiał mi nawet rewolwer do piersi. Uwierzyłyby pan, że zakochany mąż może grozić rewolwerem duchowi swej żony? Oto do czego może człowieka przywieść obłęd.

— On dobrze wie, że to pani, a nie jego żona.

— Tak, oczywiście, że tak, lecz chce być oszukiwany. Nie zdołam znieść tego dłużej. Muszę uciec. W przeciwnym razie będę musiała odebrać sobie życie.

Na dworze ściemniało się, zapłonęły elektryczne lampy. Przez otwarty lufcik wpadały ciepłe powiewy. Maks uświadomił sobie, że dni stają się coraz krótsze i już niedługo zacznie się miesiąc Elul, gdy nawet ryba drży w wodzie, a Żydzi odmawiają swoje pokutne modlitwy.

Teresa zgłodniała i Maks zamówił dla niej bułkę, śledzia i jajka. Przyglądał się jedzącej i myślał: „Nie może się karmić duchami; musi napchać sobie żołądek żarciem jak każdy inny. Czy nie nadałaby się do mojego planu?” — zastanowił się.

Teraz, gdy Szmul Śmietana zachorował, a Rejcl wzięła na wstrzymanie, cały projekt stawał pod znakiem zapytania. Cirele stracił, na Baŝce trzymała łapę Korek. Szmul mógł tak kwękać tygodniami, nawet latami. Maks skrzywił się i ściągnął brwi.

— Czy pragnie pani uciec od tego zbzikowanego panka, czy i od Szkolnikowa?

— Od wszystkiego i od wszystkich.

— A co pani zamierza robić w Argentynie? Wydać się za mąż?

— Cokolwiek, byle już bez współników.

— Nie kocha już pani Szkolnikowa?

— Jestem po prostu jego igraszką. Posługuje się mną, to wszystko. Wydaje mu się, że zjadł wszystkie rozумы, uwielbia udzielać rad. Słyszałam, co panu mówił o hipnotyzmie i komunikatach. On sam jest na wpół obłąkany; chodzi do neurologów. Taka jest prawda. Mnie również wpędził już w chorobę. Jeśli się od niego nie oderwę, skończę załamaniem nerwowym.

— Co mogę dla pani zrobić?

— O paszport zagraniczny nie mogę się ubiegać, bo gdyby się dowiedział, zrobiłby piekło. Popycha mnie w ramiona Sapiehy, a jednocześnie jest wściekle zazdrosny. Ile on ma lat, jak się panu zdaje?

— Wygląda na jakieś pięćdziesiąt.

— Pięćdziesiąt osiem. Muszę spakować węzełek i przekraść się przez granicę. Sądziłam, że pan będzie mógł mi pomóc.

— Przekroczenie granicy to fraszka. Lecz co potem? Czy ma pani jakieś pieniądze na pierwsze wydatki?

— Mam trochę pieniędzy. Ile by kosztowała podróż do Argentyny?

— Nie może się pani wysupłać do ostatniego grosza na okrętowy bilet. Gdy już pani tam dotrze, nie będzie pani mogła zacząć swojego interesu z duchami zaraz następnego dnia. Będzie pani musiała poznać ludzi. Kobieta w Argentynie nie może chodzić sama po ulicy. Policja pani nie ochroni, bo jeśli pani chodzi bez przyzwoitki, to znaczy, że jest pani prostytutką.

Podniosła wzrok znad talerza.

— Więc tam jest tak? A jak jest w Ameryce? Myślę o Nowym Jorku.

— Samotna kobieta wszędzie jak okręt bez steru.

— Właśnie dlatego Bernard ma taką władzę nade mną. Ja sama nie mogę zamieścić ogłoszenia w gazecie. Nie mogę nawet wynająć mieszkania na własną rękę. Jak długo jeszcze kobiety będą tak zniewolone? Słyszałam, że za granicą jest inaczej.

— A gdzie tam inaczej! W Londynie była demonstracja i jakaś kobieta chciała obalić ministra, ponieważ kobiety żądają równych praw, lecz to się na nic nie zdało. Jeśli nie towarzyszy pani mężczyzna, musi pani mieć przy sobie służącą albo matkę. Inaczej nie wpuszczą pani nawet do hotelu. A jak z tym jest u duchów? Czy kobiety mają tam równe prawa?

— Och, pan sobie ze mnie żartuje!

— Nie żartuję. Zadaję pytanie. Skoro duchy jedzą i mówią, to znaczy, że są jak ludzie. Mówiąc poważnie, w Argentynie jest gorzej niż tutaj. Są i tam jasnowidze. Wybrałem się kiedyś do takiej wróżki i przepowiedziała mi przyszłość. Ale to była staruszka, tamtejsza. Nie muszę pani mówić, że będzie pani musiała nauczyć się hiszpańskiego. Żydzi rzadko kiedy zwracają się do wróżbitów, a poza tym — bo to dużo tam pani ma Żydów? Musi pani znać hiszpański. W pani

fachu trzeba gości uwodzić słowami. Jakie pani zna języki poza żydowskim i polskim?

— Rosyjski.

— Żadnych innych?

— Żadnych.

— Gdziekolwiek by pani pojechała, musi się pani nauczyć języka. Musi pani umieć trajkotać jak katarynka. Słyszała pani kiedyś, jak szwargoczą Cyganichy?

— Proszę mnie z nimi nie porównywać. Przyszłam do pana w nadziei, że będzie pan mógł mi pomóc. A pan tymczasem odbiera mi ducha.

— Mówię pani prawdę. Chyba że pani chce, żebym ją oszukiwał.

— Nie muszę być medium.

— Cokolwiek pani zamierza robić, języka musi się pani nauczyć. W fabryce zarobi pani śmieszne grosze. W Argentynie Żydówki nie pracują. W Nowym Jorku jest inaczej. Może pani iść do pracy w fabryce jakiegoś znajomka lub gdzie indziej i nikt się do pani nie będzie przyczepiał. Byłem tam i znam to miasto. Ale są i złe strony. Będzie pani musiała być służącą u jakiejś „mys” — tak tam nazywają panie domu — i będzie pani spała w jednym pokoiczku z trzema innymi dziewczynami. Będzie pani harowała przez okrągły tydzień, a ledwie pani starczy na kawałek chleba. Będzie pani musiała jeździć do pracy pociągiem i wracać do domu pociągiem. W zimie będzie pani marzła, a latem dusiła się z gorąca.

— To znaczy, że nie ma dla mnie wyjścia.

— Musi pani zostać czyjaś żoną lub kochanką.

Teresa podniosła szklanke, jakby chciała się napić, po czym odstawiła ją z powrotem.

— Żeby zostać czyjaś żoną lub kochanką, musiałabym znaleźć tę osobę pociągającą. Nie mogę się sprzedać jak sztuka towaru na targu.

— Jedne mogą, inne nie mogą. U Turków mężczyzna kupuje sobie żonę i nikt tego nie uważa za grzech. Ojcowie sprzedają własne córki. Nasz przodek Jakub nabył Rachelę od Lubana za siedem lat służby i oszachrował go przy okazji.

— Nie mam ojca, co mógłby mnie sprzedać.

— Niech pani jedzie ze mną. Poszukuję kochanki.

Własne słowa wprawiły go w zakłopotanie. Przestraszył się, że Teresa go zwymyśla, lub nawet wstanie od stolika i odejdzie. Siedziała bez ruchu, ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w talerz.

Na dworze, parę metrów za oknem, zatrzymał się tramwaj, Kilku pasażerów wysiadło, inni wsiedli. Patrząc na nich zastanawiał się, czy wszystkie sprawy mają ułożone. Czy też są zagubieni jak on i Teresa? Zadzwieczał dzwonek i tramwaj potoczył się dalej. Styk pałaka z drutami zaiskrzył się elektrycznym rozbłyskiem.

Teresa podniosła głowę.

— Pan żartuje sobie ze mnie — powiedziała znowu.

— Nie żartuję. Mam żonę, która jest chora i na wpół szalona. Nie mogę z nią dłużej żyć.

— Z tego, co pan mówił Bernardowi, wynika, że z nikim nie może pan żyć.

— Owszem, gdybym miał kogoś, z kim mógłbym się zbliżyć. W moim wieku trudno biegać od jednej kobiety do drugiej. Szukam bliskiego związku, przyjaciółki.

„To jest akurat odwrotność całego mego planu” — pomyślał. Wywracał wszystko do góry nogami.

Siedział tam zdumiony własnymi słowami, a bardziej jeszcze tym, że Teresa go słucha. Przekonał się przez wszystkie te lata, że z jakkolwiek wariackim wystąpiłby pomysłem, ludzie go jednak słuchali. Oto teraz, ni mniej, ni więcej, zaproponował Teresie, żeby została jego kochanką, nie będąc nawet pewnym, czy ona mu się podoba. A jednocześnie bał się, że może mu odmówić. Czyżby to z jej powodu wynajął pokój u Paryżowerów? Był całkowicie zależny od swojego języka, swojego pana i losu.

Usłyszał, jak Teresa mówi:

— Zaledwie się znamy. Musielibyśmy się wprawdzie lepiej poznać.

— Poznamy się. To, co mi pani opowiedziała o sobie, bardzo mnie zajęło. Czy pani w ogóle kochała Bernarda Szkolnikowa?

— Och, jest o tyle ode mnie starszy. Odkrył moje zdolności, uczył mnie. Był mi nauczycielem i ojcem. Pochodzę z małego miasteczka w zachodniej Polsce. Nie mogło się inaczej skończyć. Zostałam jego kochanką.

— Dlaczego nie żoną?

— On ma żonę, a ona nie chce mu dać rozwodu.

— Stara historia.

— Ale jak długo to może trwać? On ma prawie sześćdziesiątkę, ja nie skończyłam nawet trzydziestu trzech. Zmusza mnie, żebym odgrywała tę całą maskaradę przed księciem Sapięgą. To znaczy, że i z jego strony nie ma już miłości. Chce mnie po prostu wykorzystać, sprzedać, a pieniądze zatrzymać dla siebie. Nigdy mi nie mówi, ile ich ma, choć pomogłam mu je zarobić. Nie daje mi nigdy więcej niż na jedzenie, czasem na jakąś sukienkę. Nie życzę mu źle, ale co bym zrobiła, gdyby mu się coś przytrafiło? Jego żona by mnie przegnała. Raz już zachorował i było z nim krucho. Dzięki Bogu wyzdrowiał. Opiekowałam się nim dzień i noc. A doniesiono mi, że jego żona przysyłała, żeby się dowiedzieć, jak z nim jest.

— Nie sporządził testamentu?

— Ośmieliłam się nawet kiedyś o tym wspomnieć, a on mnie uderzył.

— No, tak.

— Po prostu muszę uciec. Jeśli od niego nie ucieknę, sprowadzi mnie z powrotem. Już taki jest.

— Innymi słowy, on panią zahipnotyzował.

— Kamień potrafi poruszyć.

— Może pani go kocha?

— Jeśli nawet, muszę uciekać.

— Niech pani przyjedzie do mnie. Też mam żonę. Ale przepiszę na panią dom lub co pani tylko chce. Zgodzę dla pani nauczyciela i nauczy się pani hiszpańskiego. To nie jest trudny język. Otworzy pani salon i pieniądze będą płynęły do pani, nie do mnie. Mnie pani pieniądze niepotrzebne.

— A co na to powie pańska żona?

— Nie będzie miała nic do gadania. W Argentynie wszyscy mają utrzymanki, nawet księża. Takie kobiety otoczone są szacunkiem. Zostałem bez dziecka, a chciałbym, żeby syn odmówił po mnie kadysz. Komu zostawię majątek? Pani jest jeszcze młoda i z pewnością chciałaby mieć dziecko.

— Tak, kocham dzieci. Póki żyjemy ze sobą jako brat i siostra — przedstawia mnie każdemu jako swoją siostrę — nie może być mowy o dziecku. Dwa razy zachodziłam w ciążę i musiałam chodzić do babki na skrobankę. Za drugim razem dostałam krwotoku i mało co nie umarłam.

— To nie jest życie dla młodej kobiety.

Zapanowała cisza. Na przystanku znowu stanął tramwaj, zupełnie pusty. Dziwne.

— Kiedy pan wyjeżdża? — zapytała Teresa.

— Choćby jutro. Nic mnie tu nie trzyma. Narobiło się trochę głupstw. Jest tylko jedna rzecz, którą chciałbym jeszcze zrobić — odwiedzić małe miasteczko, z którego pochodzę. Raszków się nazywa. Mam tam krewnych i chciałbym ich zobaczyć. Przygnała mnie tu tęsknota za Warszawą. Może dlatego, że było mi pisane panią spotkać. Chce pani, niech pani spakuje parę rzeczy, albo i nic nie pakuje, nie dbam o to. Pojedziemy razem do Raszkowa, a stamtąd ku granicy.

— Przebiega przez Raszków?

— Niedaleko stamtąd.

— I co bym tam robiła?

— Poczekaj pani na mnie parę dni. Prawdę mówiąc, nie pojechałem tam, bo podróżując w pojedynkę czuję się samotny. Odkąd umarł mi syn, ani na minutę nie mogę zostać sam. Pograżony jestem w melancholii i chciałbym się już z niej wydobyć.

— Aż tak bardzo go pan kochał?

— Nie wiem, czy aż tak go kochałem. Wszystko stało się puste, przeraźliwie puste. Czy pani wierzy, że umarli żyją?

— Albo umarli żyją, albo żywi są umarłymi.

— No, ciekawa z pani dziewczyna. Czuję, że mógłbym być z panią szczęśliwy.

Do jakich wariactw zdolny jest człowiek?” — zadawał sobie pytanie. Zapłacił dziesięć rubli za pokój na Dzikiej, a wciąż mieszkał w „Bristolu”. Teresa była gotowa jechać z nim w świat. Oświadczyła z całą prostotą, że będzie mu towarzyszyła, dokądkolwiek zechce się udać. Ale jego paszport miała Rejcl Korek. Telefonował do niej po parę razy dziennie. Albo w ogóle nie odpowiadała, albo, jeśli już podniosła słuchawkę, tłumaczyła: „Nie mogę teraz lecieć do tego fałszerza. Nie zostawię chorego człowieka samego”.

Maks chodził tam i z powrotem po pokoju. Po co oddawał paszport jakiejś kurwie z Krochmalnej? Czy ma zawiadomić policję, przystawić tej dziwce rewolwer do piersi? Miała tych swoich zbirów. Poturbują go i dostanie się do aresztu. Jest tu gdzieś na pewno konsul argentyński, ale jak wytłumaczyć, że oddał komuś swój paszport? Nie ma co, wpakował się w ładną kabałę.

Próbował dzwonić do Basi, ale odebrała telefon jej pani i z wrzaskiem: „Baśka jest zajęta!” trzasnęła słuchawką.

„Zasłużyłem na cięgi — przyznał w duchu. — Zasłużyłem sobie na wszystko, co mnie spotyka. Rabi mnie przeklął”.

Bez paszportu nie mógł nawet jechać do Raszkowa. Żandarmi wchodzą do kolejowego przedziału i każą ci okazać paszport. Nie masz go, aresztują cię i ześlą etapem na Syberię.

Jako urodzony w Raszkowie mógłby tam uzyskać świadectwo urodzenia potrzebne do wyrobienia nowego paszportu, ale jak się dostać do Raszkowa?

„Zastrzelę ją. Zastrzelę, a potem sobie w łeb palnę” — postanowił. Wszystko lepsze od gnicia w kryminale.

Znowu wyszedł na korytarz i zatelefonował do Rejcl. Odebrał jakiś mężczyzna o chrapliwym głosie.

— Czy to mieszkanie Rejcl Korek?

— Tak, czego pan sobie życzy?

— Muszę z nią mówić.

— Pan się nazywa?

— Maks Barabander.

— Barabander, he? Zaczekaj pan.

Poszedł zawołać Rejcl, lecz gdy minęło pięć minut i nikt nie podchodził do telefonu, Maks odwiesił słuchawkę. Kiedy zadzwonił ponownie, nikt nie odpowiadał. Wykręcił numer po raz trzeci i czwarty, bez powodzenia. Czyżby Rejcl dowiedziała się o jego spotkaniu z Teresą? Czyżby posłała za nim szpiegów? Czy po prostu potrzebowała jego paszportu do swoich machlojek?

„Zastrzelić to mało. Obedrę ją żywcem ze skóry. Szczęśliwa będzie, gdy wreszcie z nią skończę”.

Od lat już nie wrzał taką złością. Jego chłopięce fantazje, krążące wokół strzelania, bicia, sztyletowania, wygasły. Odkąd dorósł, oddawał się wyłącznie myślom o kobietach, własnym zdrowiu, uzdrowiskach i hydroterapii. A teraz z gniewu gotowała się w nim krew. Otworzył walizkę, wyjął rewolwer i policzył kule.

„Nie, muszę kupić nóż” — zdecydował. Dostanie go w straganach na rynku albo u przekupnia za Żelazną Bramą, gdzie mógł rozmówić się po żydowsku.

„No cóż, takie moje szczęście” — pomyślał. Przypomniał sobie swój więzienny sen, w którym więźniowie wpatrują się w niego w milczeniu. Ten majak senny zawsze go przerażał. Budził się po nim z uczuciem dziwnej zawsze ociężałości i z przeświadczeniem, że ukazane mu zostały zamiary boże jak we śnie egipskiego faraona. „Jak miał na imię ten przełożony nad piekarzami, któremu Józef wyłożył jego sny?” — zapytał sam siebie, mając w pamięci słowa: „A ptacy będą obierać ciało twoje”. Ujrzał tę scenę tak, jak wyobrażał ją sobie w chederze — mroczny loch, długowłose Józef w podartej koszuli, przełożony piwnicznych i przełożony nad piekarzami.

„Wspomni Pharaon na posługi twoje i przywróci cię ku pierwszemu stanowi...”

„Weźmie Pharaon gardło twoje i zawiesi cię na krzyżu”.

Dotąd pamiętał egzegetyczną wykładnię tego tekstu w *Torze*: „Ja zaś, przyszedłszy z Padanaram...” „A choć włożyłem na twe barki brzemię mojego pochówku, acz nie uczyniłem tego dla twojej matki Racheli... Zostało jeszcze małe poletko do zaorania... Ziemia pełna była dziur jak sito...” Próbował przypomnieć sobie dalsze słowa, ale nic więcej nie pamiętał. Zachowała się tylko ich melodia.

„Jak się nazywał mój nauczyciel? Iczele Chęciner. Ile to już lat temu? No cóż, nieważne, jestem zgubiony, zgubiony. Nie ucieknę przeznaczeniu”. Wsadził rewolwer do kieszeni. Zszedł na dół i zostawił klucz u recepcjonisty. Pożegnał się w myślach z hotelem, z recepcjonistą i resztą personelu. „Wieczorem będę leżał gdzieś martwy. Wybacz mi, Ruchele; wybacz, Cirele; wybacz mi, rabi. Zasłużyłem sobie na to wszystko, mam tylko nadzieję, że pochowają mnie na kirkucie”. Poszedł pieszo przez plac Teatralny. Senatorską i plac Bankowy. Zegar na ratuszu wskazywał dziesięć po drugiej. Na wieży, tak wysoko, aż trzeba było zadzierać głowę, majaczyła mała figurka strażaka, przeprowadzającego inspekcję budynku. Ku operze zmierzał otwarty furgon z teatralnymi dekoracjami, które przedstawiały malowane domy, ogród, jezioro i łabędzie.

Na plac Bankowy wjechała przez Żelazną Bramę karetka przewożąca pieniądze. Konwojowało ją dwóch uzbrojonych strażników. Maks przyjrzał się im, a oni jemu. „Co by się stało, gdybym wyciągnął rewolwer i zastrzelił obu? Złapaliby mnie, na ulicy pełno policji. Nu,

durne myśli. To bez wątpienia ojcowie dzieciom”.

Z Przechodniej wyszedł pod kolumnami Wielopola, rozbrzmiewającego krzykiem straganiarek: „Guziki, igły, powłoczki, resztki!” Nikt jednakże nie sprzedawał noży.

„Gdzie też w Warszawie można dostać nóż?” — zastanawiał się. Nie pozwolił, by Rejcl umarła lekką śmiercią. Skręcił na plac Mirowski, kierując się ku straganom. Można tu było dostać wszystko, nawet morskie ryby. Ujrzał osełki masła, najrozmaitsze gatunki serów, jabłka w licznych odmianach, gruszki, śliwki, daktyle, figi, chałwę tudzież wołowinę, kurczaki, kaczki, indyki. A to co? Bażanty, zające, lecz noży ani śladu.

„Boże, co się ze mną dzieje? Może jeszcze nie jest za późno, by znaleźć jakieś wyjście. Pójdę na policję i wszystko im opowiem. Za zgubienie paszportu przecież nie powieszają. Wyślę telegram do Rucheł i każę jej przyjechać. Ona mnie wyratuje”.

Przystanął na chwilę. Między dwa stragany wcisnęły się stoliki, zastawione garnkami, fajansem i porcelaną. Na jednym z nich zobaczył noże, zwykłe kuchenne noże z drewnianymi trzonkami, matowymi jak drewno. Wybrał najlepszy z nich i zapłacił. Pociągnął paznokciem po ostrzu jak szojchet badający swój rzeźnicki nóż.

Zastanawiający zbieg okoliczności, ale o parę kroków dalej ujrzał sędziwego goja z toczydłem do ostrzenia noży. Starzec miał białe bokobrody i zapadnięte policzki, a na głowie niebieską czapkę z błyszczącym daszkiem. Maks zatrzymał go i podał mu nóż. Zapomniał, jak będzie po polsku „naostrzyć”, pokazał to zatem na migi. Stary wtoczył swą maszynę na chodnik i począł ostrzyć na brusie nóż. Posypały się iskry, a szlifierz co jakiś czas macał ostrze.

„Czy tak się zabiera człowiek do popełnienia morderstwa? Wydurniam się po prostu” — osądził w duchu Maks. Dał staremu dwadzieścia groszy, a gdy tamten chciał wydać mu resztę, machnął ręką.

Ruszył w stronę Ciepłej, mijając koszary Pułku Wolskiego. Z dziedzińca dochodziły odgłosy musztry. Jeden z żołnierzy paradował konno. Maks przystanął i zaczął się przyglądać. Nurtowało go uczucie, że kiedyś już to przeżył. Na jawie czy we śnie? Wszystko zdawało mu się znajome: szlifierz noży, jednooka przekupka, która sprzedała mu nóż, feldfebel jeżdżący wkoło na koniu, kapral czy inny podoficer z trzema naszywkami wywrzaskujący po rosyjsku komendy. Z daleka wszyscy żołnierze wyglądali jednakowo, przypominali drewniane kukły. Ich bagnety polśniewały w słońcu. Spod końskich kopyt wzbijał się kurz.

Uczą się, jak zabijać ludzi. Zdaje się, że człowiek musi zabijać. Wcześniej czy później ludzie stają się tak nikczemni, że muszą być wytraceni. Znów ogarnęła go wściekłość. „Jak mi nie odda paszportu, zakatrupię. Nie będzie robiła ze mnie durnia. Życie tak czy siak mi już zbrzydło”.

Doszedł do rogu Krochmalnej i skierował się ku bramie pod dwudziestym trzecim. Jeszcze nie jest za późno, żeby zawrócić — odezwał się w nim jakiś głos.

Wszedł po schodach do mieszkania Rejcl Korek. Zapukał, nikt nie odpowiadał. Pchnął drzwi, a te się otwały. Przeszedł przez korytarz i pokój stołowy. Otworzył jakieś drzwi i stanął przed siedzącym na łóżku, opartym o trzy poduszki, ubranym w kasztanowy szlafrok Szmulem Śmietaną. Usta chorego były wykrzywione, pod oczami wisiały mu sine worki. Wydał się wyjątkowo ociężały i wzdęty.

Przez chwilę przypatrywał się Maksowi spod gęstych brwi, po czym powiedział:

— Nu, wejdz pan.

— Rejcl nie ma?

— Wyszła na zakupy. Służąca ma wolne. Jakesz pan tu wszedł? Drzwi są otwarte?

— Nie były zamknięte.

— Nu, chodź pan. Słyszałeś pan, co mnie trafiło.

— Tak, widzę. Takie rzeczy mijają.

— Tak pan mówisz? Byłem silny i zdrowy jak rydz. Naraz coś się we mnie zatelepało i czarno mnie się zrobiło przed oczami. Wykopyrtnąłem się na środku ulicy, wśród wszystkich tych fur i ciężarówek. Jakem się ocknął, leżałem już w szpitalu.

— Zdarza się. Nie wygląda pan źle.

— Przeżyłem sześćdziesiąt lat i ani razu nie byłem u lekarza. Pan patrzy na moją jadaczkę — wykrzywiona.

— Wyprostuje się.

— Nie chciałem zostać w szpitalu, nie znoszę szpitali. Na łóżku obok kojfnął jeden facet. Jak człowiek się ma wylizać, kiedy mu drugi kituje pod bokiem? Zajrzało do mnie paru chłopaków z ferajny, to im mówię: „Nie zostanę się w Łodzi. We Warszawie żyłem, we Warszawie umrę”. Przytachali składane łóżko i zataszczyli mnie na pociąg. Rejcl nic o niczym nie wiedziała. Otwiera drzwi, a tu ja leżę. Jak wrzasła, tobyś ją pan usłyszał o przecznicę stąd.

— Zajmuje się panem?

— A kto by się miał mną zajmować, jak nie ona? Wyciągłem ją z rynsztoka i zrobiłem królową. Jakby nie ja, dotąd by w nim gniła. Moja żonka siedzi gdzieś w Michalinie, na wsi, niech ją diabli porwą. Latami ciągnie pan ten wózek, póki się pan nie wykopyrtnie. Jak człowiek prowadzi dwa domy, nie zaoszczędzi. Rubelki same mnie lgnęły do palców i wszystko było cacy, póki zdrówko dopisywało. Jak nie będę mógł pójść do knajpy z kim trzeba, nikt do mnie sam nie przyjdzie.

— Może mógłbym panu pomóc.

— Pomóc? W czym?

— Mógłbym pożyczyć panu pieniądze.

— A po co pan miałbyś to robić? Pan tu nie zostajesz, pan stąd wyjeżdżasz. Gdybyś pan miał

zostać w Warszawie...

— Nie wyjeżdżam. Kiedy się pan pozbiera, zwróci mi pan.

— Patrzcie no! Moja chewra położyła na mnie lachę, a tu zjawia się nocher z drugiego świata i chce mnie borgować gelt. W dzisiejszych czasach człowiek wart jest mniej niż ta mucha. Żyje, żyje, a za chwilę już ziemię gryzie.

— Pan będzie żył i dobrze się miał.

— Nu, może. Rejcl ma forse. Odłożyła sobie ładną sumkę. Lecz ja nie mam ochoty wyciągać po to ręki. Jak to jest w tym powiedzonku? Kto lubi brać, nie lubi dawać. Mężczyzna flaki z siebie wypruje i nawet „dziękuję” nie usłyszy. Ale jeśli potrzebujesz czego od kobiety, lepiej się do grobu położyć.

— Pożyczę panu pieniędzy. Dla mnie jest pan godny zaufania.

— Inaczej kiedyś bywało. Jakem ja przyszedł na Krochmalną, dziewczyny rozsyłano po całym świecie jak bydło. Zbałamucili taką, już zostawała się kurwą. Jak dziewczyna nie była dziewicą, miała poważne kłopoty. Dziś jedne się sprzedają, inne chcą obalać cara. Jakkolwiek by patrzeć, nie jest już tak, jak było. Ona się z panem spiknęła, he?

Maks milczał przez chwilę.

— Spiknęła? Ależ skąd!

— A co by nie? Mówiła, że ma na pana chrapkę.

— Więc nie jest panu wierna?

Szmul Śmietana odczekał trochę, jego usta wykrzywiły się jeszcze bardziej.

— Czego się pan możesz po takiej spodziewać? To flirciara. Moja matka była cnotliwą Żydówką. Ojca wzięli na pięć lat do rosyjskiej armii, a ona pozostała mu wierna jak pierwszego dnia. Obszywała go i posyłała mu forse do pułku. Dzisiaj to jedna hołota. W Jom Kippur idą do bożnicy, a na drugi dzień hulaj dusza. Może na tamtym świecie dowiemy się prawdy.

— A bo to jest tamten świat?

— Coś musi być.

Szmul Śmietana zamknął oczy i nagle zachrapał. Zasnął. Maks po chwili wstał i począł się rozglądać. W stołowym postanowił zajrzeć do kredensu. Leżał tam jego paszport! Maks ze zdumienia stanął jak wryty. Przez chwilę przerzucał kartki, po czym wsunął paszport do wewnętrznej kieszeni marynarki. „Cud! — zawołał w nim jakiś głos. — Nie było mi sądzone zabijać istoty ludzkiej”. Pojął teraz jasno, że całe to gadanie o fałszerzu i kopiach było jednym kłamstwem. Rejcl zabrała mu paszport, żeby go mieć zakładnikiem. Tylko dlaczego zostawiła tę książeczkę w kredensie? Był zdruzgotany; ci tam w niebie nie pozwolą mu zginąć. Nie zasłużył sobie na to, a jednak anioł stróż czuwał nad nim. Jak najprędzej opuścić to mieszkanie i odetchnąć świeżym powietrzem.

W bramie zobaczył Rejca, nadchodzącą z koszykiem sprawunków — kurczakiem, główką kapusty, kartoflami, pomidorami. Na jego widok zamarła w bezruchu.

— Byłeś na górze? — zapytała.

— Przyszedłem zajrzeć, jak się miewa Szmul.

— A jakże się miewa? Dlaczegoś nie zadzwonił, że przyjdiesz?

— Dzwoniłem, odebrał jakiś mężczyzna, powiedział, że zaraz cię zawoła, i zostawił mnie tak przy aparacie.

— Kto by taki? Co ty gadasz? Nikt tu do nas nie zagląda — chyba że to był Menasze, golarz Szmula.

— Co z moim paszportem? — zapytał surowo.

— Czekaj, niech no postawię ten koszyk. Waży ze sto funtów. Dałam twój paszport temu fałszerzowi, ale on jest potwornie zajęty i wciąż odwleka. Nie mam czasu do niego latać, kiedy Szmelke jest w takim stanie. A na co tobie potrzebny paszport? Chcesz wyjechać?

— Niewykluczone.

— I zostawisz mnie, żebym się tu zaharowała?

— No to co? Uwiodłem cię to? Byłaś małą niewinną prawiczką?

Spojrzała na niego na wpół błagalnie, na wpół wyzywająco.

— Już ci nie jestem potrzebna?

— Przede wszystkim oddaj mi paszport; potem pogadamy.

— Jest u tego fałszerza, nie u mnie.

— Gdzie on mieszka? Sam tam pójde.

— Nie będzie chciał z tobą gadać.

— To znaczy, że mam tkwić w Warszawie, dokąd ty się nie zbierzesz.

— Maks, co cię ugryzło?

— A to, żeś świnią, suka. Zakatrupić taką to spełnić dobry uczynek. Ale ciebie nie dość zabić, za wielki zaszczyt dla ciebie. Ciebie się powinno rozgnieść jak pluskwę.

— Maks, czyś ty rozum postradał?

— Dziwka, suka, nędzna kłamczucha! Stracił panowanie nad sobą. Wyciął jej siarczysty policzek. Omal się nogami nie nakryła.

— Co ty wyprawiasz, Maks?

— Tu jest mój paszport.

Wyrwał go z kieszeni i machnął jej przed nosem. Oczy Rejca wezbrały śmiechem i bólem.

— Zaglądałeś mi do kredensu?

— Leżał tam sobie najzwyczajniej w świecie. Cały ten geszeft z fałszerzem to jedna wielka lipa. Kłamczucha, złodziejka, oszustka, pijawka! Wybiła twoja godzina. Zatłukę Jak psa.

I zacisnął pięść.

— Nie rób głupstw, Maks — w jej ściszym głosie zadźwięczała przestroga. — Tylko mnie tknij, a cała ulica się zleci, żeby się za mną ująć.

— Kto, te twoje alfonsy?

— Kiedy stąd odejdziesz, nie będziesz miał w ciele ani jednej całej kosteczki.

— Niech cię szlag trafi! — I splunął na jej czoło.

Otarła ślinę rękawem.

— Powinieneś się wstydić, Maks.

— Ja się mam wstydić? Dlaczego schowała mój paszport, kiedy o niego prosiłem?

— Miałam go już nieść do tego fałszerza, kiedy Szmula trafiła apopleksja. Maks, mój drogi, czemu my stoimy w bramie? Ludzie się zaraz zlecą. Chodź na górę, porozmawiamy jak ludzkie istoty.

— Ty ludzką istotą? Jesteś nędzniejsza od robaka. Człowiek brzydziłby się nawet nadepnąć na ciebie.

— Jestem, jaka jestem. Nie przedstawiałam ci się jako rabinowa. To ty latasz po rabinach, nie ja. Przyszedłeś do mnie i byłam z tobą szczerą. Nie moja wina, że zachciało ci się zostać szanownym panem. Porozumieliśmy się, zgadali i myślałam, że sprawy się ułożą. Szmul i tak już ledwie zipał, a teraz z nim szlus. Ja przytułku u siebie nie prowadzę. Prosta sprawa. Zaczekasz parę dni, jestem twoja i możesz ze mną robić, co chcesz. Nie miałam zamiaru zabierać ci paszportu. Na co mi on? Mogę mieć tysiąc takich paszportów, nie tylko ten jeden. W nocy przysięgałeś na duszę swojego syna, że mnie kochasz.

— Nie przysięgałem na niczyją duszę, ty kłamczucho, nabieraczko, ty kanciaro!

— Przysięgałeś! Nie zmyślam. Zbałamuciłeś pewnie inną i chcesz z nią wiać. Nie będę cię zatrzymywała. Maksele. Nie potrafię i nie chcę. Nie musisz stać tu i obrzucać mnie wyzwiskami. Chcesz jechać, jedź w pokoju i szczęśliwej drogi. Jeśli zechcę się zobaczyć z moją siostrą w Argentynie, zajadę tam i bez ciebie. Stać mnie na opłacenie podróży. Na tej ulicy wszyscy za mną ciekają. Taka jest prawda. Mogłabym mieć dziewiętnastoletniego chłopca albo nie nazywam się Rejchl. Byłaby z nas dobrana para, ale żeś mnie teraz uderzył, niczego się dobrego po tobie nie mogę spodziewać.

— A co miałem zrobić? Ucałować cię?

— Dlaczego nie? Wejdz na górę i zrobisz ze mną, co zechcesz. Pozbędę się go jak nie dziś, to jutro, i cały świat stanie przed nami otworem. Zabierzemy ze sobą Basię i będzie nam za służącą.

— Dlaczego unikała spotkania ze mną? — zapytał, zaskoczony własnymi słowami.

— Bo ty już sam nie wiesz, co się z tobą dzieje. Wszystko robisz bez pomysłu. Baśka

wróciła w szabas do domu pólżywa. Starzy nie wypuszczą jej teraz za próg. Nie powinienes tak postępować, Maksele. Ty mnie bardziej potrzebujesz niż ja ciebie.

— Potrzebna mi jesteś jak dziura w moście.

— No to idź i niech cię Bóg wspomaga.

Przez chwilę stali oboje nieruchomo. Rejcl spojrzala na swój koszyk. Maks wahał się przez moment.

— Nie byłaś wierna Szmulowi. Wszystko, coś mówiła, było stekiem kłamstw — powiedział.

— Skąd wiesz, że nie byłam mu wierna? Od trzech lat nie jest już mężczyzną.

— Ale ty pozostałaś kobietą, co?

— Myślę, że nawet w grobie pozostanę kobietą.

— I truposze będą się do ciebie złościć, hę?

— Tymczasem chcę żywego.

Podniosła koszyk. Patrzył, jak wchodzi do sieni, po czym powlókł się za nią.

— Daj mi ten koszyk.

Oczy Rejcl rozbłysły.

— Taki to z ciebie kawaler? Chodź, zrobię ci kawy.

Podążył za nią, myśląc: „Tak wół idzie na rzeź”. Poczul jakąś wielką ociążałość. „No cóż, w gruncie rzeczy wcale nie jestem od niej lepszy” — przyznał w duchu. Zmacał wewnętrzną kieszeń marynarki. „Wszystko inne zgoda, ale nie dotknie się już ona więcej mojego paszportu”. Siadł w kuchni na ławce. Rejcl postawiła koszyk na podłodze.

— Zaczekaj, zobaczę, co z nim.

Wyszła i długo nie wracała. Maks wyjął pióro i zaczął pisać liczby w notesie. Już tydzień nie dokonywał obrachunku swoich wydatków. „Skoro po tym, co zaszło, znowu się do niej przywlokłem, to znaczy, że nie mam za grosz charakteru — zawyrokował w myślach. — Jestem po prostu szmata. Po czorta wynajmowałem ten pokój na Dzikiej? Jestem zwyczajnie szurnięty”.

Wróciła Rejcl.

— Śpi.

— Co chcesz zrobić? — zapytał.

— Już ty wiesz, co. — Puściła do niego oko.

„Nie ma na całym świecie podlejszej istoty” — ocenił w duchu. Otworzyła drzwi do sypialni, której wcześniej nie oglądał. Jej oczy patrzyły kusząco.

— Mógłby się obudzić — rzekł.

— Nie może chodzić.

— Nie, Rejcl, nie chcę.

— Nie bądź durniem.

— Tak samo postąpisz ze mną.

— Nie, Maks, ty jesteś mężczyzną.

Objął ją, a ona przytuliła się do niego. Budziła w nim zarazem żądzę i nienawiść. Zadzwoił telefon. Rejcl pokręciła głową na znak, że nie odbierze.

Ktoś zapukał do drzwi i nacisnął dzwonek.

— Po czorta tyle rabanu? — zapytała, a jej twarz stanęła w ogniach, gdy go pół całowała, pół gryzła. — Wyjedziemy razem, Maks?

— Dobrze, ty gałganico.

— Nie nazywaj mnie tak. Będę ci wierna.

Upadła na łóżko, ściągając go na siebie. Materac zadudnił głucho. Zdarła z Maksa marynarkę, mocowała się z jego spodniami, z szelkami. Z kieszonki kamizelki wypadły mu okulary do czytania. Nagle huknął strzał i Rejcl krzyknęła. Poczul swąd prochu. Rejcl spadła z łóżka, porwała się na nogi i zataczając się wybiegła z pokoju, wrzeszcząc jak opętana:

— Zastrzelił mnie! Zastrzelił!

Maks zobaczył krew na podłodze. Wstał i zapatrzył się w nią. „No i stało się, stało się!” — rzekł do siebie. Usłyszał wrzask Rejcl: „Ratunku, policja! Na pomoc! Ratunku!” Doszedł go stłumiony krzyk Szmula Śmietany i jakiś hałas z podwórka. Nie próbował uciekać. Wsunął rękę do kieszeni i poczul rozgrzany metal rewolweru. Spozstrzegł osmaloną dziurę w kieszeni i uświadomił sobie, że może to świadczyć o tym, iż nie strzelił do Rejcl umyślnie.

Chciał wyjąć rewolwer z kieszeni, ale czemuś bał się usunąć to narzędzie zbrodni. Przypomniął sobie o nożu. Jeżeli znajdą nóż w wewnętrznej kieszeni jego marynarki, będzie to dowód, że przybył tu z zamiarem popełnienia morderstwa. Należało myśleć szybko, uczynić coś dla ratowania siebie, tymczasem on był w środku otepiały i obojętny. „Rabi mnie przeklął!” Głowa mu ciążyła, stopy miał jak spętane. Jego złośliwy wewnętrzny wróg odniósł zwycięstwo. Zapomniął na chwilę, co zamierzał zrobić, następnie sobie przypomniał. Schylił się, żeby podnieść z podłogi marynarkę, w tymże jednak momencie drzwi otworzyły się i do pokoju wpadli policjant, stróż i jeszcze jakiś mężczyzna. Stójkowy wyciągnął szablę z pochwy i huknął:

— Ręce do góry!

Maks podniósł ręce.

Karetką policyjną zawieziono go do więzienia. Wszystko przebiegało dokładnie tak jak w tym śnie, który tak często powracał. Maks wstępował po żelaznych schodach, otworzyły się jakieś ciężkie drzwi i wszedł do pomieszczenia o szarych ścianach, z rzędami drewnianych prycz na środku. Okratowane, osłonięte drucianą siatką okna wpuszczały skąpe światło. W półmroku

stali mężczyźni w szarych kurtkach i szarych spodniach. Nawet ich twarze były szare. Wpatrywali się w niego w milczeniu. Wszystko to od początku było mu pisane. Ogarnęło go uczucie nabożnego lęku. On, Maks, przyjechał do Warszawy i narobił tyle głupstw w jednym jedynym celu, by spełnił się jego sen.

# SŁOWNIK

**Aw** — nazwa piątego w kolejności miesiąca w kalendarzu żydowskim.

**Bajgele** — obwarzanki.

**Bejs** — hamidrasz, bet-hamidrasz — dom nauki, w którym odbywają się modły.

**Bube** — babcia.

**Chalat** — wierzchnia odzież noszona przez pobożnych Żydów.

**Chasyd** (hebr. pobożny) — zwolennik ruchu religijno-mistycznego w judaizmie, zwanego chasydyzmem. Chasydyzm przeciwstawił się religijnej supremacji rabinów, był reakcją na religijny formalizm. Centrami chasydyzmu były dwory cadyków, najważniejsze z nich mieściły się w Bełżcu i Górze Kalwarii.

**Cheder** (hebr. izba) — elementarna żydowska szkoła religijna.

**Chewra** — bractwo, grupa.

**Chupa** — baldachim ślubny.

**Cyces** (cicit) — frędzle zwisające z czterech rogów tałesu.

**Cymes** — deser z suszonych owoców lub marchwi i jabłek.

**Czulent** — szabasowe danie żydowskie, składające się z mięsa, ziemniaków lub kaszy perłowej. Garnek z czulentem wkłada się do pieca w piątek, gdyż w sobotę nie rozpala się ognia (por. szabas).

**Dajan** — sędzia.

**Dybuk** — duch zmarłego, który wstąpił w ciało człowieka, w przenośni: uparciuch.

**El mole rachamim** (Bóg pełen miłosierdzia) — modlitwa za zmarłych.

**Elul** — szósty miesiąc w kalendarzu żydowskim, zapowiada odbywanie skruchy w Straszne Dni między Rosz ha-szana i Jom Kippur, świętami rozpoczynającymi się w miesiącu następnym, tiszri.

**Gabe, gabaj** — urzędnik gminy lub członek zarządu synagogi.

**Gelt** — potocznie forsa.

**Gemara** — część *Talmudu*, dzieło amoraistów, opracowane do pocz. VI w., uzupełnienie Miszny.

**Ganew** — złodziej.

**Goj** — nie-Żyd.

**Haman** — ponura postać z Księgi Estery. Zamierzał zniszczyć Żydów w Persji. Przenośnie:

zły człowiek.

**Hawdała, hawdala** (różnica, oddzielenie) — błogosławieństwo odmawiane na zakończenie szabatu w celu zaznaczenia różnicy między dniem świątecznym a rozpoczynającym się dniem codziennym.

**Jadim** (l.mn. od: jad — ręka) — wskazówka w kształcie ręki z wyprostowanym palcem wskazującym, służąca do śledzenia czytanego w synagodze tekstu *Tory*.

**Jom Kippur** — Dzień Pojednania lub Jom ha-din (Sądny Dzień) — dzień pokuty i postu. Wg tradycji rozstrzyga się wtedy los człowieka, nie określony jednoznacznie w Rosz-haszana.

**Jesziwa** (w l.mn. jesziwot) — wyższa szkoła talmudyczna.

**Kadysz, kadisz** — modlitwa odmawiana po aramejsku, kadysz sierocy — modlitwa za zmarłych rodziców lub bliskich.

**Kidusz, kiddusz** (poświęcenie) — modlitwa odmawiana nad kielichem wina, mająca na celu uświęcenie szabatu i świąt, recytowana przed posiłkiem w wigilię święta i następnego ranka przed pierwszym posiłkiem.

**Kohanim** — l.mn. od: kohen — kapłan.

**Kohen, Lewi, Izrael** — rody żydowskie.

**Kirkut** — cmentarz.

**Kol Nidrej** (wszystkie ślubowania) — modlitwa unieważniająca ślubowanie złożone pod przymusem. Odmawia się ją w wieczór Jom Kippur.

**Koszerny** — od hebr. koszer (to, co jest dozwolone przez prawo żydowskie) — zgodny z przepisami o rytualnej czystości przedmiotów lub pokarmów.

**Kugiel, kugel** — danie żydowskie, w zależności od składników podawane jako samodzielne danie pikantne lub deserowe.

**Lechaim** — toast oznaczający „na zdrowie”.

**Melamed** — nauczyciel w chederze.

**Mykwa** — basen z wodą do kąpieli i rytualnego oczyszczania ludzi.

**Mazel tow!** (szczęścia, powodzenia!) — forma gratulacji.

**Mezuza** (odrzwia) — zwitek pergaminu z tekstem z Księgi Powtórzonego Prawa 6,4–9 i 11, 13–21, umieszczony w pudełeczku z blachy lub drewna, przybity do framugi drzwi po prawej stronie żydowskiego mieszkania jako dosłowne wypełnienie nakazu *Tory*: „Wypiszesz je (tj. wersety) na odrzwiach twojego domu i na twoich bramach” (Pwt 6,9).

**Menora** (świecznik, lampa) — świecznik, szczególnie siedmioramienny, znajdował się w pierwszej i drugiej świątyni jerozolimskiej. Również ogólne określenie świecznika, niezależnie od liczby i kształtu ramion. Popularny symbol żydowski.

**Parochet** — kotara zawieszona nad miejscem przechowywania *Tory* przy wschodniej,

wyznaczającej kierunek Jerozolimy, ścianie synagogi.

**Pesach, Pascha** (przejście, ominięcie) — święto wiosenne, trwające siedem dni (w diasporze osiem), obchodzone jako pamiątka ucieczki Żydów z Egiptu. Rozpoczyna się wieczerzą paschalną, przebiegającą wg ustalonego porządku (seder). Je się w tym czasie placki z nie zakwaszonego, czyli przaśnego ciasta — macę.

**Puryc** — dziedzic, magnat.

**Purim** (losy) — święto obchodzone na pamiątkę cudownego ocalenia Żydów od zagłady, którą szykował im Haman. Okres żydowskiego karnawału.

**Rabi, rabbi** (mój mistrz) — duchowy przywódca społeczności żydowskiej oraz jej reprezentant na zewnątrz, początkowo tytuł honorowy uczonego zajmującego się wyjaśnianiem *Tory* i Prawa Ustnego.

**Raszi** — Rabi Szlomo Icchaki — sławny komentator *Tory* z XI wieku. Jego komentarze obowiązują po dziś dzień. Drukowane są specjalną czcionką hebrajską.

**Rosz-haszana, Rosz ha-szana** (Nowy Rok) — Nowy Rok żydowski, obchodzony 1 i 2 tiszri (wrzesień–październik), uważany za dzień stworzenia świata. Bóg, wyznaczający w tym dniu ludzkie przeznaczenie, sprawuje sądy i wzywa do pokuty.

**Sefardyjski** — hiszpański; sefardim — Żydzi hiszpańscy.

**Szabas, szabat** (odpoczynek) — siódmy dzień tygodnia wg kalendarza żydowskiego, trwający od zachodu słońca w piątek do zachodu słońca w sobotę, w czasie którego obowiązuje Żydów całkowite powstrzymanie się od pracy, wzorem Boga po sześciu dniach tworzenia. *Miszna* wymienia trzydzieści dziewięć kategorii prac, których wykonywanie jest niedozwolone. Ponieważ należy do nich rozpalanie ognia i gotowanie, świąteczne pożywienie należy przygotować odpowiednio wcześniej. Szabat jest przede wszystkim dniem fizycznej i duchowej radości, uczczonym świątecznym jadłem, strojem, modlitwą, studiowaniem *Tory* i odpoczynkiem.

**Szadchen** — swat.

**Szajgec** — młody goj, również „urwis”.

**Szames** — posługacz w bożnicy, gminie i u rabina.

**Szatnes** — zakaz mieszania wełny z lnem, również siania różnych gatunków zboża na jednym polu.

**Sziksa** — młoda gojka, również młoda Żydówka.

**Szochet** — rzeźnik.

**Szojtewate** — głupkowate.

**Szołem Alejchem** (Pokój wam) — słowa powitania.

**Sztibl** — bożniczka w domu prywatnym.

**Talmud** (nauka, od hebr. łamod — studiować) — zbiór tradycyjnych praw judaizmu,

komentujących i interpretujących *Torę*. Składa się z *Miszny* i *Gemary*.

**Tamuz** — czwarty z kolei miesiąc żydowski.

**Tales** (jidisz i hebr. tallit — szata modlitewna) — biały w czarne paski szal modlitewny, zakładany na głowę i ramiona w czasie modlitwy. Na rogach ma frędzle (por. cyces).

**Tefilin** (modlitwy), filakteria — dwa skórzane, sześciennie pudełeczka, zawierające zwitki pergaminu z wypisanymi ręcznie cytatami z *Pięcioksięgu* (Wj 13, 1–10 i 11–16; Pwt 6,4–9 i 11,13–21). Przymocowuje się je do lewego ramienia i głowy podczas modlitwy porannej, jako dosłowną interpretację wersetu: „Przywiążesz je do twej ręki jako znak i niech ci będą ozdobą przed oczami” (Pwt 6,8).

**Troim** (zaręczyny) — dosłownie oznaczają warunki, na podstawie których zawiera się małżeństwo.

**Tora** (nauka, prawo) — hebrajska nazwa *Pięcioksięgu*, pierwszej części *Starego Testamentu*, tzn. ksiąg: Rodzaju, Wyjścia, Kapłańskiej, Liczb i Powtórzonego Prawa. *Tora* powstała na przestrzeni od X do V w. p.n.e., pisana przez wielu autorów. Wg tradycji jej autorem jest Mojżesz. *Tora*, używana w kulcie synagogałnym, ma kształt pergaminowego zwoju, naciągniętego na dwa drewniane drzewca. Czytanie jej możliwe jest jedynie w obecności co najmniej dziesięciu Żydów, stanowiących kworum. Również w znaczeniu ogólnym: prawo religijne i społeczne judaizmu.

**Trefny** (od: teref — przeciwieństwo koszer) — termin określający stan rytualnej nieczystości.

**Wej ys mir** (niem. Weh ist mir) — biada mi.

**Zejde** — dziadek.